

Melissa de la Cruz

Objawienie

BITWA O CORCOVADO

Podniosła wzrok i zobaczyła Lawrence'a zwartego w
zazartej walce z wrogiem. Jego miecz

upadł na ziemię. Wyżej wznosiła się biała, lśniąca
istota. Bijąca od niej jasność oślepiła,

zupełnie jakby patrzyło się w słońce. To był Niosący
Światło. Gwiazda Poranna.

Miała wrażenie. Że krew zamarza w jej żyłach.

— Schuyler - usłyszała schrypnięty głos Olivera. - Zabij
to !

Schuyler ujęła miecz swojej matki. Długie, śmiertelnie
niebezpieczne ostrze zaśniło blado w

blasku księżyca. Uniosła je, odwracając się do wroga.
Podbiegła i z całej siły wymierzyła cios

w jego serce.

I chybiła.

JEDEN

Wczesnym i przenikliwie zimnym, późno marcowym rankiem Schuyler Van Alen minęła

szklane drzwi liceum Duchesne. Poczowała ulgę, przechodząc pod wysokim, beczułkowatym

sklepieniem holu, w którym królował imponujący portret założycielek szkoły, pędzla Johna

Singera Sargenta.

Czarne włosy dziewczyny nadal krył obszyty futrem kaptur. Nie zdejmowała go, gdyż wolała

anonimowość od grzecznościowych powitań wymienianych przez uczniów.

Dziwnie było myśleć o szkole jako o przystani, schronieniu, miejscu, w którym chciała się

jak najszybciej znaleźć. Przez długi czas Duchesne z błyszczącymi marmurowymi

posadzkami i malowniczym widokiem na Central Park zdawało się Schuyler salą tortur. Nie

znosiła wchodzić po ogromnych schodach, czuła się nieszczęśliwa w niedogrzanych salach,

nie cierpiała nawet pięknych terakotowych kafelków w jadalni.

W szkole Schuyler często czuła się niedostrzegana, uważała się za brzydulę, chociaż

przeczyły temu głęboko osadzone, błękitne oczy i delikatne rysy, nadające jej wygląd

dreздеńskiej porcelanowej lalki. Odkąd sięgała pamięcią, lepiej sytuowani koledzy i

koleżanki traktowali ją jak dziwadło, wyrzutka – osobę niepotrzebną i niepożądaną.

Nieważne, że jej rodzina należała do najstarszych i najbardziej zasłużonych w mieście. Czasy

się zmieniły. Ród Van Alenów, niegdyś dumny i potężny, stracił na znaczeniu z upływem

wieków i obecnie niemal wymarł. Schuyler była jedną z ostatnich jego potomkiń.

Przez krótki czas Schuyler miała nadzieję, że sytuacja się zmieni po powrocie z wygnania jej

dziadka – liczyła, że obecność Lawrence'a w jej życiu sprawi, że nie będzie już sama. Ale

nadzieje legły w gruzach, kiedy Charles Force zabrał ją z podupadłej rezydencji przy

Riverside Drive, jedyne domu, jaki kiedykolwiek miała.

– Ruszysz się wreszcie, czy mam ci pomóc?

Schuyler podskoczyła. Nie zauważyła, że zatrzymała się zamyślona przed drzwiczkami

szkolnej szafki, blokując dostęp do szafki powyżej.

Dzwonek sygnalizujący początek

szkolnego dnia dzwonił wściekle. A za plecami

Schuyler stała Mimi Force, mieszkająca z nią

obecnie pod jednym dachem. Niezależnie od tego, jak bardzo nie na miejscu Schuyler czuła

się w szkole, było to niczym w porównaniu z arktycznym chłodem, jakiego codziennie

doświadczała w ogromnej rezydencji Force'ów, położonej naprzeciwko Metropolitan

Museum. W Duchesne przynajmniej nie słyszała Mimi utyskującej na nią bezustannie. Tu

zdarzało się to najwyżej raz na kilka godzin. Nic dziwnego, że Duchesne wydawało jej się

ostatnio takie gościnne.

Mimo że Lawrence Van Alen pełnił teraz funkcję Regisa, zwierzchnika błękitnokrwistych,

nie miał władzy, by zatrzymać postępowanie adopcyjne. Kodeks Wampirów wymagał ścisłego przestrzegania ludzkich praw, co miało uchronić błękitnokrwistych przed niepożądanym dochodzeniem. W swoim testamencie babka Schuyler ogłosiła ją wprawdzie usamodzielnionym nieletnim, ale przebiegli prawnicy Charlesa Force'a podważyli zapis przed sądem czerwonokrwistych, który rozpatrzył sprawę na ich korzyść. Charles został wyznaczony na głównego spadkobiercę, otrzymując w pakiecie Schuyler.

– No? – Mimi wciąż czekała.

– A, przepraszam – powiedziała Schuyler, biorąc podręcznik i odsuwając się.

– I masz za co. – Mimi zmrużyła szmaragdowe oczy, mierząc ją pogardliwym spojrzeniem.

Takim samym obdarzyła Schuyler zeszłego wieczoru, przy obiedzie, i dziś rano, kiedy

wpadły na siebie w holu. Spojrzenie mówiło: Co ty tu robisz? Nie masz prawa istnieć.

– Co ja ci takiego zrobiłam? – szepnęła Schuyler, wkładając książkę do znoszonej płóciennej torby.

– Uratowałaś jej życie! – Mimiz wściekłością spojrzała na rudowłosą piękność, która

wtrąciła się w ich rozmowę. Bliss Llewellyn, z pochodzenia Teksanka, dawna akolitka

Mimi, odwzajemniła

spojrzenie. Jej policzki były równie czerwone jak włosy.

– Uratowała ci skórę w Wenecji, a ty nie masz nawet dość przyzwoitości, żeby okazać

wdzięczność! Niegdyś Bliss była cieniem Mimi i niezwłocznie wypełniała wszystkie jej

polecenia, ale ich przyjaźń załamała się podczas ostatniego ataku srebrnokrwistych, których

Mimi okazała się chętną, nawet jeśli nieskuteczną, współniczką. Mimi została skazana na

śmierć i wyrok byłby wykonany, gdyby nie pomoc Schuyler w postaci rytuału próby krwi.

– Nie uratowała mi życia. Powiedziała tylko prawdę. Moje życie nie było zagrożone –

odparła Mimi, przeczesując srebrną szczotką delikatne włosy.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradziła Bliss.

Schuyler uśmiechnęła się, czując przypływ odwagi spowodowany słowami poparcia.

– Byłoby trudno. To tak, jakby nie zwracać uwagi na globalne ocieplenie.

Wiedziała, że zapłaci później za ten komentarz. Będą kamyki w płatkach śniadaniowych.

Smoła na pościeli. Albo najnowsza przykrość – zniknięcie kolejnego należącego do niej drobiazgu.

Już straciła medalion swojej matki, skórzane rękawiczki i ukochany, zaczytany egzemplarz

Procesu Kafki, sygnowany na pierwszej stronie inicjałami J.F. Schuyler bez wahania

musiałaby przyznać, że drugiej sypialni gościnniej w posiadłości Force'ów (pierwsza była

zarezerwowana dla podejmowanych przez rodzinę dostojników) z pewnością nie można było

nazwać schowkiem pod schodami. Pokój pięknie wykończono i wyposażono we wszystko,

czego mogła pragnąć dziewczyna. Miała olbrzymie
łóżko ze wspartym na czterech

kolumnkach baldachimem i puchową kołdrą, szafę
pełną markowych ubrań, ekskluzywny

zestaw multimedialny, tuziny zabawek dla jej ogara,
Beauty, oraz leciutki jak piórko laptop

MacBook Air. Ale nawet jeśli w nowym miejscu
opływała w bogactwa materialne,

brakowało jej uroku starego domu.

Tęskniła za swoim pokojem z seledynowymi ścianami i
rozchwianym biurkiem. Tęskniła za

zakurzonymi pokrowcami w salonie. Tęskniła za Hattie
i Julusem, którzy od zawsze byli

przy jej rodzinie. Tęskniła oczywiście za dziadkiem.
Ale przede wszystkim tęskniła za

wolnością.

– Wszystko okej? – szturchnęła ją Bliss. Schuyler
wróciła z Wenecji z nowym adresem i

nieoczekiwaną sojuzniczką. Ona i Bliss zawsze
odnosiły się do siebie życzliwie, ale teraz

stały się niemal nierozłączne.

– Jasne, przywykłam. Dałabym jej radę, gdybyśmy walczyły w kisielu – uśmiechnęła się

Schuyler. Widywanie się z Bliss w szkole należało do tych niewielkich aktów łaski, jakie

oferowało jej Duchesne.

Weszła po krętych tylnych schodach, za kolegami idącymi w tym samym kierunku. Kątem

oka zobaczyła błysk i już wiedziała. To on. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że szedł w

tłumie uczniów zmierzających w przeciwną stronę.

Mogła zawsze wyczuć jego obecność,

jakby jej umysł był precyzyjnie dostrojoną anteną, chwytającą jego sygnał, gdy tylko

znalazł się w pobliżu.

Może to wampiryczna część osobowości ostrzegała ją, że niedaleko jest ktoś z jej rodzaju, a

może nie miało to absolutnie nic wspólnego z nadprzyrodzonymi mocami. Jack. Patrzył

przed siebie, nie dostrzegając jej, nie rejestrując w ogóle jej obecności. Gładkie jasne włosy,

równie świetliste, jak włosy jego siostry, miał odgarnięte z dumnego czoła, a w odróżnieniu

od otaczających go niedbale ubranych chłopców, prezentował się wręcz królewsko w blezerze z krawatem. Był tak przystojny, że Schuyler nieświadomie wstrzymała oddech. Ale podobnie jak w rezydencji – Schuyler odmawiała nazywania tego miejsca „domem” – Jack ją ignorował.

Jeszcze raz obrzuciła go wzrokiem i pobiegła na górę. Kiedy weszła do sali, lekcja się już zaczęła. Starając się możliwie nie rzucić w oczy, chciała z przyzwyczajenia zająć swoje miejsce, z tyłu przy oknie, obok pochylonego nad książką Olivera Hazarda-Perry’ego. Ale w porę się zorientowała i przeszła na drugą stronę klasy, siadając pod klekoczącym wentylatorem bez przywitania się z najlepszym przyjacielem. Charles Force postawił sprawę jasno: odkąd mieszka pod jego dachem, ma przestrzegać jego zasad. Pierwszą z nich był zakaz widywania się z dziadkiem. Zadawniona wrogość między Charlesem a Lawrencem

brała się nie tylko z tego, że ten ostatni zajął miejsce Charlesa w Zgromadzeniu.

– Nie chcę, żeby napychał ci głowę kłamstwami – oznajmił Charles. – Może rządzić Radą, ale nie ma żadnej władzy w moim domu. Jeśli mi się sprzeciwisz, zapewniam, że tego pożałujesz.

Drugą zasadą w domu Force'ów był zakaz przebywania w towarzystwie Olivera. Charlesa mało szlag nie trafił, kiedy odkrył, że Schuyler uczyniła Olivera (przypisanego jej zausznika) swoim familiantem.

– Po pierwsze, jesteś na to o wiele za młoda. Po drugie, to niestosowne. W złym guście.

Zausznicy są służącymi. Nie mają – i nie powinni – pełnić funkcji familiantów.

Musisz natychmiast znaleźć innego człowieka i zerwać wszystkie kontakty z tym chłopcem.

Wgłębi duszy Schuyler niechętnie przyznawała, że prawdopodobnie Charles miał rację.

Oliver był jej najlepszym przyjacielem, a ona naznaczyła go jako swoją własność, zmieszała

jego krew ze swoją, a to rodziło określone konsekwencje. Czasem miała ochotę wrócić do dawnych czasów, zanim wszystko stało się tak skomplikowane. Schuyler nie miała pojęcia, dlaczego Charlesa w ogóle obchodziło, kto będzie jej familiantem, skoro Force'owie zerwali ze starą tradycją zauszników. Ale ściśle przestrzegała zasad. Każdy mógł zobaczyć, że nigdy nie kontaktuje się z Lawrence'em i nie obdarza świętym pocałunkiem Olivera. W jej nowym życiu było mnóstwo rzeczy, których nie mogła lub które powinna robić.

Ale były miejsca, gdzie zasady nie obowiązywały. Gdzie Charles nie miał żadnej władzy.

Gdzie Schuyler mogła być wolna. Po to przecież wymyślono tajne kryjówki.

DWA

Mimi Force lubiła dźwięk obcasów stukających o marmur. Przyjemne klikanie jej

lakierowanych szpilek od Jimmy'ego Choo rozlegało się echem w całym holu Force Tower.

Lśniącą nowością kwatery główna medialnego imperium jej ojca obejmowała kilka

budynków w samym centrum Manhattanu. Błyszczące windy wypluwały kolejne porcje

„Forcies – pięknych pracownic koncernu Force’ów – redaktorek specjalizujących się w

projektowaniu, modzie, dekoracji wnętrz – spieszących na biznes lunch w restauracji

Michael’s lub wsiadających do taksówek, które miały je zabrać na najrozmaitsze umówione

spotkania na mieście. Doskonale ubrane, miały identycznie ściągnięte twarze, jakby ich

nieustannie zapchany grafik nie pozostawiał czasu na uśmiech. Mimi doskonale tu pasowała.

Miała zaledwie szesnaście lat, ale idąc przez zatłoczony hol do nieoświetlonej wnęki

skrywającej windę, którą można było otworzyć tylko tajnym i niepodrabialnym kluczem,

czuła się niesamowicie stara. Pamiętała, że Force Tower oryginalnie zostało ochrzczone Van

Alen Building. Przez lata wznosiło się na wysokość zaledwie trzech pięter, ponieważ

planowany wieżowiec nie został nigdy wybudowany z powodu krachu na nowojorskiej giełdzie w 1929 roku i następującego po nim Wielkiego Kryzysu. Dopiero w zeszłym roku koncern jej ojca ukończył wreszcie prace budowlane zgodnie ze starymi planami i nadał biurowcowi nową nazwę. Mimi rozejrzała się, dyskretnie wysyłając do wszystkich w pobliżu silną sugestię, aby nie zwracali na nią uwagi. Sięgnęła do klamki, przyciskając palec do zamka, tak aby wytoczyć kroplę krwi. Analizujący krew zamek nie stanowił najnowszego osiągnięcia technologii, wręcz przeciwnie, był jak najbardziej starożytnym wynalazkiem. Krew była porównywana z wzorcami DNA w bazie – zgodność z wzorcem oznaczała, że przed drzwiami stoi prawdziwy błękitnokrwisty. Krwi wampira nie dawało się podrobić ani wytoczyć wcześniej, ponieważ w kontakcie z powietrzem zniknęła w niecałą minutę. Drzwi otwarły się bezgłośnie i Mimi zjechała windą na dół. Czerwonokrwisci nie wiedzieli,

że w 1929 roku budynek został ukończony zgodnie z planem – tyle tylko, że sięgał w dół, zamiast w górę.

Była to odwrotność drapacza chmur, podziemna konstrukcja, skierowana w stronę jądra planety zamiast w stronę nieba. Mimi patrzyła na mijane piętra. Była piętnaście, potem trzydzieści, potem sześćdziesiąt, potem trzysta metrów pod ziemią. W przeszłości

błękitnokrwisci żyli w takich miejscach, aby ukryć się przed srebrnokrwistymi

prześladowcami. Teraz Mimi rozumiała, co miał na myśli Charles Force, kiedy szydził, że

Lawrence i Cordelia chcieliby, aby wampiry „znowu kryły się w jaskiniach”.

Nareszcie winda zatrzymała się, otwierając drzwi. Mimi skinęła głową siedzącemu przy

biurku zausznikowi. Czerwonokrwisty przypominał ślepego kreta i wyglądał, jakby dawno

nie widział słońca. Zupełnie jakby urwał się z fałszywych legend o wampirach – pomyślała z

rozbawieniem Mimi.

Czuła potężne zaklęcia ochronne nałożone na ten obszar. To powinno być najlepiej ukryte i najbezpieczniejsze schronienie błękitnokrwistych. Lawrence był absolutnie zachwycony błyszczącą, podejrzaną wieżą, wzniesioną na górze. „Chowamy się pod latarnią!” – śmiał się.

Repozytorium Historyczne zostało ostatnio przeniesione o kilka poziomów niżej. Od czasu ataku pomieszczenie pod klubem stało puste. Mimi nadal przypisywała sobie winę za to, co się tam stało. Chociaż nie była winna! Nie chciała nikomu zrobić naprawdę krzywdy. Chciała tylko, żeby Schuyler zeszła jej z drogi. Może była naiwna. Rozpamiętywanie minionego nie miało teraz sensu.

– Dobry wieczór, Madeleine – przywitała ją elegancko ubrana dama w modnym kostiumie

Chanel.

– Dobry wieczór, Dorotheo – skinęła głową Mimi, idąc za starszą panią do sali

konferencyjnej. Wiedziała, że część członków Komitetu nie była zachwycona przyjęciem jej

do wewnętrznego kręgu. Niepokoiło ich, że jest jeszcze zbyt młoda i nie w pełni panuje nad swoimi wspomnieniami, kryjącymi całość wiedzy ze wszystkich przeszłych wcieleń. Proces uświadamiania sobie swojego dziedzictwa zaczynał się u błękitnokrwistych wraz z początkiem przemiany, w piętnastym roku życia, i trwał do końca wieczornych lat (czyli mniej więcej do dwudziestego pierwszego roku życia), kiedy to ludzka powłoka ostatecznie ustępowała, odsłaniając ukrytego pod nią wampira. Mimi nie obchodziło, co o niej myślą. Miała swoje obowiązki, a nawet jeśli nie pamiętała wszystkiego, pamiętała dostatecznie wiele. Była tutaj, ponieważ pewnego dnia, niedługo po powrocie z Wenecji, Lawrence późnym wieczorem przybył do rezydencji Force'ów, aby zobaczyć się z Charlesem. Mimi podsłuchiwała całą rozmowę. Kiedy Lawrence przejął tytuł Regisa, Charles na własny wniosek zrezygnował z miejsca w Radzie, ale Lawrence namawiał go, aby przemyślał tę decyzję.

– Potrzebujemy teraz całej naszej siły. Potrzebujemy cię, Charlesie. Nie odwracaj się do nas

plecami – głos Lawrence’a był niski i schrypnięty.

Zakasłał, a słodki zapach tytoniu z jego

fajki wypełnił korytarz na zewnątrz gabinetu jej ojca.

Charles był nieugięty. Został

upokorzony i odtrącony. Skoro Rada nie życzyła sobie go widzieć, on nie życzył sobie

widzieć Rady.

– Po co jestem im potrzebny, skoro mają ciebie, Regisa?

– burknął Charles, jakby samo

wypowiedzenie tych słów było czymś odrażającym.

– Ja się tego podejmę. Lawrence tylko uniósł brwi na widok pojawiającej się przed nimi

Mimi. Charles także nie wyglądał na zaskoczonego. Od dziecka miała talent do radzenia

sobie z zamkniętymi

drzwiami.

– Azrael – mruknął Lawrence. – Ile pamiętasz?

– Nie wszystko. Jeszcze nie teraz. Ale pamiętam cię... dziadku – Mimi skrzywiła wargi w

uśmiechu.

– To mi wystarczy. – Uśmiech Lawrence’a przypominał trochę uśmiech Charlesa. –

Charlesie, w takim razie postanowione. Mimi zajmie twoje miejsce w Radzie. Jako twój

przedstawiciel będzie ci składać raporty. Azraelu, możesz odejść.

Mimi już miała zaprotestować, kiedy zorientowała się, że bez jej wiedzy zauroczono ją,

nakłaniając do opuszczenia gabinetu. Ten stary dziad był zdecydowanie za sprytny. Ale nic

nie mogło jej powstrzymać przed przyciśnięciem ucha do drzwi.

– Jest niebezpieczna – powiedział cicho Lawrence. – Byłem zaskoczony, że wezwałeś w tym cyklu bliźnięta. Czy to naprawdę konieczne?

– Tak jak sam mówiłeś, jest silna – westchnął Charles. – Jeśli naprawdę czeka nas bitwa, przed którą stale ostrzegasz, będziesz jej potrzebować u swego boku.

– Jeśli pozostanie wierna – prychnął Lawrence.

– Zawsze była – powiedział ostro Charles. – I nie jest jedyną spośród nas, która niegdyś

kochała Niosącego Światło.

– Tragiczny błąd, który wszyscy popełniliśmy – skinął głową Lawrence.

– Nie, nie wszyscy – przypomniał cicho Charles. Mimi na palcach odeszła od drzwi.

Usłyszała wszystko, co chciała wiedzieć. Azrael.

Nazwał ją jej prawdziwym imieniem.

Imieniem wyrytym głęboko w jej świadomości, w jej kościach, w jej krwi. Czym była oprócz

swojego imienia? Kiedy żyje się tysiące lat, posługując się coraz to nowym przezwiskiem,

imiona stają się czymś w rodzaju opakowania. Ozdobą, na którą się odpowiada. Weźmy

choćby jej imię w tym cyklu: Mimi. Imię dziewczyny z towarzystwa, kapryśnej kobietki,

która spędza dnie na wyczerpywaniu limitu kart kredytowych, interesując się tylko salonami

spa i przyjęciami. Kryło jej prawdziwą tożsamość.

Ponieważ była Azraelem. Aniołem

Śmierci. Wnosiła ciemność w światło. To był jej dar i jej przekleństwo. Była błękitnokrwistą.

Tak jak powiedział Charles, jedną z najsilniejszych. Charles i Lawrence mówili o ostatnich

dniach przed Upadkiem. Podczas wojny z Lucyferem to Azrael i jej bliźniaczy brat Abbadon

przeważyli szalę zwycięstwa, zmieniając przebieg bitwy. Zdradzili swojego księcia i

dołączyli do Michała, klękając przed złotym mieczem. Pozostali wierni światłu, chociaż byli

zrodzeni z ciemności.

Ich dezercja okazała się punktem zwrotnym. Gdyby nie ona i Jack, kto tak naprawdę by

wygrał? Czy Lucyfer zostałby królem królów na niebieskim tronie, gdyby go nie opuścili? A

w nagrodę dostali tylko to wieczne życie na Ziemi.

Niekończący się cykl naprawiania win i

poszukiwania rozgrzeszenia. Przed kim i po co się kajali? Czy Bóg w ogóle pamiętał o ich

istnieniu? Czy kiedykolwiek powrócą do utraconego Raju?

Czy to wszystko było tego warte? – pomyślała Mimi, zajmując swoje miejsce w Radzie.

Dopiero teraz zauważyła niezadowolenie otaczających ją osób.

Spojrzała tam, gdzie wpatrywała się Dorothea Rockefeller, i ze zdziwienia omal nie spadła z

krzesła. W najlepiej strzeżonym, najbezpieczniejszym schronieniu błękitnokrwistych, na

honorowym miejscu koło Lawrence'a, siedział nikt inny, jak zhańbiony były venator,

srebrnokrwisty zdrajca, Kingsley Martin.

Pochwycił spojrzenie Mimi i wycelował w jej kierunku dwa palce jak pistolet. I będąc w

każdym calu Kingsleyem, uśmiechnął się, udając, że strzela.

TRZY

W odróżnieniu od większości salonów pokazowych znanych projektantów, urządzonych

w minimalistycznym, niemal klinicznie czystym stylu, z identycznymi kompozycjami

kwiatowymi dodającymi koloru oślepiająco białym, pustym pomieszczeniom, salon

prezentujący kolekcję Rolfa Morgana przypominał wnętrze zacisznego, staroświeckiego klubu dżentelmenów. Na półkach pyszniły się rzędy oprawionych w skórę książek, a grube dywany i szerokie fotele otaczały kominek, w którym płonął ogień. Rolf Morgan zyskał sławę, popularyzując wśród mas klasyczny styl sportowy, a jego najpopularniejszym dziełem była koszula z gładkim kołnierzykiem ozdobionym dyskretnym logo: dwoma skrzyżowanymi bramkami do krykieta.

Bliss siedziała nerwowo na skórzanym fotelu, trzymając na kolanach portfolio. Żeby zdążyć na casting, musiała trochę wcześniej wyjść ze szkoły, ale kiedy dotarła na miejsce, okazało się, że projektant spóźni się pół godziny. Typowe. Przypatrywała się pozostałym modelkom, klasycznym amerykańskim pięknościom, w typie widywanym często w reklamach „Krykiet z Rolfem Morganem”: opalone policzki, złote włosy, zadarte noski. Nie miała pojęcia, czemu projektant miałby być nią zainteresowany. Z

sięgającymi pasa rdzawymi włosami, bladą skórą i wielkimi szmaragdowymi oczami Bliss

przypominała bardziej dziewczynę z obrazów prerafaelitów niż dziewczynę, która właśnie

skończyła brawurowy mecz tenisa. Ale z drugiej strony Schuyler została wybrana do tego

samego pokazu już wcześniej, na pierwszym castingu, więc być może tym razem szukali

innego niż zwykle typu.

— Można wam coś zaproponować, dziewczyny?

Woda? Cola dietetyczna? — zapytała z

uśmiechem recepcjonistka.

- Ja dziękuję - odmówiła grzecznie Bliss. Inne dziewczęta też potrząsnęły głowami. To miło,

że ktoś je pytał, coś proponował. Była przyzwyczajona, że jako modelka jest ignorowana lub

traktowana z góry. Nikt nigdy nie był przesadnie życzliwy. Bliss uważała, że castingi

przypominają inspekcję bydła, jaką na ranczu przeprowadzał jej dziadek, oglądając uważnie

zęby, kopyta i boki swojej rogacizny. Modelki traktowano identycznie jak krowy - ot, kawałki

mięsa, których walory należy zmierzyć i oszacować,
Bliss miała nadzieję, że projektant pospieszy się i
spotkanie będzie miała wkrótce za sobą.

Prawie odwołała swoje przyjście i tylko głębokie
poczucie obowiązku względem agencji

(oraz cień strachu przed jej osobistym agentem —
łysym, władczyim gejem, który sztorcował

ją, jakby to ona była jego niewolnicą, a nie na odwrót)
sprawiło, że nadal pozostawała na
miejscu.

Wciąż denerwowała się tym, co miało miejsce w szkole,
kiedy chciała się zwierzyć Schuyler.

— Coś jest ze mną nie tak — powiedziała Bliss podczas
lunchu w jadalni.

- W sensie? Jesteś chora? - zapytała Schuyler,
otwierając torbę chipsów z jalaperio.

Czy jestem chora? — zastanowiła się Bliss. Na pewno
ostatnio nie czuła się najlepiej. Ale to

był inny rodzaj choroby - czuła, że chora jest jej dusza.

- To trudno wyjaśnić - odparła, ale jednak spróbowała. -
I Widzę, tak jakby, różne rzeczy.

Okropne rzeczy.

Straszliwe rzeczy. Opowiedziała Schuyler, jak się wszystko zaczęło.

Pewnego dnia uprawiała jogging nad rzeką Hudson, a kiedy mrugnęła oczami, zamiast spokojnej, brązowej wody zobaczyła rzekę wypełnioną kotłującą się gwałtownie, czerwoną krwią.

Potem byli jeźdźcy, którzy pewnej nocy wtargnęli do jej sypialni — zamaskowana czwórka

na potężnych, czarnych wierzchowcach. Wyglądali odrażająco, a cuchnęli jeszcze gorzej, jak

żyjące trupy. Byli prawdziwi do tego stopnia, że konie zostawiły brudne ślady na białym

dywanie. Ale najbardziej przerażająca okazała się wizja z innej nocy: zaszlachtowane dzieci,

rozcłonkowane ciała, bezgłowe zakonnice przybite do krzyży... Ciągle coś nowego.

Ale nie to przerażało ją najbardziej.

W każdej z tych wizji pojawiał się ubrany na biało mężczyzna.

Przystojny, z twarzą okoloną lśniącymi, złotymi włosami, z pięknym uśmiechem, który

sprawiał, że robiło jej się zimno.

Mężczyzna przechodził przez pokój i siadał obok niej na łóżku.

- Bliss - mówił, kładąc rękę na jej głowie, jakby w geście błogosławieństwa. - Moja córko.

Schuyler popatrzyła na przyjaciółkę znad kanapki z tuńczykiem. Bliss dziwiło, że Schuyler

wciąż jeszcze smakuje zwykłe jedzenie - ona sama od dawna nie mogła go brać do ust. Z

trudem jadła krwisty befszyk. Może to dlatego, że Schuyler była w połowie człowiekiem.

Bliss z ciekawości sięgnęła po chipsa i ugryzła. Słony i całkiem przyjemnie pikantny. Wzięła następnego.

Schuyler zastanowiła się.

- No dobra, jakiś cudak nazywa cię córką, wielkie rzeczy. To tylko sen. A ta cała reszta -

jesteś pewna, że nie oglądasz po nocach horrorów?

- Nie, ja tylko... - Bliss potrząsnęła głową, zirytowana, że nie potrafi przekazać, jak okropny

wydawał jej się ten mężczyzna. I jak bardzo prawdziwie brzmiały jego słowa. Ale czy to

możliwe? Przecież jej ojcem był Forsyth Llewellyn, nowojorski senator. Po raz kolejny pomyślała o matce. Ojciec nigdy nie opowiadał o pierwszej żonie, a zaledwie kilka tygodni temu Bliss, ku swojemu zaskoczeniu, znalazła zdjęcie ojca z blondynką, którą zawsze uważała za swoją matkę. Na odwrocie fotografii widniał podpis: „Allegra Van Alen”.

Allegra była matką Schuyler, najśłynniejszą pogrążoną w śpiączce pacjentką w Nowym Jorku. Czy jeśli Allegra była jej matką, to Schuyler była jej siostrą? Fakt, że wampiry nie miały rodziny w znaczeniu czerwonokrwistych: były dziećmi Boga, nieśmiertelnymi, bez prawdziwych matek i ojców.

Forsyth był jej „ojcem” jedynie w tym cyklu. Być może podobnie było z Allegra. Bliss nie podzieliła się z Schuyler swoim odkryciem. Schuyler była bardzo drażliwa na punkcie matki, a Bliss zbyt nieśmiała, aby twierdzić, że łączą ją jakieś więzy z kobietą, której nigdy nie

spotkała. Ale od czasu znalezienia fotografii czuła silniejszą więź z Schuyler.

- A masz jeszcze te zamroczenia? — zapytała Schuyler. Bliss potrząsnęła głową.

Zamroczenia ustały wtedy, kiedy zaczęły się wizje. Nie wiedziała już, co gorsze.

- Sky, zdarza ci jeszcze myśleć o Dylanie? - spytała niezobowiązująco.

- Cały czas. Chciałabym wiedzieć, co się z nim stało - Schuyler rozłożyła kanapkę, zjadając

kolejno jej części: najpierw chleb, potem porcję tuńczyka i na koniec sałatę. - Tęsknię za nim.

Był moim przyjacielem.

Bliss skinęła głową. Nie wiedziała, jak poruszyć temat jej za długo już utrzymywanej

tajemnicy. Dylan, którego wszyscy uważali za zmarłego, który został schwytany przez

srebrnokrwistych, który zniknął bez śladu... Wrócił, wpadając przez okno dwa tygodnie temu

i opowiadając niestworzone rzeczy. Od tamtego wieczoru Bliss nie wiedziała już, w co

powinna wierzyć.

Dylan był kompletnie szalony. Ześwirowany. To, co wtedy powiedział, nie miało sensu, ale on był przeświadczony, że to najszczęśliwsza prawda. Nie potrafiła go przekonać, a ostatnio groził jej, że coś planuje. Dzisiejszego ranka był wyjątkowo wytrącony z równowagi.

Obląkany. Krzyczał jak szalony. Z trudem mogła na niego patrzeć. Obiecała mu, że... że co właściwie zrobi? Nie miała pojęcia.

- Bliss Llewellyn?

- Jestem. - Bliss wstała, biorąc portflio pod pachę.

- Możesz wejść. Przepraszamy, że musiałaś czekać.

- Nic nie szkodzi. - Bliss uśmiechnęła się najbardziej profesjonalnym uśmiechem. Weszła za

dziewczyną do przestronnej sali. Musiała przejść odległość równą niemal długości boiska do

piłki nożnej, zanim dotarła do niewielkiego stołu, za którym siedział projektant.

Zawsze tak było. Chcieli zobaczyć, jak chodzisz, a kiedy się przywitałaś, prosili cię, żebyś

się obróciła i przeszła jeszcze kawałek. Rolf prowadził casting na swój pokaz w trakcie

Tygodnia] Mody, więc obok niego siedzieli współpracownicy: opalona blondynka w ciemnych okularach, szczupły, zniewieściały mężczyzna[^] i kilkoro asystentów.

- Cześć, Bliss— powiedział Rolf.— To moja żona, Randy, a to Cyrus, który ma wszystko nadzorować.

- Cześć - Bliss podała mu rękę i mocno uścisnęła jego dłoń.

- Znamy dobrze twoje wcześniejsze projekty - Rolf tylko rzucił okiem na jej fotografie. Był

ogorzałym mężczyzną o prze-; tykanych siwizną włosach. Kiedy zaplatał ręce, mięśnie pod

skórą rysowały się wyraziście. Wyglądał jak kowboj od czubka głowy do robionych na

zamówienie butów z krokodylej skóry. Pod warunkiem, rzecz jasna, że kowboje zdobywali

opaleniznę

W Saint--Barthelemy, a koszule zamawiali w Hongkongu. — Jesteśmy właściwie na ciebie zdecydowani. Chcieliśmy po prostu He poznać.

Przyjazne zachowanie projektanta zamiast uspokoić Bliss, Podatkowo ją zdenerwowało.

Teraz prawie miała pracę i mogła ją stracić.

- A, no to okej.

Randy Morgan, żona projektanta, wyglądała jak wcielenie klasycznej „dziewczyny

Morgana", aż po niedbale ułożone włosy Bliss wiedziała, że jest pierwszą modelką Rolfa, z

którą prasy pracował w latach siedemdziesiątych i która nadal gościła czasem w Jego

kampaniach reklamowych. Randy zdjęła ciemne okulary i obdarzyła Bliss oślepiającym

uśmiechem.

- Planujemy na ten pokaz coś trochę innego niż zwykle. Chcemy mieć klimat edwardiański,

jak ze starego romansu. W kolekcji będzie mnóstwo weluru, koronek, może nawet jakieś

gorsety. Potrzebna nam dziewczyna, która nie wygląda zbyt współcześnie.

Bliss skinęła głową, niepewna, do czego zmierzają. Inni projektanci, dla których pracowała

do tej pory, uważali, że wygląda zupełnie współcześnie.

- Mam się przejść, czy... ?

- Prosimy.

Bliss cofnęła się do końca sali, wzięła głęboki oddech i ruszyła. Szła, jakby szła przez bagna

nocą, jakby była sama we mgle. Jakby była trochę zagubiona i rozmarzona. Ale kiedy doszła

do miejsca, w którym powinna się obrócić, nawiedziła ją kolejna Wizja.

Tak jak powiedziała Schuyler, nie miewała już zamroczeń. Nadal widziała salę i projektanta

ze współpracownikami. Ale on też tam był - między Rolfem a jego żoną siedziała

szkarłatnooka bestia ze srebrnym, rozdwojonym językiem. Z jej oczodół łów wypełzały

robaki. Bliss miała ochotę krzyknąć, ale zamiast tego zacisnęła oczy i ruszyła przed siebie.

Kiedy je otworzyła, Rolf i jego zespół bili brawo.

Apokaliptyczne wizje czy nie, Bliss została zatrudniona.

CZTERY

Tęskniłem za tobą - wargi Olivera na jej policzku były ciepłe i miękkie, a Schuyler poczuła

ostre ukłucie w żołądku, uświadamiając sobie rozmiar jego przywiązania.

- Ja też - wyszeptała. Nie kłamała. Spotykali się w ten sposób po raz pierwszy od dwóch

tygodni. I chociaż pragnęła przycisnąć usta do jego szyi i zrobić to, co samo się nasuwało, powstrzymała

się. Nie potrzebowała tego w tej chwili, a pilnowała się, żeby nie pić tylko dla

przyjemności. Caerimonia osculor była jak narkotyk - kusząca i trudna do zastąpienia.

Dawała jej za dużo siły. Za dużo władzy nad nim.

Nie mogła. Nie tutaj. Nie teraz. Może później. Poza tym, to nie byłoby bezpieczne.

Znajdowali się w składziku za pokojem kserograficznym. W każdej chwili ktoś mógł wejść i przyłapać ich razem. Spotykali się, jak zawsze, na przerwie po czwartej lekcji. Mieli dla siebie zaledwie pięć minut.

- Przyjdiesz... wieczorem? - zapytał Oliver, a jego lekko ochrypy głos rozbrzmiewał w jej

uszach. Chciała zanurzyć palce w gęstych włosach w kolorze karmelu, ale nie zrobiła tego.

Przycisnęła tylko twarz do jego głowy. Pachniał tak czysto.

Jak mogli być tak długo przyjaciółmi, skoro dotąd nie zauważyła, jak pachną jego włosy?

Teraz już wiedziała: jak trawa po deszczu. Pachniał tak przyjemnie, że chciało jej się płakać.

Nigdy jej nie wybaczy, kiedy w pełni zrozumie, co mu zrobiła. :

- Nie wiem - odparła z wahaniem. - Spróbuję.

Chciała mu odmówić tak delikatnie, jak tylko mogła.

Spój-; rżała na jego szczerą, przystojną

twarz, w ciepłe orzechowe oczy z plamkami brązu i złota.

- Obiecuj - w głosie Olivera zabrzmiał chłód. - Obiecuj mi. Przycisnął ją do siebie mocno,

była zaskoczona jego siłą. Nie

miała pojęcia, że w razie konieczności ludzie potrafią być równie silni jak wampiry.

Jej serce było rozdarte. Charles Force miał rację, powinna się trzymać z dala od niego. Ktoś

musiał skończyć zraniony, a nie mogła znieść myśli o tym, że Oliver będzie przez nią cierpieć.

Nie była tego warta.

- Ollie, wiesz, że ja...

- Nic nie mów. Po prostu przyjdź - powiedział szorstko i puścił ją tak nagle, że prawie straciła

równowagę. I równie szybko zniknął, zostawiając ją samą w ciemnym pokoiku, z poczuciem

dziwnego osamotnienia.

Tego wieczora Schuyler w nowym płaszczu przeciwdeszczowym przemykała przez ciemne,

zalane deszczem ulice, jak błysk

-Srebra. Mogła wziąć taksówkę, ale przy takiej pogodzie trudno było jakąś złapać, a poza tym

lubiła się przejść — albo raczej prześlizgnąć przez miasto. Lubiła wykorzystywać wampirze

mię' śnie, podobało jej się, jak szybka może być, jeśli tylko zapragnie. Przebyła całą długość

wyspy jak kot, poruszając się z taką prędkością, że pozostała sucha. Na jej ubraniu nie

połyskiwała ani jedna kropla wilgoci.

Budynek na rogu Perry Street i West Side Highway był jednym z nowych, olśniewających,

przeszklonych apartamentów projektu Richarda Meiera, które lśniły jak kryształy w mglistym półmroku. Były tak piękne, że Schuyler nie mogła się na nie napatrzeć.

Wślizgnęła się przez boczne drzwi, rozkoszując się wampirzą szybkością, czyniącą ją niewidzialną dla strażników i innych lokatorów. Minęła windę, wołała dzięki swoim nadprzyrodzonym mocom wbiec po schodach, przeskakując po cztery, pięć stopni. W kilka sekund stanęła przed drzwiami penthouse'u.

W apartamencie było ciepło, a blask latarni za oknem oświetlał wnętrze przez sięgające od podłogi do sufitu okna. Nacisnęła guzik, zaciągający zasłony. Potem zostawiła je otwarte, odsłaniając wnętrze — to zdumiewające, jak dobrze schowana była ich tajna kryjówka w jednym z najlepiej widocznych budynków na Manhattanie.

Zarządca domu przygotował drewno w kominku, więc Schuyler rozpałała ogień, naciskając po

prostu kolejny guzik. Wysokie płomienie zaczęły lizać szczapy. Schuyler obserwowała je i jakby dostrzegając w nich swoją przeszłość, ukryła twarz w dłoniach.

Co ona tu robiła? Po co przyszła?

Nie powinni tego robić. On to wiedział. Ona to wiedziała. Powiedzieli sobie, że widzą się ostatni raz. Zupełnie, jakby potrafili się na to zdecydować. Myśl o spotkaniu budziła w niej jednocześnie rozpacz i ekstazę.

Zajęła się opróżnianiem zmywarki do naczyń i nakrywaniem do stołu. Zapalaniem świec.

Podłączyła głośniki do iPod'a i po chwili od ścian odbijał się głos Rufusa Wainwrighta. Była to ich ulubiona piosenka, przepelniona tęsknotą.

Zastanowiła się nad kąpielą, wiedząc, że w szafie wisi jej szlafrok. Nie było tu wielu śladów ich obecności— kilka książek, ubrania na zmianę, dwie szczoteczki do zębów. To nie był dom, to był sekret.

Przejrzała się w lustrze - jej włosy były w nieładzie, a oczy błyszczały. Niedługo tu będzie.

Na pewno będzie. To jemu zależało na spotkaniu.
Wyznaczona godzina minęła, ale nikt się nie pojawił.
Schuyler podciągnęła kolana pod brodę,
starając się stłumić narastającą falę rozczarowania.
Niemał zasnęła, kiedy dostrzegła cień na tarasie.
Spojrzała z nadzieją, czując mieszaninę oczekiwania i
głębokiego, przejmującego smutku. Jej
serce waliło jak oszalałe. Nawet jeśli widywała go
codziennie, zawsze było jak za pierwszym
razem.
— Cześć — odezwał się chłopak, wynurzając się z
cienia. Ale nie był tym, na kogo czekała.

PIĘĆ

Zebranie toczyło się zwykłym torem. Sekretarz
zaprotokołował listę obecnych. Zjawili się
przedstawiciele
wszystkich starych rodów: do oryginalnej siódemki
(Van Alenowie, Cuderowie, Oelrichowie,
Van Hornowie, Schlumbergerowie, Stewartowie i
Rockefellerowie) z czasem dołączyli

liwellynowie, Dupontowie (których reprezentowała zdenerwowana Eliza, siostrzenica zmarłej Priscilli), Whitneyowie i Carondoletowie. Oto Rada Starszych - elita błękitnokrwistych. Tu właśnie podejmowano decyzje dotyczące przyszłych losów ich społeczności.

Lawrence powitał wszystkich serdecznie na pierwszym wiosennym zebraniu i przedstawił porządek obrad: plany dotyczące pozyskania funduszy na Nowojorski Bank Krwi, najnowsze odkrycia w dziedzinie chorób krwi i ich znaczenie dla błękitnokrwistych, raport ze stanu funduszy inwestycyjnych - błękitno-krwiści wiele inwestowali w rynek akcji, a obecny kryzys sprawił, że stracili miliony dolarów.

Mimi myślała, że zaraz wyjdzie z siebie. Lawrence prowadził) zebranie, jakby wszystko było w porządku, jakby obok niego nie siedział zdrajca. Miała wrażenie, że za moment szlag ją trafi. To przecież Kingsley wezwał srebrnokrwistego, Kingsley zaaranżował atak na

Repozytorium, okazał się ukrytym mózgiem spiskuj a teraz siedział tutaj, jakby to było jego miejsce.

Pozornie członkowie Rady zachowywali się równie spokój' nie, uprzejmie i niewzruszenie jak zawsze, ale Mimi wyczuwała; lekki niepokój, cień sprzeciwu w ich szeregach. Czemu Lawrence nie powiedział ani słowa? Stary dziad bełkotał coś o rynkach wtórnych i ostatnich katastrofalnych wydarzeniach na Wall Street. No, nareszcie... Lawrence spojrział na Kingsleya. Wreszcie czas na jakieś wyjaśnienie.

Ale nie. Lawrence rzeczowo oznajmił, że Kingsley przedstawi swój raport i oddał głos tak zwanemu venatorowi, Poszukiwaczowi Prawdy, członkowi wampirze] tajnej policji.

Kingsley zaszczycił zebranych ponurym uśmiechem.

— Szanowni członkowie Rady i... ty, Mimi — zaczął. Był tak samo diabelsko przystojny, jak zawsze, ale od kiedy zdemaskował się jako venator, wyglądał na starszego. Nie jak zbuntowany

młodziak, ale jak poważny i posępny mężczyzna w ciemnym płaszczu i krawacie.

Kilkoro członków Rady uniosło brwi, a białowłose Brooks Stewart rozkaszał się tak, że

Cushing Carondolet musiał go kilka razy rąbnąć w plecy. Kiedy zamieszanie ucichło,

Kingsley bez słowa komentarza kontynuował.

- Przynoszę złe wieści. Na kontynencie południowoamerykańskim coś się zaczyna dziać. Mój zespół zauważył złowieszcze znaki, wskazujące na możliwość infractio.

Mimi знаła to słowo ze świętego języka— Kingsley mówił, że coś miało pęknąć. Ale co?

- Co się tam dzieje? - zapytał Dashiell Van Horn. Mimi rozpoznała w nim jednego z inkwizytorów na jej procesie.

- Szczeliny u podnóża Corcovado. Doniesienia o zniknięciu niektórych Starszych z tamtejszej

Rady. Alfonso Almeida nie powrócił z wycieczki w Andy. Jego rodzina jest zaniepokojona.

Esme Schlumberger prychnęła.

- Alfie po prostu lubi raz do roku powłóczyć się po dziczy. Mówi, że dzięki temu zachowuje więź z naturą. To nic nie oznacza.

- Ale Corcovado — to brzmi niepokojąco — odezwał się Edmund Oelrich, który po śmierci

Priscilli przejął obowiązki Dowódcy Straży.

- Wobec tego, co wiemy o srebrnokrwistych, i tego, że jeden z nich był w stanie dostać się do

samego Repozytorium, wszystko jest możliwe - powiedział Kingsley.

- Zaiste — zgodził się Dashiell Van Horn, poprawiając półokrągłe okulary.

Lawrence skinął głową.

- Na pewno słyszeliście plotki, jakoby przed swoim zniknięciem srebrnokrwisci zbiegli do

Ameryki Południowej. Błękitno -krwisci trzymali się na północy, więc niektórzy sądzą, że

srebrnokrwisci udali się na południe, aby się przegrupować. Oczywiście nie mamy żadnych

dowodów...

Członkowie Rady poruszyli się niespokojnie. Od czasu ataku na Repozytorium musieli

przyznać, że Lawrence, dawny wyrzutek, miał od początku rację. Ze Strażnicy świadomie zignorowali znaki, schowali głowy w piasek jak stado strusi, zbytnio obawiając się zaakceptować prawdę: srebrnokrwisci, demony z legend| ich starożytni wrogowie, powrócili.

- Do tej pory nie mieliśmy - przytaknął Kingsley. - Ale wszystko wskazuje na to, że

podejrzenia Lawrence'a nie były bezpodstawne.

- Nie potrafię nawet wyrazić, w jak śmiertelnym niebezpieczeństwie się znajdziemy, jeśli

Corcovado upadnie - ostrzegł Lawrence.

- Ale... nikt nie zginął? — zapytała nieśmiało Eliza Dupont.

- Nic nam o tym nie wiadomo - potwierdził Kingsley. - Za-ginęła także dziewczyna z

młodszej generacji, Yana Ribero. Jednakże jej matka przypuszcza, że uciekła ze swoim

chłopakiem na weekend w Punta del Este - dodał z uśmiechem.

Mimi nie odzywała się. Była jedynym członkiem Rady, który nie zabrał jeszcze głosu w

dyskusji. W Nowym Jorku od czasu tragedii w Repozytorium nikt nie zginął ani nie został zaatakowany. Czowała się sfrustrowana tym, że nie pamięta, czemu Corcovado jest tak ważne - najwyraźniej wszyscy inni w Radzie wiedzieli, tylko nie ona. To było irytujące, nie dysponować pełnymi wspomnieniami.

Ta nazwa absolutnie nic jej nie mówiła. I w życiu nie zamierzała pytać innych - była na to zbyt dumna. Może namówi Charlesa, żeby ją oświecił, chociaż po odejściu z Rady nie interesował się praktycznie niczym poza siedzeniem w swoim gabinecie, studiowaniem pożółkłych książek i fotografii lub słuchaniem stłumionych nagrań na starym, ośmiościeżkowym magnetofonie.

— Jak pokazał atak na Repozytorium, srebrnokrwieści nie są

Z legendą, którą możemy ignorować. Trzeba działać szybko, corcovado nie może upaść —

oznajmił Lawrence. O czym on w ogóle mówił? Mimi żałowała, że nie ma pojęcia.

- Więc jaki mamy plan? - zapytał Edmund. Atmosfera się zmieniła. Niepokój z powodu

obecności Kingsley a zastąpił niepokój z powodu przyniesionych wieści.

Kingsley przełożył leżące przed nim papiery.

- Dołączę do mojego zespołu w stolicy. Sao Paulo to szczyt gniazdo, doskonałe miejsce,

żeby się ukryć. Pieszko dotrzemy do Rio de Janeiro, sprawdzimy sytuację na Corcovado i

porozmawiamy z rodzinami.

Lawrence skinął głową. Mimi pomyślała, że zakończy zebranie, ale tak się nie stało. Wyjął

cygaro z kieszeni koszuli. Kingsley pochylił się z zapaloną zapałką, a Lawrence zaciągnął się

głęboko. Dym wypełnił powietrze. Mimi chciała podnieść rękę i przypomnieć o

ustanowionym przez Radę zakazie palenia, ale nie ośmieliła się.

Regis surowym wzrokiem zmierzył zgromadzonych.

— Jestem świadomy, że niektórzy z was zastanawiają się, czemu towarzyszy nam dzisiaj

Kingsley - powiedział, wreszcie odpowiadając na nurtujące wszystkich pytanie.

Zaciągnął się cygarem.

- Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę dowody przedstawione podczas próby krwi. Jednakże

od tamtej pory dowiedziałem się, że Martinowie, a w szczególności Kingsley, są niewinni. Ich

działania były usprawiedliwione misją zleconą przez byłego Regisa. Dla bezpieczeństwa

Zgromadzenia nie mogę udzielić na ten temat żadnych dalszych informacji.

Jej ojciec! Charles miał z tym coś wspólnego - ale dlaczego Lawrence nie mógł wyjawić, o co

chodziło?

- Jaką misją? - zażądał odpowiedzi Edmund. - Czemu Rada nie została o tym powiadomiona?

- Nie wolno nam podważać decyzji Regisa - przypomniał ostro Forsyth Llewellyn.

- Nie mamy takiego zwyczaju - przytaknęła Nan Cutler. Mimi widziała, że zgromadzeni

podzielili się na równe grupy:

połowa członków była oburzona i zaniepokojona, a druga połowa — gotowa bez zastrzeżeń

przyjąć oświadczenie Lawrence'a. To i tak nie miało znaczenia. Zgromadzenie nie rządziło się

według zasad demokracji, Regis był absolutnym przywódcą, którego słowo stanowiło prawo.

Mimi zadrzała z ledwie powstrzymywanej wściekłości. Co się stało z tą Radą, która zaledwie

kilka miesięcy temu skazała ją na śmierć/ To nie było w porządku! Jak mogli ufać

„nawróconemu" srebrnokrwistemu?

- Czy ktoś chce złożyć formalny sprzeciw? - zapytał spokojnie Lawrence. - Edmund?

Dashiell?

Dashiell opuścił głowę.

-Nie. Wierzymy w ciebie, Lawrensie.

Edmund niechętnie przytaknął.

- Dziękuję wszystkim. Kingsley ponownie jest członkiem Rady z prawem głosu, odzyskuje

także pełny status venatora. Powitajmy go z powrotem wśród nas. Bez Kingsleya wieści o

Corcovado nie dotarłyby do nas tak prędko.

Rozległ się szmerek braw.

Zebranie zakończyło się, a Starsi podnieśli się, skupiając w szepczących grupkach. Mimi

zauważyła, że Lawrence rozmawia przyciszonym głosem z Nan Cutler.

Kingsley podszedł do Mimi i lekko dotknął jej ramienia.

- Chciałem tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło. Procesu i tak dalej.

- Wystawiłeś mnie - syknęła, strząsając jego dłoń.

- To było konieczne. Ale cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu - odparł. Jednak ton jego

głosu wskazywał, że jej dobre zdrowie nie obchodzi go w najmniejszym stopniu.

SZEŚĆ

Chłopak podszedł do kominka, blask ognia oświetlił jego twarz. Wyglądał jak zawsze - te

same smutne oczy, ta sama szopa czarnych włosów.

Nadal miał na sobie brudny T-shirt i

dżinsy, w których Schuyler widziała go po raz ostatni.

—,Dylan! Ale jakim cudem? Co się stało? Gdzie byłeś?

— z uśmiechem szczęścia podbiegła,

żeby go uścisnąć. Dylan żył! Nie jego oczekiwała, ale był gorąco witany gościem. Miała do

niego tak wiele pytań: co się stało tamtej nocy, kiedy zniknął? Jak uciekł srebrnokrwistym?

Jak udało mu się przeżyć?

Ale kiedy tylko znalazła się bliżej, uświadomiła sobie, że coś jest bardzo nie tak. Na ponurej

twarzy Dylana malowała się wściekłość. Miał rozbiegany wzrok i wyglądał, jakby był na

granicy hysterii. — Co się dzieje?

Z szybkością błyskawicy Dylan uderzył ją siłą swojej woli, telepatycznym pchnięciem -

TRZASK.' - ale Schuyler była szybsza i zdołała uniknąć ciosu.

- Dylan! Co ty wyprawiasz? - podniosła ręce, jakby próbując się osłonić, jakby fizyczny opór

mógł jej cokolwiek dać.

TRZASK.' Kolejne uderzenie. Tym razem poparte sugestii żeby rzuciła się z balkonu.

Schuyler zakrztusiła się, czując, że jej umysł zaraz eksploduje od ciśnienia, z którym próbowała walczyć.

Uciekła na taras, niezdolna powstrzymać jego sugestii o przejęciu kontroli nad jej zmysłami.

Spojrzała przez ramię. Dylan był tuż za nią. Patrzył z zimnym okrucieństwem, jakby został opętany przez coś złowrogiego.

— Czemu to robisz? — jęknęła, kiedy wysłał kolejny rozkaz. SKACZJ

Tak. Musi się zastosować, musi posłuchać - SKACZ.' - Tak robi to, ale jeśli nie będzie

uważać, a nie miała czasu, żeby uważać... Może stracić równowagę... może... O Boże, a jeśli

Lawrence nie miał racji? Jeśli nie jest nieśmiertelna? W końcu jest w połowie człowiekiem...

Co, jeśli nie przeżyje? Co, jeśli w odróżnieniu od innych błękitnokrwistych okaże się

wyłączona z cyklu snu, spoczynku i reinkarnacji? Co, jeśli to jedyne życie, jakie ma? Ale teraz

było o wiele za późno, by się o to martwić —nie miała wyboru. SKACZ. Nie widziała, dokąd

idzie, wymachiwała rękami, szukając oparcia. .. Był tuż za nią, więc musiała...

Skoczyła z tarasu szerokim łukiem...

Nie miała czasu, by złapać się czegokolwiek, przytrzymać się balustrady... Chodnik zbliżał się...

Schuyler przygotowała się na uderzenie i wylądowała na obu nogach. ŁUP W samym środku

eleganckiego tłumu, tłoczącego

się przed restauracją St. Perry. W tłumie nowojorskich wyrzutek, skazanych na kaprysy pogody, ponieważ byli palaczami.

W następnej sekundzie Dylan znalazł się tuż za nią. Był tak niesamowicie szybki...

A potem ogarnął ją potężny przymus: to już nie była prosta Sugestia, to było całkowite

przejęcie kontroli. Zmiażdżenie woli. Lawrence opowiadał jej o tym słabo poznanym piątym

typie uroku. Consummo alienari. Całkowite zatracenie jednego umysłu w drugim.

Dla czerwonokrwistych to oznaczało natychmiastową śmierć. Dla wampirów - nieodwołalny

paraliż, ponieważ przejęcie całkowitej kontroli nad ich umysłem oznaczało, że ich wola

zostawała całkowicie zdławiona. Lawrence powiedział jej, że srebrnokrwisci nie tylko

pochłaniali krew i wspomnienia innych wampirów, przeprowadzając caerimonia osculor na

swoich współbraciach. Znali także wiele innych tortur. Nie osuszali całkowicie wszystkich

swoich ofiar, niektóre pozostawiali przy życiu, ponieważ były im bardziej potrzebne jako

pienki.

Schuyler czuła przytłaczający ciężar auenari... Miała się już poddać, o tyle łatwiej było

zrezygnować z walki, niż ją kontynuować... Czuła, że słabnie pod naciskiem tej siły... Co z

niej zostanie, jeśli mu się uda? Pomyślała o swojej matce, zawieszanej między życiem a

śmiercią - czy ją także czekał podobny los? Chwiała się na nogach, niedługo będzie po

wszystkim. Ale dostrzegła coś w gęstniejących mrocznych oparach — jakby ogon, ogon

uroku - i zdołała wychwycić jego sygnał, zorientować się, która część próbuje nad nią przejąć

kontrolę, a wtedy obróciła to,

jakby walczyła z aligatorem, którego trzeba złapać za łeb i przekręcić - i po chwili to ona

przejmowała kontrolę, zmuszała to coś do poddania się jej woli i...

Dylan krzyczał — teraz on cierpiał — teraz on był pod ścianą niezdolny do poruszenia się,

podczas gdy jej umysł przytrzymywał go w uścisku.

Czuła to, czuła swoją dominację, chciwą

radość z odniesionego zwycięstwa. Ścisnęła go — całą jego istotę — swoim umysłem.

Trzymała go jak w imadle.,,

Zabijała go...

Niedługo on przestanie być sobą, stanie się tylko przedłużeniem jej woli... Jeśli...

- SCHUYLER! PRZESTAŃ! -NIE RÓB TEGO!

- SCHUYLER! - ryk.

Jej imię. Ktoś ją wołał. Oliver chciał, żeby przestała.

Schuyler częściowo zwolniła uścisk. Wciąż trzymała wyciągniętą rękę, a kilka metrów od niej

Dylan tkwił pod ścianą, przy- i trzymywany siłą jej woli. Charczał, nie mogąc złapać oddechu.

- PROSZE! — tym razem dziewczęcy głos. Bliss. Dobra. Puściła go.

Dylan osunął się na ziemię.

SIEDEM

Przybiegła najszybciej, jak mogła. Widziała, wszystko z okna taksówki; skok Schuyler,

pościg Dylana i odparty atak. Była świadkiem cierpienia Dylana i tego jak Schuyler przejęła

nad nim kontrolę. O Boże, żeby tylko go nie zabiła.

— Dylan! — Leżał na chodniku twarzą do ziemi, więc odwróciła go łagodnie i przytuliła. Był

taki szczupły... skóra i kości okryte T-shirtem. Trzymała go delikatnie, jak pisklę. Był zmalretowany

i żałosny, ale należał do niej. - Dylan!

Kiedy wróciła z castingu do domu i, mimo że byli umówieni, nie zastała go, od razu

wiedziała, że coś jest nie tak. Zadzwoiła do Olivera i poprosiła, żeby spotkał się z nią pod apartamentowcami na Perry Street najszybciej, jak zdoła. Dylan cały czas powtarzał, że coś planuje, a teraz zamierzał to zrobić. Na szczęście Bliss wiedziała, gdzie go znaleźć, ponieważ znała sekret Schuyler i wiedziała, gdzie jej przyjaciółka będzie tego wieczora.

Dylan otworzył oczy. Odsunął się od Bliss i spojrzał na Schuyler.

- Argento Croatus! — krzyknął gromkim, głębokim głosem.

- Oszalałeś? - zapytała Schuyler, koło której stanął już Oli ver. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Dylan właśnie nazwał ją srebrnokrwistą. Co tu się działo? Co się z nim stało?

Dlaczego jego głos tak dziwnie brzmiał?

- Dylan, przestań. Sky, on nie wie, co mówi— wyjaśniła nerwowo Bliss. - Dylan, proszę, gadasz bez sensu.

Dylan stracił kontakt z rzeczywistością, jego źrenice zwężyły się gwałtownie, jakby ktoś

poświecił w nie latarką. Zaczął się zanosić wysokim, zgrzytliwym śmiechem.

- Wiedziałaś, że wrócił, i nie powiedziałaś mi - oskarżycielsko rzuciła Schuyler.

- Wiem — Bliss gwałtownie zaczerpnęła powietrza. — Niej powiedziałam ci, bo...

Bo ty powiedziałaś Radzie. Przez ciebie by go zabrali. I tak, oni się zmienił. Jest inny. Nie

taki, jak dawniej. Stało się z nim coś nie wyobraźalnie okropnego. Aleja go dalej kocham.

Rozumiesz, prawda? Sama dopiero co czekałaś na chłopaka, który nie przyszedł.

Schuyler skinęła głową. Rozumiały się bez słowa, jak to bywało między wampirami.

- Nie można go tak zostawić, trzeba mu jakoś pomóc - Schuyler podeszła do nich.

—Nie dotykaj mnie! — warknął Dylan. Nagle zerwał się na nogi i chwycił Bliss za gardło,

zaciskając gwałtownie kościste palce na jej bladej szyi.

- Skoro nie chcesz mi pomóc, musisz być jedną z nich - powiedział złowieszczo, wzmacniając

uchwyt.

Bliss rozplakała się.

- Dylan... przestań.

Schuyler chciała się rzucić do nich, ale Oliver ją powstrzymał.

- Czekaj — powiedział. — Zaczekaj... Nie chcę, żebyś znowu została zraniona...

Tymczasem Dylan coraz mocniej naciskał na Bliss potęgą uroku, jego bezlitosna furia i siła

były przerażające w swej bezwzględności. Bliss opadła na kolana. Nie potrafiła bronić się telepatycznie,

jak wcześniej Schuyler.

Teraz to Schuyler krzyczała, Schuyler błagała go, żeby przestał.

Dylan nie zwrócił na nią uwagi. Wolną ręką pogładził policzek Bliss. Pochylił się do jej szyi,

Schuyler widziała, jak wysuwają się jego kły. Za chwilę przebije jej skórę, wytaczając krew.

- Nie... Dylan... proszę - wyszeptała Bliss. - Nie,..

- Puść mnie - Schuyler odepchnęła Olivera. Bliss patrzyła, jak jej przyjaciółka gorączkowo

przygotowuje inkantację, która miała przełamać siłę woli Dylana.

Ale moment przedtem, zanim Schuyler wysłała rozkaz,
ramiona Dylana zadrżały i nagle sam
osunął się na ziemię, wypuszczając swoją ofiarę. Bliss
skuliła się, na jej szyi widniały
fioletowe ślady palców.

Dylan wtulił głowę w kolana i zaszlochał.

- Co tu się, do diabła, stało? - jęknął i wreszcie jego głos
zabrział znajomo. Po raz pierwszy
tego wieczora Dylan wydał im się taki, jak dawniej.

OSIEM

Próbuj - Mimi podniosła łyżeczkę, na której drżał
kawałek galaretki. — Jest pyszne.

Jej brat popatrzył nieufnie na przystawkę. „Galaretka z
ogórków morskich z musem

szparagowym" nie brzmiała zachęcająco. Ale odważnie
skosztował.

- Widzisz? — uśmiechnęła się Mimi.

- Niezłe - przyznał Jack. Jak zawsze miała rację.

Siedzieli w osłoniętej wnęce, w restauracji

mieszczącej się

w lśniącym Time Warner Center. W restauracji, która aktualnie uchodziła za najdroższą i najbardziej ekskluzywną na Manhattanie. Zdobyć stolik w Per Se było porównywalne ze zdobyciem zaproszenia na prywatną audiencję u papieża: praktycznie niemożliwe. Ale od czego są sekretarki tatusia?

Mimi lubiła nowe centrum handlowe, jak zwykła je nazywać. Było lśniące i gładkie, zupełnie jak Force Tower. I pachniało ekscytującą ekskluzywnością, jak nowy mercedes. Budynek wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało, stanowił pean na cześć kapitalizmu i pieniędzy.

Na posiłek dla dwóch osób w dowolnej z jego czterogwiazdkowych restauracji trzeba było wydać co najmniej pięćset dolarów. To był siedmiocyfrowy Nowy Jork u schyłku epoki boomu gospodarczego, Nowy Jork finansistów i błyskawicznych miliarderów, Nowy Jork zuchwałych rekinów; giełdowych z olśniewającymi żonami prezentującymi ciała po

liposukcji i kosztowne fryzury z zagęszczonych włosów.

Jack, oczywiście, nie cierpiał tego wszystkiego. Jack wolał miasto, którego nie miał okazji

poznać. Tęsknił za legendarnymi czasami, kiedy brukowane ulice przemierzali Jackson

Pollock i Dylan Thomas. Lubił kurz i brud tamtej epoki, kiedy Times Square słynął z

oszustów i naciągaczy, a podziemne bary serwowały soki owocowe (ponieważ w klubach ze

striptizem i nie wolno było podawać alkoholu). Nie mógł znieść Nowego Jorku, którym

władały Jamba Juice, Pinkberry i Cold Stone Creamery*.

Spodziewał się, że zniełubi także kosztowną, szesnastostoli-kową restaurację w środku

czegoś, co w zasadzie było centrum 'j handlowym. Ale Mimi widziała, że w miarę pojawiania

się kolejnych dań — zestawione z ostrygami i kawiozem, białych truflి w towarzystwie

śliskiego makaronu tagliatelle, smarowanej szpikiem najlepszej wołowiny z Kobe - Jack

zaczyna zmieniać zdanie. Każde danie starczało na kilka kęsów, tylko tyle, aby I podrażnić

zmysły i zostawić je w oczekiwaniu na następną porcję delikatesów.

Kiedy tu weszli, spostrzegli, że restauracja roi się od błękitnokrwistych, co było o tyle

niespotykane, że wampiry jadły tylko dla przyjemności. Jednak najwyraźniej nawet ci, którzy

nie potrzebowali ludzkiego pokarmu, lubili dogadzać swoim kubkom smakowym. Starsza

para, emerytowani członkowie Rady Margery i Ambrose Barlowowie — siedzieli przy

narożnym Stoliku. Mimi zauważyła, że Margery po każdym daniu od nowa zapada w

drzemkę. Ale kelner, sprawiający wrażenie przyzwyczajonego do takiego zachowania, po

prostu budził ją potrząsając, kiedy przynosił nową potrawę.

— A jak tam zebranie? — zapytał grzecznościowo Jack, odkładając łyżkę i dając kelnerowi

znak, że już skończył.

— Interesujące — pociągnęła łyk wina z kieliszka. —
Wrócił Kingsley Martin.

* Znane sieciowe restauracje i kafejki (przyp. tłum.).

Jack wyglądał na zaskoczonego.

— Ale on...

— Wiem — wzruszyła ramionami Mimi. - Lawrence
niczego nie wyjaśnił. Najwyraźniej jest

jakiś powód, ale zbyt ważny, żeby dzielić się nim z
Radą. Słowo honoru, on rządzi się,

jakbyśmy żyli w siedemnastym wieku. To całe gadanie
o „członkach z prawem głosu”, to

farsa. Nie pyta nas o zdanie, o nic. Po prostu robi, co
chce.

— Musi mieć jakiś powód — powiedział Jack, a jego
oczy rozjaśniły się, kiedy kelner

przyniósł nowe smakołyki. Z rozczarowaniem
stwierdził, że jest to po prostu porcja sałatki

ziemniaczanej.

Mimi także się skrzywiła. Oczekiwała
gastronomicznych fajerwerków, a nie potrawy na

piknik. Ale jeden kęs sprawił, że zmieniła zdanie.

- To jest... najlepsza... sałatka ziemniaczana... na świecie - zgodził się Jack, łakomie pożerając swoją porcję.

- Fajnie jest, nie? - spytała Mimi, wskazując salę i widok na Central Park. Sięgnęła przez stół i wzięła go za rękę.

To, że omal nie zginęła w Wenecji, było prawdopodobnie najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się w ich związku. Perspektywa utracenia bliźniaczki na zawsze sprawiła, że Jack okazywał mi niespotykane wcześniej przywiązanie.

Wciąż pamiętała, jak tulił ją tej nocy po próbie krwi. W jej den wieczór postarzał się ze zmartwienia. „Tak się bałem. Tak się bałem, że cię stracę”.

Mimi była dostatecznie poruszona, żeby wybaczyć mu wszystko. „Nigdy, najdroższy. Zawsze będziemy razem”.

A potem ani razu nie było mowy o Schuyler. Nawet kiedy ta mała glista przeprowadziła się

do nich, Jack pozostał chłodny i obojętny. Nie odzywał się do niej, prawie na nią nie patrzył.

O ile Mimi mogła stwierdzić, skrycie przeglądając jego umysł, kiedy nie uważał, w ogóle nie myślał o Schuyler. Była tylko irytującym gościem. Niemożliwą do usunięcia plamą.

Może mimo wszystko zdołała osiągnąć to, czego chciała. Nie udało jej się pozbyć Schuyler, ale atak na rywalkę ostatecznie zapewnił Mimi miłość Jacka.

— Homary w maśle — zaszemrał kelner, stawiając dwa nowe talerze.

— No więc tak myślałam, że chyba możemy wszystkich zaprosić na odnowienie więzi -

powiedziała Mimi między jednym kęsem a drugim.

Jack jęknął.

— Tak, wiem, ty byś chciał staroświecko, tylko nas dwoje w świetle księżyca, bla bla bla. Ale

pamiętasz Newport? To była impreza z prawdziwego zdarzenia. I wiesz, teraz wypada

zaprosić Czteryestu na ceremonię więzi. Słyszałam, że Daisy Van Horn i Toby Abeville

urządzili ceremonię na Bali. Nazywało się to Lzwiązani
przeznaczeniem" - szczebiotała

Mimi.

Jack zamówił następną butelkę wina.

— Wiesz, że większość czerwonokrwistych bierze teraz
ślub koło trzydziestki? Po co się

mamy spieszyć? — zapytał, z satysfakcją próbując
siódmego — czy może ósmego? — dania:

schłodzonego kremu z groszku.

— Cóż, moja krew jest błękitna — Mimi wydeła wargi.
To prawda, jej znajomi

czerwonokrwieści czekali absurdalnie długo, żeby się z
kimś związać, ale to były pospolite

ziemskie śluby. Ludzie każdego dnia łamali składane
przysięgi bez żadnych konsekwencji. W

ich przypadku chodziło o sprawy niebieskie.

Wprawdzie tradycyjnie wampirze bliźnięta

odnawiały więź w dniu dwudziestych pierwszych
urodzin, ale Mimi nie widziała powodu,

żeby czekać. W Kodeksie nie było ani słowa o tym, że
nie można przeprowadzić ceremonii

wcześniej. Im szybciej złożą przysięgę, tym lepiej.

Kiedy ceremonia się dopełni, ich dusze zostaną
złączone. Nic nie będzie mogło ich rozdzielić.

Staną się jednością w tym wcieleniu, tak jak we
wszystkich wcześniejszych. Kiedy więc zostanie
przypieczętowana, nie może już zostać złamana w
aktualnym cyklu. Schuyler

pozostanie tylko odległym wspomnieniem.

Jack zapomni o wszelkich uczuciach, jakie wobec niej
żywił Tajemniczemu działaniu więzi

nie można się było oprzeć. Mimi pamiętała to z
poprzednich wcieleń - jej brat w młodości

wzdychał do Gabrieli (która w tym cyklu była Allegra
Van Alen ale po złożeniu przysięgi

całkowicie zapomniał o jej istnieniu. Azrael
pozostawała jedyną mroczną gwiazdą w jego
wszechświecie i...

- Nie powinniśmy najpierw skończyć szkoły? - zapytał
Jack. Mimi nie słuchała. Już

planowała przymiarki sukni na ceremonię.

- Sama nie wiem, może powinniśmy uciec do Meksyku?
Jak myślisz?

Jack uśmiechnął się, powracając do jedzenia zupy.

DZIEWIĘĆ

Schuyler uświadomiła sobie, że ostatni raz była w Odeonie także z Oliverem i Dylanem. To

było trochę ponad rok temu: niedługo po tym, jak Dylan przeniósł się do Duchesne, przywiózł

ich tutaj szofer Olivera. Włączyli się po ulicach, zaglądając do sklepów i księgarni, wtykali

ręce do szklanych aptekarskich słoików i pozwalali, aby Cyganka odczytała przyszłość z ich

dłoni. Aż wreszcie na koniec dnia przyszli do tej restauracji, rozparli się na wygodnych,

pokrytych czerwoną, spękaną skórą siedziskach i jedli maules frites. Dylan zamawiał piwo na

fałszywy dowód i opowiadał im, jak był wyrzucany z każdej kolejnej szkoły prywatnej na

północnym wschodzie.

Teraz Dylan miał dla nich inną historię, a Bliss siedziała bez słowa u jego boku.

Opowiadał im, co się z nim działo.

Schuyler pomyślała, że teraz, kiedy nie próbował jej zabić, Dylan nie wydawał się taki

przeróżający, taki szalony i zdezorientowany. Teraz po prostu wyglądał na zabiedzonego, jak

kot zostawiony na deszczu przez właścicieli, którzy pojechali': na urlop. Miał żółtawą skórę,

podkrążone oczy i ciemne ślady na policzkach, a na jego rękach widniało mnóstwo drobnych!

zabliźnionych ranek, jakby wybił nimi szybę. Może zresztą tak było.

Oliver objął Schuyler ramieniem. Po tym, co się stało, nie obchodziło go, czy ktoś może ich

zobaczyć. Tym razem także] Schuyler nie miała nic przeciwko temu. Cieszyła się z jego do-]

tyku. Dobrze się czuła ze świadomością, że ktoś ją chroni. Powędrowała myślami do pustego

apartamentu przy Perry Street.; Ale zmusiła się do skupienia na słowach Dylana.

— Serio, niewiele pamiętam. Wiecie, że uciekłem. Poszedłem do starej strażnicy na Shelter

Island... Tam się schowałem. Ale ta bestia mnie w końcu dorwała. Nie bardzo pamiętam, co

się działo, jakoś znowu udało mi się uciec i tym razem pomogli mi venatorzy — oznajmił z

podziwem w głosie. — Słyszeliście o nich, nie?

Skinęli głowami. Wiedzieli, że jeden z nich został wysłany do Duchesne. Bliss powiedziała

im o powrocie Kingsleya Martina, bo jej ojciec był obecny na tamtym zebraniu Rady. Ale

Schuyler nie zwróciła uwagi na te rewelacje, chciała wiedzieć, co działo się z Dylanem.

- No więc pozwolili mi zostać, zaopiekowali się mną, kiedy dochodziłem do siebie. Jeden z

tych srebrnokrwistych paskudnie mnie ranił w szyję. Ale venatorzy powiedzieli, że wszystko

jest w porządku, że nie zostałem skażony... Wiecie, zamieniony

w jednego z nich. W każdym razie podsłuchałem ich rozmowę... - Spojrzał nieufnie na

Schuyler. - Ze Rada w końcu odkryła, kto jest ukrywającym się wśród nas srebrnokrwistym i

powiedzieli... I - Powiedzieli, że to ja, tak? - zapytała Schuyler, sięgając po frytkę z talerza

Olivera. Dylan nie zaprzeczył.

— Powiedzieli, że to byłeś ty, tej nocy przy The Bank. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem, było

to, że się spotkaliśmy. Powiedzieli, że ty mnie zaatakowałaś.

— I uwierzyłeś? — spytała.

— Sam już nie wiem, w co wierzyć.

— Czy ty w ogóle wiesz, kim ona jest? — rzucił Oliver.

— Znaczy, stary, świetnie, że

wróciłeś i w ogóle, ale chrzaniśz od rzeczy. Schuyler jest... Jej mama jest... — Oliver był tak

rozzłoszczony, ^Ze nie mógł dokończyć.

— Znasz historię Gabrieli? — zapytała Schuyler.

— Trochę - przyznał Dylan. — Gabriela Bez Skazy, złączona więzią z Michałem o Czystym

Sercu. Jedyne wampiry, które nie zgrzeszyły przeciwko Wszchemogącemu. W tym cyklu

Micha! jest Charlesem Force'em. I co z tego?

— Gabriela to moja matka — wyjaśniła Schuyler.

— Pokaż mu — nalegała Bliss.

Schuyler przesunęła wielki męski zegarek, który nosiła na prawym nadgarstku. Przesunęła go

tak samo, jak zrobił to Charles Force tego wieczora, kiedy oskarżyła go o bycie

srebrnokrwistym. To zabawne, że musiała teraz uciec się do udowodnienia swojej niewinności w taki sam sposób.

Na jej skórze, tak jak na skórze Charlesa, widniał znak. Wypukłość, jakby wypalone piętno.

Miecz przeszywający chmury...

— Co to jest? - spytał Dylan.

— Znak Archanioła - wyjaśnił Oliver. - Ona jest Córką Światła. Nie ma szans, żeby była

srebrnokrwista, jest ich przeciwieństwem. Czymś, czego się boją.

Schuyler dotknęła znaku. Miała go od zawsze, od urodzenia. Myślała, że to po prostu

dziwaczne znamię i dopiero Lawrence] zwrócił na nie jej uwagę.

Dylan wpatrywał się w lśniący znak. Przeżegnał się. Opuścił głowę, patrząc na swój stek z frytkami.

— Więc kim oni byli, ci venatorzy, którzy mnie uratowali?- zapytał ochryple.

Oliver uśmiechnął się blado. Postukał w blat stołu tuż przed swoim przyjacielem.

— To chyba oczywiste? -Nie.

— Świetnie wiem, kim byli. Srebrnokrwistymi.

DZIESIĘĆ

Na pewno wszystko w porządku? — Bliss rozejrzała się po zapuszczonym pokoju w

Chelsea Hotel. Znalazła się tu po raz pierwszy, Dylan zawsze prosił, żeby spotykali się w

holu. To miejsce z pewnością najlepsze czasy miało już za sobą. Teraz było jednym z tych

zniszczonych i rozpadających się przybytków dawnego Nowego Jorku, z barwną i pełną

skandali przeszłością. To w Chelsea odurzony heroiną Sid Vicious miał zamordować Nancy

Spungen*, a Dylan Thomas zapił się tu na śmierć. To miejsce zainspirowało piosenkę Boba

Dylana, za' tytułowaną Sara („Stayiri up for days at the Chelsea Hotel...”), a Allen Ginsberg

pisał tu swoje wiersze.

Bliss przeszła przez pokój, wyglądając przez żaluzje na deszczową ulicę. Pierwszej nocy po

powrocie Dylana czuła się zaskoczona i szczęśliwa, że go widzi. Nigdy na dobre nie

uwierzyła w jego śmierć, ale mimo wszystko niesamowicie się czuła, wiedząc, że naprawdę żyje.

Błagała go wtedy, żeby został blisko niej, ale się uparł. Powiel działał, że czuje się bezpieczniej

w tej okolicy i robi mu się zimno na myśl o kolejnej nocy w apartamencie jednego z

pięciogwiazdkowych, luksusowych hoteli.

Przypominały mu ten, w którym przetrzymywała

go Rada, kiedy był podejrzanym w sprawie śmierci Aggie Carondolet.

Odkąd wrócił, chciała być przy nim, czuć jego ciało blisko siebie. Teraz, kiedy wiedziała, że

podobnie jak ona jest wampirem, a nie tylko czerwonokrwistym, którego można wyssać,

ciągnęło ją do niego jeszcze bardziej. Zanim zniknął, nie łączył ich związek... bardziej flirt.

Coś miało się między nimi zacząć... Wciąż pamiętała smak jego skóry, dotyk jego dłoni na

swoich piersiach.

Ale Dylan nie wykazywał cienia ochoty, aby kontynuować to, co zaczęli. Nie odtrącił jej wprost, ale czuła się w pewien sposób odrzucona. Tamtej pierwszej nocy próbowała go objąć,; a on przytulił ją niecierpliwie i szybko wypuścił z ramion, jakby dotyk Bliss był dla niego odstręczający. Żądał, żeby natychmiast znaleźli Schuyler i stawili jej czoła, a Bliss godzinami go od tego odwodziła. Pokłócili się i odprowadziła go w końcu do hotelu, U którym od tamtej pory mieszkał...

W brudnym, śmierdzącym pokoju. Nie mieli tu sprzątaczek?! Czy to dopuszczalne? Gazety piętrzyły się niemal na wysokość j kolan, na podłodze wały się puste puszki, z popielniczek wy- \ sypywały się niedopałki.

— Przepraszam za ten bałagan.

Usiadła w rogu krzasiastej sofie, przykrytej szczątkami niedzielnej „Timesa”. Nagle poczuła się zmęczona. Czekwała na powrót Dylana, marzyła o nim tak długo ~ a teraz, gdy tu był,

wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. Wszystko było nie tak, nie tak, nie tak. Chciał skrzywdzić Schuyler. Chciał skrzywdzić nawet ją.

Dylan odezwał się, jakby usłyszał, o czym myśli:

— Bliss, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wiesz, że nigdy... nigdy...

Bliss skinęła tylko głową. Chciała mu wierzyć, ale siła jego woli, wciskająca się w jej umysł, nie pozwalała o sobie zapomnieć. Zrobił to, zupełnie jakby rzucił się na nią z nożem - nie fizycznym, ale nie mniej przez to ostrym.

* Autentyczna historia — chodzi o basistę Sex Pistols, a ostateczny przebieg wydarzeń nigdy nie został ustalony (przyp. tłum.).

Dylan usiadł obok i przyciągnął ją. Co on wyprawiał? Teraz chciał ją pocałować? Teraz chciał, żeby byli razem? Kiedy zrobił wszystko, żeby jej udowodnić, że mu na tym nie zależy?

Musiała przyznać rację Schuyler i Oliverowi. Dylan był niebezpieczny, zmienił się. Czy

został skażony? Czy stał się srebrnokrwistym? Zabił Aggie, prawda? Po spotkaniu w Odeonie

Dylan wszedł do taksówki, a Bliss szybko naradziła się szeptem ze Sky i Oliverem.

— On nie może być sam.

— Zostanę z nim — obiecała.

— Uważaj. On się zmienił.

— Nie jest normalny.

— Wiem - przyznała Bliss.

— Co zrobimy?

— Coś wymyślimy. Jak zawsze. - Oliver pozostał optymistą. A teraz siedziała w brudnym,

śmierdzącym pokoju, z chłopakiem, którego kiedyś kochała tak mocno, że po jego zniknięciu

serce bolało ją miesiącami.

Dylan zdjął kurtkę— jasnobezową tanią wiatrówkę, z rodzaju tych sprzedawanych w

sklepach z różnościami, w których można było znaleźć opony obok bielizny. Jak przez mgłę

pamiętała, że wepchnęła jego zakrwawioną skórzaną kurtką do śmietnika. Co się z nią stało?

Pewnie została spalona.

Zesztywniała, kiedy jego ręka musnęła jej ramię.

— Co ty wyprawiasz? - zapytała, próbując się rozzłościć. Alg czuła tylko gwałtowne, mdlące

podekscytowanie. Był zupełnie inny od czerwonokrwistych chłopców, z którymi się

spotykała. Mimi miała rację — kiedy było się z kimś ze swojego rodzaju, czuło się zupełnie

inaczej.

Potał nosem o jej policzek.

— Bliss... — szepnął jej imię, łagodnie i intymnie, pieszcząc! ciepłym oddechem jej ucho.

— Zostań ze mną — poprosił.

Zanim zdążyła choćby dla przyzwoitości zaprotestować, zręcznym manewrem przewrócił ją

tak, że leżeli na kanapie, jej kolana pod jego kolanami, jego biodra przyciśnięte do niej, jego

dłonie zaplątane w jej włosach. Przesunęła dłońmi po jego klatce piersiowej — był kościsty,

ale mięśnie nabrały twardości, jakiej dawniej nie miały.
Wsunął język w jej usta... to było

cudowne... Czują, że łyzy wymykają się jej spod powiek
i spływają po policzkach, a on je

scałowywał... Boże, jak ona za nim tęskniła...

Skrzywdził ją, ale może krzywdzi się tylko

tych, których się kocha?

Uniósł brzeg jej bluzki, a ona pomogła mu ją zsunąć.

Wtulił twarz w zagłębienie poniżej jej

szyi - i nagle odskoczył jak oparzony.

- Dalej masz to coś - odsunął się, na ile zdołał,
wciskając w przeciwległy róg sofy, byle dalej

od niej. - Palma Diabohs... - Mówił w języku, którego
nie rozumiała.

- Co jest? - spytała, wciąż oszołomiona jego
pocałunkami, pijana jego zapachem. Spojrzała,

na co wskazywał.

Naszyjnik. Zguba Lucyfera. Szmaragd wisiał na
łańcuszku pomiędzy jej piersiami. Jakoś tak

wyszło, że nigdy nie odłożyła go do sejfów ojca. Jakoś
tak wyszło, że zaczęła go stale nosić.

Dotyk kamienia w jakiś sposób ją uspokajał. Kiedy go dotykała, czuła się... lepiej.

Bezpieczniej. Bardziej sobą.

Dylan sprawiał wrażenie przerażonego.

- Nie mogę cię całować, kiedy nosisz tę rzecz.

- Co z nią nie tak? - Bliss zaczęła z powrotem wciągać przez głowę bluzkę.

Dalej wyglądał, jakby wypił truciznę.

- Nosisz to cały czas. Dlatego nie mogłem...

Wiedziałem, że jest jakiś powód.

Znowu coś wybełkotał, w jeszcze innym języku. Tym razem przypominającym chiński.

Bliss założyła bluzkę. Coś niesłychanego. Okazała się kompletną idiotką. No dobra, może

obiecała Schuyler i Oliverowi, że będzie miała oko na Dylana, ale ostatecznie w tym

momencie nie był już groźny. Wiedział, że Schuyler nie jest srebrnokrwista. I był dość duży,

żeby umieć samemu o sobie zadbać.

Nie zamierzała tu zostawać ani chwili dłużej. Została upokorzona. Nie miała pojęcia, co on

naprawdę o niej myśli. N mógł się zdecydować. W jednej chwili zdzierał z niej ubrani a w następnej odskakiwał od niej, jakby jej ciało było najbardziej odrażającą rzeczą, jaką widział w życiu. Miała dość tej zabawy.

— Idziesz? — zapytał Dylan, kiedy zebrała swoje rzeczy i podeszła do drzwi.

— Na razie.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

— Będę tęsknił.

Bliss skinęła głową, jakby rzucił jakąś zdawkową uwagę o pogodzie. Mógł sobie zabierać te smutne oczy i seksowny głos, do skąd mu się żywnie podoba. Ona po prostu chciała być sama.

JEDENAŚCIE

Niedługo zamykamy - poinformowała kelnerka. - Jeszcze jedno campari? - zapytała

Olivera. Zagrzechotał kostkami lodu i opróżnił szklankę dużym haustem.

— Jasne.

- A dla pani?

Schuyler zastanowiła się nad kolejną porcją Johnnie Walker Black. Dawniej nie znosiła

smaku whisky, ale ostatnio go polubiła. Piekący, słodki i soczysty — najbardziej ze

wszystkiego przypominał smak krwi. Oliver pytał kiedyś, jak smakuje krew, ponieważ nie

mógł zrozumieć apetytu na nią. Krew kojarzyła mu się z czymś metalicznym, słonawym.

Schuyler wyjaśniła mu, że wampiry rejestrują smak krwi innymi zmysłami— to było jak picie ognia.

Stąd odkryła w sobie upodobanie do whisky.

— Poproszę — odpowiedziała kelnerce. I tak przecież nie mogła się upić, chociaż Oliverowi chyba już mocno szumiało w głowie.

Nabrał zwyczaju poprawiania sobie nastroju alkoholem zawsze, gdy byli razem. Jasne, w

szkole nie bywał pijany, ale tam ich spotkania trwały tak krótko, że się nie liczyły. Zauważyła

natomiast, że jeśli tylko mieli spędzić razem trochę więcej czasu, był zawsze lekko podcięty.

Kelnerka przyniosła dwie wypełnione po brzegi szklanki koktajlowe. Minęła już północ, w barze zostali tylko naprani klubowicze, którzy wpadli na śniadanie po nocy spędzonej na ekskluzywnych szampaniach oraz inni naprani klubowicze, którzy wpadli na śniadanie przed porannym posiedzeniem w imprezowaniach, gdzie nie podawano alkoholu, a klientela wolała odloty po środkach chemicznych.

Oliver sączył koktajl przez czerwoną słomkę. Nie znosił piwa i wszystkich błędów związanych z tym, co nazywał „alkochol -Americano”. Schuyler urzekła jego zamiłowanie do słodczy. W jej oczach „kobiece” drinki w jakiś sposób dodawały mu męskości. Nie bał się być sobą.

Miło było wreszcie siedzieć z nim w publicznym miejscu. W obecności wszystkich ludzi dookoła nie mogła przecież zatopić w nim kłów. Ostatnio, ilekroć byli sami, odnosiła wrażenie, że jego oczekiwanie wprost wisiało w powietrzu, a Schuyler tęskniła za ich prostą

przyjaźnią. Odprężyła się w jego towarzystwie.

- Czemu pijesz tyle, kiedy jesteś ze mną? - zapytała, starając się, by zabrzmiało to lekko.

- Czuję się dotknięty. Masz mnie za pijaka?

- Troszeczkę.

— Nie wiem - popatrzył na sufit zamiast na nią. - Rany, czasem mnie przerażasz.

Schuyler miała ochotę się roześmiać.

— Przerazam cię?

— No, jesteś taką... superwampirzycą. Naprawdę mogłaś go załatwić, wiesz — wyszczerzył

się w uśmiechu, ale Schuyler wiedziała, że jest bardziej poruszony, niż to okazuje.

— Nic mu nie będzie - warknęła.

Nie chciała rozpamiętywać tego, co mogło się wcześniej stać. Miała Dylana w garści. Czowała,

jak jego umysł ugina się przed nią. Czowała, jak cała jego pamięć błaga, żeby go uwolnić. A ona

pragnęła nade wszystko zniszczyć go — uciszyć wszystkie głosy. Była w stanie to zrobić. To

była trzeźwiąca myśl, więc pociągnęła kolejny łyk drinka.

— Nie jest dobrze — powiedział Oliver. — Wiesz, że musimy o nim powiedzieć

Lawrence'owi, prawda? Muszą coś z tym zrobić. Ma typowe objawy skażenia. Halucynacje, histeria, manie.

— Odrobiłam lekcje. Wiesz, znam wszystko, co kazał nam przeczytać Lawrence.

Właśnie. Schuyler czuła się winna. Nie przykładała się do wampirzych lekcji. Lawrence,

wykorzystując pomoc Olivera, starał się, aby mogła kontynuować naukę. Powinna

koncentrować się na lepszym opanowaniu siły albo szlifować już nabyte umiejętności, ale

ostatnio czuła się kompletnie rozproszona. Apartament przy Perry Street...

— Myślisz, że Dylan nas okłamywał? — zapytała.

— Nie, uważam, że myślał, że mówi prawdę, taką, jaką znał.

Ale, jak widać, został zmanipulowany - Oliver rozgryzł kostkę lodu. — Nie wiem, czy

powinniśmy wierzyć w to, że naprawdę im uciekł.
Możliwe, że po prostu go puścili.

Schuyler milczała. Wypuścili go, żeby mógł dokończyć
to,! czego nie udało mu się zrobić

wcześniej. Przed swoim nagłym zniknięciem Dylan
zaatakował ją dwukrotnie. Wybrali go,

ponieważ był blisko niej jako jeden z jej najlepszych
przyjaciół Nie mogła temu zaprzeczyć:

komuś zależało, żeby zginęła. Chciała się podzielić tym
wnioskiem z Oliverem, ale

zachowała go dla siebie. Wystarczająco się o nią
martwił.

Oliver rzucił okiem na rachunek i wyjął kartę
kredytową.

— A jak tam życie na pokładzie Gwiazdy Śmierci?

— Bez zmian - uśmiechnęła się Schuyler, chociaż miała
tak dość, że chciało jej się

wymiotować. Trudno jej było siedzieć z Oliverem i nie
znenawidzić siebie za to, co mu
robiła.

— Więc... — westchnął Oliver.

Schuyler wiedziała, do czego zmierza i po raz kolejny pożałowała, że uczyniła go swoim familiantem. -Więc?

Kelnerka wróciła z czytnikiem kart i zasugerowała, że jeśli posiedzą jeszcze trochę, będą musieli wychodzić tylnym wyjściem.

Oliver schował kartę i spróbował wypić kolejny łyk z opróżnionej szklanki.

— Miałem się z tobą spotkać w Mercerze, kiedy zadzwoniła Bliss. Powiedziała, że jesteś tutaj, na Perry Street. Pomyślałem, że to trochę dziwne, bo umówiliśmy się w Mercerze, jak zawsze, ale powiedziała, że jest pewna, że tam będziesz. Co ty tam robiłaś?

Schuyler nie patrzyła mu w oczy.

— Wiesz, modeling. Linda Farnsworth ma taki punkt, gdzie potykają się modelki. Bliss i ja czasem tam wpadamy, żeby pogadać trochę z dziewczynami. Przepraszam, że musiałeś czekać.

— Więc, no... skoro nie wyszło nam umówione spotkanie, czy chcesz...

Teraz łatwiej jej było odmówić, ponieważ decyzję podjęła już wcześniej.

— Nie, muszę wracać przed godziną policyjną —
potrząsnęła głową Schuyler. -I tak jestem

spóźniona, a jak Charles się dowie...

— Pieprzyć Charlesa. - Oliver pstryknął wykałaczką
przez stół, tak że wylądowała na

podłodze. - Rany, czasem mam powyżej uszu tego
całego gówna.

-Ollie...

— Po prostu chciałbym, żebyśmy mogli być razem -
powiedział, znowu patrząc w sufit. -

Znaczy, wiem, że to niemożliwe. Ale czemu nie?

Dlaczego mamy przestrzegać starych praw?

Kogo to właściwie powinno obchodzić? — narzekał. —

Nie chcesz, żebyśmy byli razem? -

zapytał gwałtownie, z nutką hysterii w głosie.

Schuyler wzięła jego dłoń w swoje dłonie.

— Chcę, Ollie, wiesz, że chcę.

Był jej sprzymierzeńcem, współnikiem zbrodni, jej
sumieniem i pocieszeniem.

Na twarzy Olivera odmalowało się najwyższe szczęście i satysfakcja. Uśmiechnął się do niej, a Schuyler z całego serca pragnęła, aby nigdy nie miał okazji poznać prawdy.

DWANAŚCIE

BYŁO już późno, gdy Mimi i Jack wreszcie wytoczyli się z Per Se. Rachunek za kolację

okazał się cztero-cyfrowy - nie, żeby Mimi to zaskoczyło. Była tak przyzwyczajona do

płacenia niebotycznych sum za wszystko w swoim życiu, że czasem narzekała, jeśli

zauważyła, iż coś było tańsze, niż oczekiwała.

- Myślę, że muszę oszczędzać, czy co? - prychnęła. - Ze nie mogę sobie pozwolić na FIJI

Water?

Jack skarcił ją za tę rozrzutność.

- Wiesz, nowobogackim często się wydaje, że mieć dużo pieniędzy to to samo, co mieć

nieskończenie dużo pieniędzy.

Mimi spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Czy ty mnie właśnie nazwałeś nowobogacką? Jack roześmiał się, wchodząc do windy.

- Na to wychodzi.

- Drań! - Mimi udała, że jest śmiertelnie obrażona. – Na majątek jest tak stary, że napędza

system ubezpieczeń społecznych. Bankructwo nie wchodzi w grę. Jesteśmy nadziani.

— Mam nadzieję. Mówiłaś, że Lawrence wspominał o gwałtownym spadku zysków?

Słyszałem coś podobnego na ostatnim zebraniu inwestorów. Indeksy giełdowe idą w dół. To nie wróż najlepiej.

Zamarkowała szerokie ziewnięcie.

- Nie nudź mnie tymi detalami. Nic mnie nie obchodzi, i wyszli na zewnątrz. Po drugiej

stronie ulicy dwukołowe konne bryczki czekały na naiwnych turystów. Było chłodno - ostał

nie uderzenie zimy. Pozostałości śnieżycy tworzyły żółte, popękane skorupy lodu na

pokrywach śmietników i na chodnikach, Jack uniósł rękę i smukły czarny bendey wielkości

karawa nu podjechał do krawężnika.

- Do domu? — zapytała Mimi, wślizgując się do środka. Jack pochylił się i oparł o krawędź drzwi.

— Wrócę niedługo. Obiecałem Bryce'owi i Jamiemu, że wpadnę do nich do klubu.

— Jasne.

Musnął pocałunkiem jej policzek.

— Nie czekaj na mnie. Zatrzasnął drzwi i postukał w szybę.

- Odwieź ją do domu, Sully.

Mimi pomachała mu przez przyciemnioną szybę, czując, że opuszcza ją dobry nastrój.

Patrzyła, jak przechodzi przez jezdnię i wsiada do taksówki.

- Do domu, panno Force? - obrócił się do niej Sully.

Już miała skinąć głową. Była zmęczona. Powrót do domu wydawał się dobrym pomysłem,

nawet jeśli czuła się trochę urażona, że musi wracać sama. Przez moment zastanowiła się, czy

z nim nie pojechać, ale Jack ostatnio okazywał jej tyle przywiązania... Nie miała powodów,

żeby coś podejrzewać... Zawsze przesiadywał w klubie z Bryce'em Cuttingiem i Jaimiem

Kipem... zabawni chłopcy. A poza tym nie spuszczała z niego wzroku od kilku tygodni, od

powrotu z Wenecji, i czuła się winna bo niczego nie zauważyła. Co właściwie tak ją

niepokoiło?

Ale musiała być szczerą ze sobą. Niepokoiła się.

-Jeszcze nie, Sully. Zobaczmy, dokąd pojedzie.

Szofer skinął głową. Nie po raz pierwszy to słyszał.

— Pilnuj, żeby nas nie zauważył.

Limuzyna śledziła taksówkę jadącą na południe przez West Side Highway. Block 122 został

zamknięty, a najmodniejszy obecnie klub, Dante Inn, mieścił się dalej, w West Village, w

podziemiach jednego z tych nowych przeszklonych budynków, tuż przy autostradzie. Mimi

przypomniała sobie, że Jack mówił jej, że ich rodzina wykupiła tam apartament, traktując to

jako inwestycję. IW tej chwili wynajmowała go jakaś gwiazda.

Taksówka zaparkowała przed wejściem zagrodzonym obciągniętą pluszem liną, rozpiętą między dwoma słupkami i pilnowaną przez wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu. Klub

Dante Inn był mniejszy i mniej ekstrawagancki od Block 122, ale jeszcze bardziej ekskluzywny. Jack wysiadł i zniknął w środku. Mimi z zadowoleniem rozparła się na siedzeniu. — Dobra, wracamy.

Patrzyła na podjeżdżającą przed nimi białą limuzynę. Boże ludzie uwielbiali tandetę. A Jack ją nazywał nowobogacką!

Przyjrzała się hałaśliwemu towarzystwu z limuzyny, próbując ich rozpoznać. Gość w idiotycznym filcowym kapeluszu musiał być słynnym aktorem... I nagle zauważyła coś innego: ktoś wyłonił się z cienia i wślizgnął głównym wejściem do budynku. Czarnowłosa dziewczyna w srebrzystym płaszczu przeciwdeszczowym.

Nie.

To niemożliwe.

To nie mogła być Schuyler Van Alen. Nie mogła?
Jasne! że mogła.

Mimi poczuła, że coś ją ściska za serce. Trochę zbyt
wiele, jak na zbieg okoliczności. Jack

był w klubie mieszczącym się w podziemiach budynku,
do którego właśnie weszła Schuyler.

To niemożliwe. Próbowwała zebrać myśli — czy coś
przeoczyła! Wydawał się przecież taki

obojętny, taki zimny wobec Schuyler. Nie mógł być
ciągle nią zauroczony, prawda?

Zdaje mi się, że ta dama zbyt się zarzeka*.

Mimi nie była szczególną fanką Szekspira, nawet za
jego czai sów, ale pamiętała ważniejsze

cytaty. To z pewnością była dla niej zimny niełaska**.

Wiedziała, nie musiała szukać potwierdzenia, że
niezależnie od tego, jak Jack zachowywał się

wobec całego świata, jakie kłamstwa jej powtarzał, w
jego sercu znajdowało się miejsce

do którego nie mogła dotrzeć i którego nie mogła
poznać. Tajne miejsce, poświęcone komuś

innemu. Miejsce, które zajmowała.

Schuyler Van Alen.

O dziwo, Mimi nie czuła się zdradzona, przerażona czy zmiążdżona. Czuła tylko głęboki

smutek. Tak bardzo starała się mu pomóc. Robiła wszystko, żeby pozostał jej wierny.

Jak mógł nie obawiać się kary? Znał prawo tak samo dobrze jak ona. Wiedział, jaka jest

stawka. Wiedział, co może stracić.

Jack, nie zmuszaj mnie, żebym cię skrzywdziła. Nie pozwól, żebyśmy się tak rozstali. Nie

zmuszaj mnie do zniszczenia ciebie.

* lekko zmieniony cytat z Hamleta Williama Szekspira, akt III, scena 2 (przyp. tłum.).

** nawiązanie do Ryszarda 111 Williama Szekspira (przyp. tłum.).

TRZYNAŚCIE

Myślałem, że zapomniałaś. Schuyler uśmiechnęła się, zdejmując płaszcz i wieszając go na

wieszaku. Przed chwilą otworzyła drzwi apartamentu kluczem, który nosiła na jedwabnej

wstążce na szyi. Nigdy go nie zdejmowała, obawiając się, że mógłby zostać ukradziony.

Weszła do budynku, nie kryjąc się. Zamieniła kilka słów z portierem i poszła do windy, wymieniając po drodze uprzejmości z sąsiadami. Zagruchała do ich dziecka, umoszczonego w wykładanym polarem wózekku za tysiąc dolarów. Udawała, że jest taka sama jak oni. Na jeden wieczór wystarczyło wampirzych sztuczek.

- Długo czekałeś? - zapytała.

— Właśnie przyszedłem.

Opierał się o kolumnę, splatając ramiona. Nadal nosił tę samą białą koszulę, w której widziała

go rano, teraz trochę już pomięta. Rozluźnił krawat, pozwalając, by się przekrzywił. Ale

wciąż wyglądał zachwycająco. W jego oczach koloru morza tańczyło rozbawienie i

pożądanie. Jack Force. Chłopak, którego chciała j zobaczyć przez cały wieczór. Chłopak, na

którego czekała przez I całe życie.

Chciała podbiec do niego, wślizgnąć się ze śmiechem w jego I ramiona, ale na razie

rozkoszowała się sposobem, w jaki na nią j patrzył.

Czuła, że może zatonać w intensywności

jego spojrzenia. A przez te kilka tygodni, które spędzili razem, nauczyła się trochę o sztuce uwodzenia.

Między innymi tego, że wszystko jest słodsze, jeśli każe mu trochę poczekać.

Dlatego niespiesznie zdjęła buty, wycierając bosc stopy w dywan i pozwalając Jackowi patrzeć na siebie.

Na zewnątrz nie mogli okazywać sobie najmniejszego nawet zainteresowania. Jack nie mógł spojrzeć na nią choćby ukradkiem. Nie wolno mu było tego robić. Więc teraz chciała, żeby j się tym nacieszył, aby patrzył na nią tyle, ile zapragnie.
— Chodźże tu wreszcie — mruknął.

I wtedy podbiegła do niego, rzucając mu się w ramiona, tak że oparli się o ścianę, spleceni w uścisku. Podniósł ją bez najmniejszego wysiłku, pokrywając jej ciało pocałunkami.

Oplotła go nogami i pochyliła się, łaskocząc jego policzki kosmykami włosów.

Jack.

Roztapiała się w jego objęciach. Tuliła się do niego, czując, jak jego serce bije gwałtownie, w równym rytmie z jej sercem, j Kiedy się całowali, zamykała oczy i widziała miliony wspaniałych, żywych kolorów wybuchających w powietrzu. Pachniał bogatą ziemią, ciepło i zwierzęco. Na początku było to dla niej zaskoczeniem: spodziewała się zapachu lodu, braku zapachu, ile podobało jej się, że pachniał tak szorstko i realnie. Nie był Rem.

Wiedziała, że nie powinni tego robić. Lawrence ostrzegwał że więź między wampirami nie może zostać zerwana. Jack był przyrzeczony innej. Obiecywała sobie, że z tym skończy, ale obiecała także Jackowi, że zawsze będzie przy nim. Razem byli tak bardzo szczęśliwi, Ale nigdy nie rozmawiali o przeszłości ani przyszłości. Istniało tylko miejsce tutaj, ta stworzona przez Hiich bańka mydlana, ich mały sekret. A kto mógł przewidzieć, Jak długo to potrwa? Kiedy była w jego ramionach, współczuła Mimi.

Wszystko zaczęło się niedługo potem, gdy zamieszkała w pozłacanym, marmurowym pałacu, który Force'owie nazywali domem. To miejsce przypominało po części twierdzę, a po części Wersal. Pokoje i przedpokoje wypełnione były wspaniałymi antykami, odrestaurowanymi i odpowiednio podświetlonymi, aby prezentowały się jak najlepiej. W oknach falowało morze zasłan z kosztownych tkanin, a milcząca armia służby przesuwała się po domu, odkurzając, czyszcząc i przynosząc jego mieszkańcom herbatę lub kawę na srebrnych tacach.

Schuyler siedziała na łożu z baldachimem w przydzielonym jej pokoju i kopała zniszczony kufer, jedyną pamiątkę, jaką pozwoliła sobie zabrać. Lawrence obiecywał, że wyciągnie ją stąd najszybciej, jak zdoła, żeby mogła wrócić do swojego prawdziwego domu. Wiedział, że Charles nie pozwoli mu na kontakt z nią, umówili się więc, że Oliver zostanie ich wspólnym (uśmiechnęła się lekko) zausznikiem.

Lawrence osobiście odwiózł wnuczkę do rezydencji Force'ois przyniósł jej bagaże pod drzwi wejściowe, skąd zabrał je kamerdyner. A potem szybko odjechał, zostawiając Schuyler znowu samą.

Charles oprowadził ją po domu: migoczący basen rozmiarowi olimpijskich w podziemiu, korty tenisowe na dachu, siłownia, sauna, sala Picassa (nazywana tak od znajdującego się w niej jednego z dwóch czarno-białych szkiców rozmiarów muralu do arcydzieła artysty, Paruenz Awirrionu). Powiedział, żeby czuła się jak u siebie i nie krępowała się korzystać z kuchni. A potem wyłożył swoje zasady. Schuyler była zbyt rozzłoszczona i poirytowana, by zdobyła się na cokolwiek oprócz potulnego przytakiwania.

Dlatego kopała swój kufer. Głupi kufer. Głupi kufer z zepsutym zamkiem. Głupi, paskudny kufer, który był jedną z niewielu rzeczy, jakie odziedziczyła po matce. Była to stara waliza od

Louisa Vuittona, z rodzaju tych, które postawione pionowo i otwarte zamieniały się w

miniaturową garderobę. Kopnęła go po raz kolejny.

Rozległo się ciche pukanie i drzwi się otwały.

- Czy mogłabyś... no... trochę przystopować? Próbuję czytać — Jack sprawiał wrażenie

zaskoczonego.

- Tak, jasne - przestała kopać kufer. Zastanawiała się, kiedy zobaczy swoich „kuzynów”.

Skomplikowane ścieżki pokrewieństwa wampirzych rodów wciąż ją przerastały, ale

wiedziała, że ona!

I Jack nie są tak naprawdę spokrewnieni, nawet jeśli Charles był ni wujem. Pewnego dnia,

kiedy to wszystko się uspokoi, będzie musiała poprosić Lawrence o wyjaśnienia. - Co

czytasz? — Camusa — powiedział, podając jej egzemplarz Obcego. -Znasz to?

— Nie, ale lubię piosenkę The Cure. Wiesz, zainspirowaną książką.

— Nie słyszałem - potrząsnął głową.

— Jest chyba na ich pierwszym albumie, Three Imaginary Boys, Robert Smith też mnóstwo czyta. Pewnie tak jak ty uwielbia egzystencjalizm - droczyła się.

Jack oparł się o ścianę i zaplótł ręce, patrząc na nią z namysłem.

— Nienawidzisz tego miejsca, nie?

— Aż tak to widać? - spytała Schuyler, naciągając długie rękawy aż na dłonie.

Zakasłał.

— Przykro mi.

— Przykro ci?

Położył książkę na toalecie.

— Nie będzie tak tle.

— Serio? Co nie będzie źle?

— No, na przykład, ja tu będę - podszedł, siadając obok niej na łóżku. Podniósł piłeczkę tenisową, która wytoczyła się z jej kufra. Zabrała ją, żeby ćwiczyć wampirze zdolności.

Lawrence chciał, żeby koncentrowała się na umiejętności przesuwania obiektów w powietrzu,

czyli na czymś, co jeszcze nie szło jej najlepiej. Jack podrzuci! piłeczkę, zręcznie ją złapał i odłożył. — Znaczy, chyba że chcesz, żebym poszedł. Siedział tuż obok niej. Przypomniała sobie, jak go szukała tej nocy, kiedy została zaatakowana, jak żarliwie chciał od' kryć prawdę o Croatanach i jak głęboko ją później rozczarował)} odtrącając ją. A potem przypomniała sobie coś jeszcze. Coś, o czym myślała bezustannie, od kiedy wypita krew Mimi i poznała jej wspomnienia.

- To byłeś ty... tej nocy, na balu maskowym... to ty...i szepnęła.

Jack, jakby odpowiadając na jej pytanie, pocałował ją. To był ich trzeci pocałunek (liczyła), a kiedy odetchnął i ujął jej twarz w mocne dłonie, wszystkie dotychczasowe rzeczy w jej życiu stały się drugorzędne i nieistotne.

Warto było żyć tylko dla tego czystego, niebiańskiego odczucia. Kiedy całowali się po raz

pierwszy, pochwyciła okruchy wspomnień Jacka dotyczących dziewczyny, która wyglądała

jaki ona, ale nie była nią. Za drugim razem nie wiedziała, kto kryją się pod maską, ale tym razem byli tylko on i ona. Jack nie całował kogoś, kogo — jak sądził — znał wcześniej, a Schuyler nie całowała kogoś, kogo nie znała. Po prostu się całowali.

- Jaaaack! Jaaaack!

— Mimi — powiedział Jack. Zniknął tak prędko, jakby rozpląnął się w powietrzu.

Kiedy Mimi zajrzała do pokoju Schuyler, zastała ją siedzącą samotnie i znowu kopiającą kufer.

— A. To ty. Widziałaś Jacka?

Schuyler potrząsnęła głową.

— Przy okazji, nie rozpychaj się tu za bardzo. Nie mam poję? lia, czemu ojciec chce cię mieć

pod ręką, ale mam dobrą radę:

Nie wchodź mi w drogę.

Tego samego wieczora Schuyler otrzymała dwa bardzo różne prezenty powitalne: ktoś

wywrócił jej pościel na łóżku, a pod drzwi została wsunięta książka. Egzemplarz Dżumy

Alberta Camusa. W książce była koperta, a w kopercie — klucz.

Od tamtej pory Jack nigdy nie zauważał jej obecności w do-I mu ani w szkole. Ale

rekompensował jej to z nawiązką później.

- Co ci się stało? - zapytał Jack, przesuwając lekko palcem r po rozcięciu na jej czole. Leżeli

na grubym, kosmatym dywanie,

patrzając na dogasający ogień.

— A, nic takiego. Uderzyłam się w głowę — odparła Schuyler. Nie chciała mu na razie

mówić o Dylanie. — Ktoś cię śledził?

- Tak. Ale zaczekałem, aż odjedzie, zanim tu wszedłem — : powiedział sennie. Umościła się

w zagłębieniu jego ramion. Jedynym źródłem światła w pokoju była uliczna latarnia, ale i tak

Schuyler widziała wyraźnie w ciemności. - A ciebie? - Nie.

Tak naprawdę nie miała pewności. Była zbyt zaabsorbowana namawianiem Olivera, żeby już poszedł. Zbyt zajęta i zbyt podekscytowana. Bo przecież wiedziała, wiedziała, że Jack tam

będzie, czekając na nią, tak jak ona wcześniej czekała na niego.

Ale tak, następnym razem będzie bardziej ostrożna. Oboje muszą uważać.

CZTERNAŚCIE

Bliss dotarła spóźniona do klubu Lexington Armory. Pokaz Rolfa Morgana miał się zacząć

o dziewiątej wieczorem. Powinna przyjechać o szóstej, żeby mieć czas na przygotowanie

fryzury i makijażu, tymczasem było już wpół do dziewiątej. Miała nadzieję, że projektant jej

nie zabije, chociaż pewnie i tak już ją skreślił i po przyjściu zastanie inną modelkę w czarnej,

koronkowej sukni z gorsetem, którą miała założyć tego wieczoru.

Nie miała zamiaru się spóźniać, ale najnowsza wizja wytrąciła ją z równowagi. Myła właśnie

zęby, a kiedy spojrzała w lustro, spoglądał z niego ten sam przystojny, ubrany na białą

mężczyzna, który pojawiał się w jej snach.

— Boże!

- Wprost przeciwnie - mężczyzna zaczął się śmiać, jakby był to najzabawniejszy dowcip, jaki w życiu słyszał. Bliss pomyślała, że jego włosy mają kolor płynnego złota, a oczy są błękitne jak czyste niebo o poranku. W powietrzu pachniało konwaliami ale ich mdły zapach skrywał odór zgnilizny. Zupełnie jak wtedy, kiedy jej macocha, BobiAnne, po wyjściu z siłowni poląła się za dużą ilością perfum, zamiast wziąć prysznic. Bliss postanowiła być odważna.

- Kim jesteś?

— Jestem tobą.

- Zwariowałam, tak? Dlaczego tu jesteś? - Bliss zakręciła kran i starała się uspokoić oddech. -

Czego chcesz?

Złocisty mężczyzna w bieli sięgnął do kieszeni i wyjął staroświecki zegarek na złotym łańcuszku.

— Już czas.

Kiedy Bliss ponownie spojrzała w lustro, już go nie było. Przez następną godzinę patrzyła w

szklaną tafłę, czekając, czy znów się pojawi. Dopiero kiedy w końcu zmusiła się do odejścia

stamtąd, uświadomiła sobie, jak bardzo jest spóźniona.

Ale kiedy sprawdziła komórkę, nie znalazła żadnych wiadomości od rozwścieczonego agenta,

żadnych niepokojących kazań o tym, że projektant dostaje zawału z powodu jej nieobecności.

Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że przed wejściem nie było prawie nikogo, poza kilkoma

nieszczęśliwie wyglądającymi, spowitymi w czerni ofiarami mody, które czekały za

barierkami ochronnymi. To miał być tydzień mody?

Gdzie się podział ten szalony korowód wydawców i fotografów, celebrytów i stylistów,

modnych i modnych inaczej, tłoczących się i przepychających łokciami, żeby, dostać się na

pokaz Rolfa Morgana? Pokaz był największym gwoździem sezon.

Wejściówki na niego - najtrudniejsze do zdobycia. A teraz, trzydzieści minut przed

rozpoczęciem, nie było tu prawie nikogo.

Znalazła samotnego pracownika, asystenta ubranego w czarny T-shirt z napisem ROLF

MORGAN na piersiach, i zapytała, gdzie ma iść.

W Lexington Armory mieścił się 69. Regiment Gwardii Narodowej, więc po drodze

zasalutowało jej kilku żołnierzy w galowych mundurach. Wzdłuż ścian przestronnego

budynku, w szklanych gablotach, spoczywały setki egzemplarzy broni palnej i amunicji.

Zgodnie ze wskazówkami przeszła przez wielki niczym lotniczy hangar atrium,

przygotowane na pokaz mody. Ustawione jak w amfiteatrze rzędy ławek piętrzyły się aż pod i

gufit, a na końcu sali znajdowała się scena, na której zespół muzyczny stroił instrumenty.

Podczas prób Rolf uprzedzał, że modelki będą chodzić po wielkim wybiegu zawieszonym nad

sceną, a Bliss czekała na to z niecierpliwością.

Weszła za tymczasowe kulisy i speszona odkryła, że zamiast | zwykłych gorączkowych

przygotowań i adrenaliny buzującej od | strachu i ekscytacji, panuje tu pełna sielanka.

Zauważyła Schuyler siedzącą na krześle i czytającą jakiś magazyn, z włosami zebranymi w wysoki koński ogon na czubku głowy i pełnym makijażem scenicznym. Jej niebieskie oczy podkreślały ciemne smugi cienia do powiek, a usta miała pomalowane na blady, złotoróżowy kolor.

Bliss ucieszyła się, że widzi przyjaciółkę — nie miały jeszcze okazji porozmawiać o wydarzeniach pamiętnego wieczoru. Obie unikały tematu, zupełnie jakby były zakłopotane.

Od tamtej pory nie widziała się z Dylanem, chociaż przysłał jej mnóstwo SMS-ów, prosząc o wybaczenie i błagając o spotkanie. Skasowała wszystkie.

Natomiast Schuyler chodziła po Duchesne z głową w obłokach. Bliss wiedziała, że Schuyler widuje się z Jackiem, i mogła tylko zazdrościć przyjaciółce odnalezionego szczęścia. Jasne, nie-fajne było, że nie mogą tego ogłosić światu, bo Mimi i tak dalej. Zupełnie do chrzanu było

niewątpliwie, że Jack pozostawał w zasadzie zaręczony z inną. Ale mimo wszystko Bliss

wiedziała, że Schuyler jest zakochana i to z wzajemnością. Czyli znacznie więcej, niż mogła powiedzieć o sobie i Dylanie.

- Gdzie się podziała cała reszta? - zapytała Bliss. — Nawet na zewnątrz nikogo nie ma.

- O, cześć - Schuyler odłożyła najnowszy numer francuskiej edycji „vogue”. - Tak, jeszcze zamknięte. Jak będziemy mieć szczęście, pokaz zacznie się o północy. Powiedzieli wszystkim, żeby wrócili później.

Bliss opadła na krzesło obok. -Serio?

— Pierwszy raz pracujesz dla Rolfa? — spytała inna modelka, słysząc ich rozmowę. Bliss

rozpoznała Sabrinę Sorbobę, niesamowicie wysoką, pochodzącą z Europy Wschodniej najnowszą pupilkę projektanta.

— Zawsze się spóźnia. W zeszłym roku Brannon Frost wyszła! przed zaczęciem pokazu, bo miała dość czekania wyjaśniła Sabrina.

Brannon Frost była błękitnokrwistą redaktorką naczelną magazynu „Chic”, najbardziej

wpływowego czasopisma o modzie lin świecie.

Brannon mogła pstryknąć palcami i nagle

wszystkie garderoby stawały się niemodne. Pstryk!

Tapirowane fryzury, pstryk! Wcięte talie i

obcisłe spodnie. Pstryk! Luźne sukienki i zaokrąglone noski. Pstryk! Koronki i koturny.

Pstryk!

- O północy? To za trzy godziny! - powiedziała z pretensją w głosie Bliss. Co miały robić, po

prostu siedzieć i czekać? Zauważyła, że część modelek gra w karty, chociaż większość siedziała

z komórkami i netbookami.

- Szampana? - zaproponowała Sabrina, podnosząc wielką butelkę Laurent-Perrier i bez

czekania na odpowiedź, nalewając dwa kieliszki dla Bliss i Schuyler. To był plan na najbliższe

godziny: pić, palić i czekać. Będąca ustępstwem na rzecz ostatniego skandalu z cyklu

„modelki-są-za-chude” iluzoryczna dekoracja, złożona ze starych krakersów i nadpleśniałego

sera, miała zapewnić dziewczętom „zdrowy” posiłek.
Tego tylko brakowało! Modelki

odżywiały się oparami: dymem papierosowym i
powietrzem.

— W każdym razie po historii z zeszłego roku tym
razem zadzwonili do wydawców „Chic”,

„Mine” i „Jeune”, żeby uprzedzić, że mogą pójść na
drinka albo na kolację i wrócić później.

Bliss skinęła głową.

— To kto czeka tam na zewnątrz?

— Zera.

Można się było domyślić. Jasne, że wszyscy ważni
ludzie zostali uprzedzeni, ale szeregowcy

musieli sami o siebie zadbać.

Wepchnęła torbę pod krzesło i miała właśnie zadać
Schuyll pytanie, kiedy znękany

mężczyzna - wreszcie ktoś, kto wygląda i zachowywał
się, jakby za kilka godzin miał się

zacząć pokaz! — wpadł do poczekalni dla modelek.

- Bliss! Jesteś wreszcie. Chodź, zrobimy ci makijaż i
fryzurę,]

Bliss przekartkowała najnowszy numer „Arena Homme”, wypaliła kilka papierosów i wypła za dużo szampana, podczas gdy szorstki fryzjer i jego równie sztywny asystent ciągnęli i szczotko! wali jej włosy, tworząc spiętrzoną koafiurę, a pogodna stylistka nakładała grubą warstwę podkładu. Zawsze zadziwiało ją, jaki niewiele wysiłku wymagało bycie modelką.

Musiała tylko tutaj siedzieć. Potem musiała wstać. Potem się przejść. I to wszystko,!

Oczywiście, żeby „zadziało”, dziewczyna musiała być olśniewająco piękna, ale sama uroda

także nie wystarczała. Najlepsze; modelki otaczała wrodzona i naturalna aura rozmarzenia i

tajemniczości. Ostatecznie była tylko jedna Kate Moss.

Kiedy zespół kosmetyczny zakończył swoje prace, przejęło; ją dwóch gorliwych studentów

wzornictwa, będących częścią ogromnej armii wolontariuszy, którzy wykonywali faktyczną

pracę fizyczną i byli odpowiedzialni za powodzenie tygodnia mody.

- Mamy cię ubrać w pierwszą kreację. Rolf chce cię obejrzeć.

Studenci pomogli Bliss założyć obcisłą czarną suknię z gorset; tern. Jeden z nich ściągnął i

zawiązał z tyłu wstążki, podczas gdy drugi podał jej parę sięgających za kostki welurowych

bucików z paskami z przodu. Suknia podkreślała jej kształty, a przejrzyste czarne koronki

dodawały niesamowitego seksapilu. Gorset był tak nisko wycięty z przodu, że Bliss

zarumieniła się na myśl

o tym, ile skóry odsłania.

- Co to? - Jeden ze studentów wskazał lśniący szmaragd, spoczywający w zagłębieniu między

jej piersiami. - To moje. - Nie wiem, czy Rolfowi się spodoba... - powiedział niepewnie drugi.

Bliss wzruszyła ramionami. Nie obchodziło jej, czego chce Rolf. Nie zamierzała nigdy

zdejmować tego naszyjnika.

PIĘTNAŚCIE

Dokładnie pięć minut przed północą Mimi i Jack Force wkroczyli do Armory w powodzi

błysków fleszy. Mimi wsparła się na ramieniu Jacka, otulając się mocniej puszystym, sobolowym futrem i kryjąc za wielkimi ciemnymi okularami, jakby wysiłki fotografów mogły zrobić jej krzywdę.

- Uważaj - rzucił ostro Jack do nadgorliwego paparazzi, który podszedł trochę za blisko i potracił Mimi.

- Mimi! Tutaj proszę! - Młoda dziennikarka w słuchawkach z mikrofonem zgarnęła ich do głównej sali i przeprowadziła sprawnie przez morze amatorów mody aż do pierwszego rzędu.

- Za minutę zaczynamy. Masz miejsce obok Brannon.

W buzującej podnieceniem, wypchanej po brzegi sali znajdowali się wszyscy liczący się celebryci (Mimi przyszła jako jedna z ostatnich) i nawet w przejściach pełno było ubranych w czarne T-shirty wolontariuszy, którzy wyłonili się z za sceny, żeby podziwiać pokaz. Na scenie grzmiał śpiewany ochryple przebój z nurtu alternatywnego rocka.

Mimi pozowała do zdjęć, zrzuciwszy futro i napinając łydki aby jej nogi wydały się

szczuplejsze. Nie zazdrościła modelkom¹ które były fotografowane tylko dzięki noszonym

ubraniom. Tym czasem wirujący tłum otaczał ją, powtarzał jej imię i robił jej zdjęcia,

ponieważ był zainteresowany nią.

- Naprawdę ci się to podoba — zakpił Jack.

- Mhm.

Przez ostatni tydzień ukrywała swoją wściekłość tak doskonale, że zasługiwała na Oscara.

Ale nie mogła się zmusić do spojrzenia na swojego brata. Tego kłamcę i zdrajcę. Ryzyko wał

wszystkim dla flirtu z tą małą kundlicą. Mogła teraz przejrzeć jego troskę i widziała, jak

świetnie do tej pory mydlił j oczy. Drań tylko udawał, że jest w niej zakochany, ukrywając

prawdziwe uczucia.

Najgorsze było to, że nie potrafiła go znienawidzić. Za bardzo go kochała i za dobrze znała

jego wady. Znienawidzić Jacką- to było jak znienawidzić siebie samą, a Mimi miała o sobie

zbyt wysokie mniemanie, aby pogrążyć się w tego rodzaju samooskarżeniu.

- Mimi, skarbie! - Zona projektanta, Randy Morgan, rzuciła się na nią, całując serdecznie w

oba policzki. - Musisz zajrzeć za scenę i życzyć Rolfowi powodzenia!

Mimi pozwoliła się zaprowadzić na zwyczajowy pokaz wazeliniarstwa z udziałem

projektanta. Rzecz jasna, to projektant pełnił rolę wazeliniarza. Mimi była jedną z jego

najlepszych klientek.

Zostawiła Jacka i przepchnęła się przez tłum, Rolf powitał ją niedźwiedzim uściskiem i

obsypał komplementami. Mimi przyjęła hołdy i łaskawie życzyła mu wspaniałego pokazu.

Przywitała się z innymi błękitnokrwistymi z jej kręgów towarzyskich - Piper Crandall w

przeraźliwie żółtej sukni oraz Soos Kemble, narzekającą, że została zesłana do drugiego

rzędu. Mimi wypatrzyła także kilkoro zadzierających nosa czerwonokrwistych. Lucy Forbes

rozpływała się nad kreacją Mimi, stworzoną przez Rolfa Morgana, którą projektant przesłał dziś rano przez posłańca, aby mogła ją włożyć na pokaz. A potem po przeciwnej stronie sali zauważyła obiekt swojej nienawiści.

Schuyler pozwalała garderobianym poprawiać swój strój — marszczoną bluzę i dopasowany jeździecki żakiet, welwetowe bryczesy i wysokie buty. Mimi pomyślała, że kupiłaby ten zestaw, gdyby to nie Schuyler go nosiła.

Bez wahania podeszła do Schuyler. Może uda się ukrećić temu łeb w zarodku, może była jeszcze nadzieja, że głupi flircik Jacka nie będzie miał żadnych konsekwencji.

— Schuyler, można na słowo? - zapytała.

Asystentki Schuyler odeszły, a dziewczęta znalazły spokojny kąt.

— O co chodzi?

Mimi uznała, że najlepiej od razu przejść do rzeczy.

- Wiem, co jest między tobą a moim bratem.

- O czym ty mówisz? - Schuyler starała się zachować spokój, ale Mimi mogła wyczuć, że

była zaniepokojona. Miała rację. Miała rację jak cholera. Ta suka nawet nie próbowała

zaprzeczać. Spotykali się. Jak daleko się posunęli? Mimi poczuła, że traci nadzieję.

Powtarzała sobie, że nigdy nie będzie zazdrosna o tę irytującą kundlicę. Ale wyzywające

spojrzenie Schuyler zachwiało jej pewnością siebie.

Schuyler nie wyglądała na przestraszoną, słabą czy zawstydzoną. Zniknęła gdzieś jocząca

półkrwi wampirzyca, która podskakiwała, gdy się powiedziało „Bu!”. Zniknęła dziewczyna

na darząca nieodwzajemnionym uczuciem wspaniałego Jacka Force'a. Mimi widziała

dziewczynę, która jest pewna swojej miłości.

Dziewczynę, która wie, że trzyma jego serce w

ręce. Przez moment Mimi gwałtownie pożałowała, że srebrnokrwisty nie zawlókł Schuyler

za włosy do piekła.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co robisz Jackowi?

— Czego ode mnie chcesz?

Mimi mocno ścisnęła ramię Schuyler.

— Pomyśl o swojej matce. Jak myślisz, czemu Allegra zapadła w śpiączkę? Czemu jest

nieśmiertelna, ale nie może umrzeć? Jest bezużyteczna i zniszczona. Chcesz, żeby spotkało go

to samo?

- Nie mieszaj w to mojej matki — ostrzegła Schuyler, strząsając dłoń Mimi. — Nic o niej nie

wiesz.

- Ależ oczywiście, że wiem. Żyję znacznie dłużej od ciebie - Twarz Mimi zmieniła się i przez

moment Schuyler mogła dostrzec przebłąski kobiet, będących jej dawnymi wcieleniami.

Egipska królowa, francuska arystokratka, wytrzymała osadniczka, dama z Newport -

wszystkie olśniewająco piękne, wszystkie z identycznymi, zimnymi i zielonymi oczami.

— Nie rozumiesz, czym jest więź — wyszeptała Mimi. Wokoło nich projektant i jego zespół

robili ostatnie poprawki w kreacjach. - Jack i ja jesteśmy jednością. Zabieranie go ode mnie, i

jak obdarcie go ze skóry. On mnie potrzebuje. Jeśli odnowi więź, stanie się silniejszy, jego pamięć stanie się pełna. Wszystko z nim będzie dobrze.

- A jeśli nie? - zażądała odpowiedzi Schuyler.

— Możesz od razu zarezerwować mu łóżko w tym szpitalu, do którego jeździ mój ojciec. To

nie są jakieś głupie szkolne

romanse, ty idiotko.

To kwestia życia i śmierci. Aniołów i demonów. Więź jest prawem. Jesteśmy zrodzeni z tych

samych mrocznych materii, pomyślała Mimi, ale nie powiedziała tego. Widziała, że Schuyler

nie może albo też nie chce zrozumieć sytuacji. Schuyler była nową duszą. Nie umiała pojąć

zasad nieśmiertelności. Surowych i nieodwołalnych praw, rządzących ich rodzajem.

— Nie wierzę ci.

- Nie spodziewałam się, że uwierzysz. - Mimi była wyczerpana. - Ale jeśli go kochasz, zostaw

go. Uwolnij go. Powiedz, że go nie chcesz, tylko wtedy pozwoli ci odejść.

Schuyler potrząsnęła głową. Modelki zaczęły się ustawiać do wyjścia, a Rolf poprawiał tu i tam obręby i plisy. Światła przygasły, pokaz miał się zaraz zacząć. Pozwoliła, żeby garderobiana obcięła zabląkaną nitkę, zwisającą z rękawa żakietu.

— Nie mogę tego zrobić. Nie mogę go okłamać.

Mimi bez pytania upiła łyk szampana z kieliszka Schuyler.

- W takim razie Jack jest zgubiony.

SZESNAŚCIE

W zeszłym roku podczas jesiennych pokazów Rolf Morgan kazał publiczności chodzić po wybiegu,

podczas gdy modelki siedziały w pierwszym rzędzie i udawały, że robią notatki. Ta sztuczka

do tego stopnia oczarowała fachową prasę, że postanowił wypróbować inny przewrotny pomysł.

W tym roku pokaz miał się toczyć od końca, zaczynając od ukłonu projektanta i kreacji

balowych, a kończąc na nieformalnych strojach sportowych.

Kiedy zespół odegrał grzmiącą interpretację Space Oddity, Rolf pojawił się na scenie, zbierając burzę braw. Powrócił z bukietem róż, rozpromieniony i pełen energii. Schuyler patrzyła jak Cyrus, niezdarny asystent Rolfa odpowiedzialny za przebieg pokazu, podprowadza Bliss na początek kolejki modelek. Czarna koronkowa suknia miała stanowić zapierające dech w piersiach zwieńczenie pokazu - czyli, w odwróconej kolejności - jego rozpoczęcie. Schuyler pomachała do Bliss, żeby dodać jej otuchy. Wiedziała, że przyjaciółka dalej czuje się trochę onieśmielona na wybiegu. Bliss wyglądała jak nerwowy żreback, jej oparte na biodrach dłonie lekko drżały. Wróciła kilka minut później z szerokim uśmiechem ulgi. - Zupełne wariactwo! - rzuciła do Schuyler, zanim zostali zgarnięta, aby zmienić kreację. Schuyler odwzajemniła uśmiech, myśląc, że będzie szczęśliwa, kiedy to się skończy i będzie mogła wreszcie włożyć własne ciuchy— aktualnie jej najulubiejszą oksfordzką koszulę

należącą do pewnego pana, czarne legginsy i przypominające racice botki z rozszczepionym czubkiem, które wyłowiała w secondhandzie. I Dziewczęta w gotyckich sukniach balowych schodziły z wybiegu, a Cyrus dał znak, żeby przeszła do przodu. Nadeszła jej] kolej.

— Pamiętaj, kiedy dojdiesz do końca: jedna poza, druga poza, BAM! A potem wracasz.

Schuyler skinęła głową. Wzięła głęboki oddech i wyszła na scenę. Spacer po wybiegu

przypominał spacer po Księżycu. Z brudnej rzeczywistości kulis, pełnej paplaniny i agrafek,

epickiego bałaganu na wieszakach i przetrzebionych pudeł z dodatkami wychodziło się w

jasno błyszczące światła sceny i oślepiające błyski setek aparatów fotograficznych.

Elektryzująca atmosfera pełna była hałaśliwej historycznej! kakofonii, zarezerwowanej dla

najlepszych koncertów rockowych. Gwizdy i okrzyki z tylnych rzędów mobilizowały zespół

do szybszego i głośniejszego grania, a modelki do przyjmowania najbardziej wyniosłych póz.

Schuyler nigdy nawet nie zauważała skwaszonych wydawców i wystrojonych celebrytów w pierwszych rzędach - była zbyt skoncentrowana na stawianiu kolejnych kroków i na tym, żeby nie zrobić z siebie publicznie Idiotki.

Znalazła zaznaczony punkt na końcu wybiegu i przybrała odpowiednie pozy, obracając się w lewo i wysuwając do przodu biodro, a potem obracając się w prawo. Ale kiedy miała obrócić się i ruszyć z powrotem, w jej umysł wcisnął się gwałtowny, narzucony przekaz. Była to fala dzikiej, chaotycznej nienawiści, której nieoczekiwana intensywność okazała się wystarczająco silna, by zatrzymać Schuyler w pół kroku. Zachwiała się pod jej ciężarem, tracąc równowagę i wywołując głośne westchnienie widzów z pierwszego rzędu.

Schuyler czuła się zdezorientowana i zraniona. Ktoś — lub coś — barbarzyńsko wtargnął do jej umysłu. Natychmiast rozpoznała manipulację, ale wrażenie było silniejsze i bardziej

złowrogie niż siła bijąca od Dylana. Teraz miała do czynienia z niewybaczalnym naruszeniem swoich granic. Poczwała się zbrukana, naga i potwornie przerażona. Musiała się stąd wydostać.

Nie było czasu, żeby we właściwy sposób zejść z wybiegu. Schuyler zeskoczyła ze sceny,

lądując pomiędzy fotografami. Wiedziała świetnie, dokąd musi się udać.

— Przepraszam! — rzuciła do nieszczęśnika, na którego stopie stanęła.

Przemknęła przez tłum, ku zaskoczeniu obsługi i zachwytowi widzów, którzy uznali jej zachowanie za część pokazu. Zza kulis usłyszała:

- Hej, a ona gdzie się wybiera? Wracaj!

Jutro tabloidy opiszą historię modelki, która uciekła z wyj biegu na pokazie Rolfa Morgana,

ale w tym momencie Schuyler nie obchodziła ani prasa, ani jej agent ani nawet sam Rolf.

Co to było? — pomyślała. Miała wrażenie, że jej serce eksploduje ze strachu, kiedy biegła

wzdłuż West Side Highway, szybciej, niż pozwalałby na to ruch uliczny. Kto to był? Mdlące,

obrzydliwe uczucie osłabło trochę, kiedy stanęła przed
zapuszczoną rezydencją przy

Riverside Drive. Dom nie był w tak złym stanie jak
dawniej, dzięki zleconym przez

Lawrence'a niedawnym remontom. Kamienne schody
zostały odnowione, graffiti na drzwiach

zamalowane, a gargulce odzyskały niegdysiejszą:
świetność.

Zastała dziadka w gabinecie, pochylonego nad skórzaną
aktówką, do której pakował plik

papierów. Schuyler zauważyła, że postarzał się przez
ten miesiąc, kiedy się nie widzieli. Jego

lwia grzywa posiwiała, a pod oczami pojawiły się nowe
zmarszczki.

Lawrence był Odwiecznym, rzadkim przypadkiem
wampira, który zrezygnował z

odpoczynku, nie przechodząc przez zwykły cykl
reinkarnacji. Od wieków zachowywał tę

samą powłokę. Potrafił sprawiać wrażenie równie
młodego jak Schuyler, ale tego wieczoru

wyglądał, jakby dźwigał na barkach ciężar tysiącleci. Po
raz pierwszy, odkąd Schuyler go

znała, sprawiał wrażenie starożytnej istoty. Nie przypominał mężczyzny z dwudziestego pierwszego wieku. Można było pomyśleć, że chodził po świecie, kiedy Mojżesza wkładano do wiklinowego koszyka i rzucono do rzeki.

- Schuyler, co za miła niespodzianka - przywitał wnuczkę, chociaż nie sprawiał wrażenia zaskoczonego jej widokiem.

- Gdzie jedziesz? — odpowiedziała pytaniem, widząc stojącą przy biurku zniszczoną walizę, spakowaną i zapiętą.

- Do Rio - odparł. - Było silne trzęsienie ziemi, nie oglądałaś wiadomości? — Machnął ręką w stronę telewizora, niedawno wstawionego do gabinetu. Pokazywano płonące miasto i walące się w gruzy budynki.

Na widok tych zniszczeń Schuyler odmówiła krótką modlitwę.

- Dziadku, coś się ze mną stało. Kilka minut temu.

Opisała to uczucie, wrażenie, że pojawiło się coś niewypowiedziane złowrogiego. Trwało

tylko ułamek sekundy, ale wystarczyło, żeby czuła się brudna w każdym calu swojego istnienia.

- Więc też to poczułaś.

- Ale co? — wzdrygnęła się Schuyler. — To było... odrażające - powiedziała, chociaż

określenie „odrażające” stanowiło zbyt łagodne opisanie krystalicznej wrogości, której doświadczyła.

Lawrence gestem wskazał jej krzesło, nadal przeglądając dokumenty.

- Czy czytałaś już na temat Corcovado?

- Wiem, że to w Rio de Janeiro... W Brazylii - dodała niepewnie. Nie posunęła się zbyt daleko

w zleconych jej przez Lawrence'a zadaniach. Być może postąpiła niemądrze, ale w części

winiła dziadka za swoją obecną sytuację życiową.

Dlatego z irytacją zareagowała na jego

sugestię, że powinna odświeżyć sobie historię błękitnokrwistych. Nalegał, żeby czytała

starożytne, dawniej zakazane teksty - historię Croatanów, która do tej pory nie znajdowała

miejsca w oficjalnych przekazach.

Jeśli nawet Lawrence był poirytowany, nie okazał tego w najmniejszym stopniu. Cierpliwie

zaczął wyjaśniać, jak wykładowca uniwersytecki, którym kiedyś był:

— Corcovado to miejsce mocy, źródło energii, pierwotne *vio*, z którego wampiry czerpią

swoją siłę na Ziemi. Nasza nieśmiertelność wywodzi się z harmonijnej więzi z pierwotną

esencją życia. To dar, który zachowaliśmy nawet po wygnaniu.

Na ekranie widać było słynny posąg Chrystusa Zbawiciela, górujący nad miastem ze swego

pedestału na górze Corcovado. Schuyler zdziwiła się, że wciąż stoi, podczas gdy całe miasto

zostało obrócone w perzynę.

- Trzęsienie ziemi. Ten przekaz, który odebrałam. To jest jał koś powiązane? Dlatego

wyjeżdżasz? — zapytała, wiedząc, że ma rację.

Dziadek skinął głową, ale nie wyjaśnił nic więcej.

- Będzie najlepiej, jeśli nie poznasz wszystkich szczegółów.

- Rozumiem, że wyruszasz dziś wieczorem? - spytała Schuyler.

Lawrence przytaknął.

- Spotkam się z zespołem Kingsleya w Sao Paulo, potem | razem udamy się na Corcovado.

- A Rada?

- Są oczywiście zaniepokojeni, ale lepiej, jeśli nie będą wiedzieli wszystkiego. Znasz moje wątpliwości dotyczące Rady, moje i Cordelii podejrzenia.

— Że jeden z wielkich rodów zdradził — Schuyler obserwowała, jak dziadek starannie wiąże krawat. Lawrence zawsze ubierał się bardzo formalnie.

— Tak. Ale nie wiem jak i nie wiem dlaczego. Oczywiście nasze przeczucia jak dotąd się nie potwierdziły i nie mamy najmniejszych dowodów na istnienie zdrajcy. Ale najnowsze ataki pokazują, że w jakiś sposób co najmniej jeden srebrnokrwisty przetrwał i powrócił, aby na nas polować. Ze nie jest wykluczone, iż sam Książę Ciemności nadal chodzi po Ziemi.

Schuyler wzdrygnęła się. Ile razy Lawrence wspominał o Lucyferze, miała wrażenie, że krew zamarza w jej żyłach. W samym jego imieniu kryło się zło.

— Musimy się już pożegnać, Schuyler.

— Niel Pozwól mi jechać z tobą - Schuyler zerwała się z miejsca. Ta mroczna, straszna, nienawistna wrogość. Jej dziadek nie mógł zmierzyć się z tym czymś - czymkolwiek było — samotnie.

— Przykro mi. - Lawrence potrząsnął głową, chowając portfel do kieszeni płaszcza. —

Musisz zostać. Jesteś silna, ale jesteś też bardzo młoda. I wciąż jestem za ciebie odpowiedzialny.

Zaciągnął żaluzje i założył stary płaszcz przeciwdeszczowy. Jego zausznik, Anderson, pojawił się w drzwiach.

— Jest pan gotowy? Lawrence zabrał bagaże.

— Nie miej takiej rozczarowanej miny, moja wnuczko. Musisz pozostać w Nowym Jorku nie

tylko dla swojego dobra. Jeśli mogę coś zrobić dla twojej matki, to zapewnić ci bezpieczeństwo i trzymać cię tak daleko od Corcovado, jak to możliwe.

SIEDEMNAŚCIE

Kiedy Bliss była mała, jej rodzina zamieszkiwała jedną z megaposiadłości pospolitych w

River Oaks — czyli

na zamożnych przedmieściach Houston. Dom, o powierzchni ponad dwóch i pół tysiąca

metrów kwadratowych, był ucieleśnieniem „teksańskiej przesady”. Bliss żartowała, że należy

im się kod pocztowy na wyłączność. Nie czuła się tu za dobrze i wołała ranczo dziadków,

położone w dziczy zachodniego Teksasu.

Niezależnie od jankeskich korzeni, należeli do teksańskiej arystokracji — majątek zbili na

ropie, bydło i, no cóż... głównie ropie. Llewellynowie lubili opowiadać, jak to patriarcha rodu

zaszokował swoją nobliwą rodzinę, gdy rzucił studia w Yale i wyruszył pracować na polach

naftowych. Szybko poznał wszystkie tajniki zawodu, po czym wykupił tysiące hektarów

roponośnych gruntów, stając się najbardziej fartownym baronem naftowym w całym stanie.

Bliss zastanawiała się, na ile można mówić w tym przypadku o szczęściu, a na ile o wampirzych zdolnościach.

Forsyth był najmłodszym synem najmłodszego syna. Jej dziadek był buntownikiem, który został po szkole na schodzie, poślubił swoją ukochaną z Andover i wychowywał syna w apartamencie przy Piątej Alei do czasu, kiedy pech na giełdzie zmusił rodzinę do powrotu na teksańskie włości.

Dziadek zawsze należał do jej ulubionych krewnych. Nawet po latach spędzonych na

Północnym Wschodzie zachował teksański akcent i ironiczne, dosadne poczucie humoru.

Lubił mówić, że nie pasuje nigdzie i dlatego pasuje wszędzie. Tęsknie za życiem w Nowym

Jorku, ale zacisnął zęby i przejął rodzinny biznes, kiedy inni członkowie rodu nie byli

zainteresowani i prowadzeniem rancza, preferując przeprowadzkę do szklanej metropolii

Dallas lub San Antonio. Żałowała, że dziadzia już z nimi nie ma. Jaki sens miało bycie

wampirem, skoro taki czy inaczej miało się do dyspozycji tylko długość ludzkiego życia, a

potem trzeba było czekać na wezwanie do kolejnego cyklu?

Bliss dorastała wśród licznych kuzynów i do czasu przeprowadzki do Nowego Jorku i

ukończenia piętnastu lat myślała, że nie ma w sobie nic niezwykłego. Możliwe, że świadomie

przymykała oczy na to, co działo się w jej otoczeniu. Później dopiero uświadomiła sobie, że

puszczała mimo uszu rozmaite sygnały: starsi kuzyni robili aluzje do „zmiany”, wywołując

tłumione chichoty już wtajemniczonych. Jej ojciec zmieniał sekretarki jak rękawiczki - teraz

rozumiała, że były jego familiantkami. Dopiero niedawno Bliss uświadomiła sobie, jak

dziwne jest to, że nikt nigdy nie mówił o jej prawdziwej matce.

, BobiAnne była jedyną matką, jaką знаła. Relacje Bliss z tantią, nadopiekuńcza macochą,

która darzyła ją ogromnym uczuciem, zaniedbując własne dziecko, przyrodną siostrę Bliss, Jordan, nie były łatwe. BobiAnne ze swoimi futrami, diamentami i koszmarnym gustem robiła co mogła, żeby zastąpić Bliss matkę i Bliss nie potrafiła jej za to znienawidzić. Z drugiej strony nie potrafiła też jej za to pokochać. Forsyth poślubił BobiAnne, kiedy Bliss była w kołysce. Jordan przyszła na świat cztery lata później. Dziwne, milczące dziecko, pulchne w porównaniu z wiotką Bliss, o skórze ziemistej w porównaniu z jej cerą jak kość słoniowa i trudne w porównaniu z łatwowiernością starszej siostry. Ale Bliss nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez Jordan i broniła jej zaciekle, kiedy BobiAnne drażniła się lub obrażała własne dziecko. Z kolei Jordan uwielbiała siostrę, jeśli akurat się z nią nie droczyła. Była to normalna siostrzana więź: pełna sprzeczek i kłótni, ale oparta na stałej i niewzruszonej lojalności.

. Najważniejsze rzeczy w życiu zawsze przyjmujemy jako coś oczywistego, pomyślała Bliss

kilka dni po pokazie mody, jadąc taksówką w stronę północnej części Manhattanu. Poprosiła

kierowcę, żeby zawiózł ją do Columbia Presbyterian Hospital.

— Pani z rodziny? — zapytał strażnik w recepcji, podsuwając jej listę odwiedzin do podpisania.

Bliss zawahała się. Dotknęła fotografii ukrytej w kieszeni płaszcza na szczęście. Była to inna odbitka zdjęcia, które jej ojciec nosił w portfelu, znaleziona przez nią w pudełku na biżuterię.

-Tak.

- Najwyższe piętro, ostatni pokój na końcu korytarza. Żałowała, że jest sama, ale nie miała

nikogo, kogo mogłaby poprosić o dotrzymanie jej towarzystwa. Schuyler na pewno domagałaby

się wyjaśnień, a Bliss nie byłaby w stanie przedstawić jej rozsądnego powodu. „No,

tak sobie myślę, że może jesteśmy siostrami?" brzmiało zbyt niedorzecznie.

Jeśli chodziło o Dylana, Bliss zepchnęła wszystkie myśli o chłopaku na dno umysłu.

Wiedziała, że powinna sprawdzić, co się z nim dzieje, szczególnie od kiedy zaprzestał prób

kontaktu, ale czuła się zbyt wściekła i upokorzona, by powrócić do okropnego pokoju w

Chelsea Hotel. Jego dziwaczne zachowanie: gardłowy głos, wysoki śmiech, niezrozumiały

bełkot w obcych językach sprawiały, że jeszcze bardziej się go bała. Wiedziała, że to tylko

pobożne życzenia, ale miała nadzieję, że może wszystko po prostu wróci do normalności.

Obiecała Schuyler i Oliverowi, że zajmie się Dylaniem — przekaze Komitetowi i Radzie —

ale wciąż znajdowała wymówki, żeby tego nie robić.

Nawet jeśli uznała, że już jej nie

pociąga, nie mogła się zdobyć na zdradę jego zaufania.

Miała też własne zmartwienia, nawet jeśli wiedziała, że w szpitalu nie znajdzie żadnych

odpowiedzi. Ostatecznie Allegra trwała pogrążona w śpiączce. A nie miało sensu poruszać jej

tematu w rozmowie z ojcem.

Przez całe życie Bliss słyszała, że matka zmarła, kiedy była malutka. Ze „Charlotte Potter”

była nauczycielką, którą ojciec poznał w czasie pierwszej kampanii wyborczej, kiedy ubiegał się o stanowisko stanowego kongresmena. Teraz Bliss zastanawiała się, czy Charlotte Potter w ogóle istniała. Na pewno nie znalazła żadnych albumów ze zdjęciami ślubnymi, pamiątek ani drobiazgów wskazujących, że taka kobieta była kiedykolwiek żoną jej ojca. Do tej pory zakładała, że po prostu BobiAnne nie życzyła sobie żadnych pozostałości po pierwszej pani Llewellyn.

Nie wiedziała niczego o rodzinie swojej matki, a dzięki doskonałej wampirzej pamięci mogła wrócić wspomnieniami do dnia, Kiedy po raz pierwszy zapytała ojca, jak się nazywała jej prawdziwa mama. Miała pięć lat, a ojciec właśnie czytał jej bajkę na dobranoc.

- Charlotte Potter - powiedział z uśmiechem. - Twoja mama nazywała się Charlotte Potter,

Bliss była zachwycona.

- Zupełnie jak w Pajęcznie Crtarotry! - pisnęła. A nazwisko mamy brzmiało tak samo jak tej

pani, która napisała wszystkie książki stojące na jej półce, Beatrix Potter.

Coraz częściej Bliss podejrzewała, że jej ojciec po prostu wszystko zmyślił. Pewnego razu

wspomniała przy nim to imię, a on w ogóle nie zareagował.

Bliss doszła do końca korytarza i znalazła pokój. Otworzyła drzwi, wślizgując się do środka.

W pokoju Alleghry Van Alen było zimno jak w chłodni. Śpiąca na łóżku kobieta nie poruszała

się. Bliss niepewnie podeszła bliżej, czując się jak intruz. Twarz Alleghry była spokojna,

pozbawiona wieku i zmarszczek. Wyglądała jak księżniczka w szklanej trumnie, piękna i

nieruchoma.

Myślała, że kiedy w końcu zobaczy Allegrę, coś wyczuje — będzie wiedziała na pewno, czy

jest z nią spokrewniona, czy też nie. Ale tak się nie stało. Dotknęła dla uspokojenia

naszyjnika ukrytego pod bluzką, a potem ujęła dłoń Alleghry, czując dotyk jej pergaminowej

skóry. Zamknęła oczy i spróbowała sięgnąć do poprzednich wcieleń, do swoich wspomnień, aby sprawdzić czy coś wie o Gabrieli.

W przebłyskach pamięci mogła zobaczyć kogoś, kto wyglądał znajomo, kto mógł być nią, ale

Bliss nie była pewna. Kobieta na łóżku była dla niej równie obca jak pielęgniarka na

korytarzu.

— Allegro? — szepnęła Bliss. Nazywanie jej „matką” było nie dorzeczne. - To ja. Jestem...

Bliss. Nie wiem, czy mnie pamiętasz ale myślę, że możesz być moją... — Bliss nagle urwała.

Poczuła w piersiach ból tak silny, że nie była w stanie oddychać. Co on tu robiła? Musiała stąd

iść. Musiała wyjść natychmiast.

Miała rację, tutaj nie znajdzie żadnych odpowiedzi.

Nigdy nie pozna prawdy. Ojciec nie

chciał powiedzieć, a Allegra niej mogła.

Zmartwiona i zagubiona Bliss wyszła, wciąż pragnąc odpowiedzi na dręczące jej serce

pytania.

Nie wiedziała, że kiedy opuściła pokój, Allegra Van Alen zaczęła krzyczeć.

OSIEMNAŚCIE

Zebrania Komitetu zawsze rozpoczynały się z opóźnieniem, więc Mimi nie przejmowała się, kiedy narada z organizatorką ceremonii odnowienia więzi potrwała trochę dłużej, niż się spodziewała. Od kiedy Lawrence został Regisem, zebrania miały coraz mniej wspólnego z planowaniem imprez towarzyskich i gromadzeniem funduszy, a więcej z — jej zdaniem — kompletnie zbędnymi — lekcjami bycia wampirem. Edmund Oelrich, zgrzybiały cap z Rady, nowy Dowódca Straży, nie trzymał wszystkiego żelazną ręką tak jak świętej pamięci Priscilla Dupont. Wydawał się całkowicie obojętny na fakt, że jeśli mieli zapewnić obecność odpowiednio znakomitych gości na wiosennej gali baletowej, powinni zacząć załatwiać zaproszenia kilka tygodni temu. W tym momencie wszystkie Pierwsze Damy miały już inne plany, a żona gubernatora była zaabsorbowana

najnowszym skandalem z udziałem jej męża. Jeśli dalej tak pójdzie, będzie musiała im

wystarczyć narzeczona burmistrza, która nie miała nawet cienia potrzebnego szyku i nie była

w najmniejszym stopniu zainteresowana pięciem się po drabinie społecznej pod płaszczykiem

działalności charytatywnej.

Mimi weszła do sali bibliotecznej Duchesne, zajęła miejsce z tyłu i postukała słuchawkę

bluetooth w uchu, pokazując znajomym, dlaczego się z nimi nie wita. Uważała, że lekcje Komitetu

były zupełną stratą czasu. Od czasu przemiany w pełni panowała nad swoimi

zdolnościami i złościło ją, że innym wampirom nauka idzie tak opornie. Tego dnia mieli się

uczyć mu-taño, zdolności przemiany w ogień, wodę czy powietrze. Mimi westchnęła.

Potrafiła rozwiewać się w mgłę, od kiedy skończyła jedenaście lat. Jak to się mówi, wcześniej

zaczęła dojrzewać.

— Przepraszam, możesz powtórzyć? — potrząsnęła maleńką srebrną stuchaweczką w uchu.

— Myślisz, że uda nam się załatwić Biały Dom? Nie?

Zatrudniona przez nią firma, Elizabeth Tilton Events, nie- j dawno organizowała

pięciodniową ekstrawagancką imprezę w Kartaginie, na której don Alejandro Castañeda,

błękitno- j krwisty dziedzic fortuny opartej na napojach słodzonych, odnawiał więc ze swoją

wampirzą bliźniaczką, Danielie Russell świeżą absolwentką Uniwersytetu Browna. Mimi i

Jack reprezentowali rodzinę, a Mimi była trochę rozdrażniona, słuchając podczas próbnego

obiadu, jakie to wszystko jest nie z tej ziemi. Družba oznajmił, że „następna ceremonia

odnowienia więzi musiałaby się chyba odbyć na Księżycu, żeby to przebić!". No cóż, Mimi z

pewnością zamierzała spróbować.

- Skarbie - zagruchała Lizbet Tilton. - Strasznie mi przykro, kle przy nowej administracji

Ogród Różany nie wchodzi w grę. Nie dołożyliśmy się dostatecznie do kampanii. Ale musi

być jakieś inne miejsce, które ci się spodoba.

— Może Pałac Buckingham? Jestem pewna, że ojciec może Ich poprosić o przysługę.

Lizbet roześmiała się z całego serca.

- Złotko, w jakim stuleciu ty żyjesz? Pomyliły ci się wcielenia? Nawet jeśli jesteś z rodziny

królewskiej, tamta gałąź nigdy nie wybaczyła nam, że wyjechaliśmy. Poza tym ostatnio są

strasznie zasadniczy. Nawet Karol i Camilla nie mogli tam brać ślubu.

Mimi nadąsała się.

— Nie wiem, w takim razie możemy urządzić ceremonię na wyspie — powiedziała,

zauważając, że Schuyler i Bliss właśnie weszły do sali. Wysłała szybką sugestię, przez którą

Schuyler nagle się potknęła. Ha. Ktoś najwyraźniej nie odrobił lekcji occludo. Umysł

Schuyler był otwarty jak rana.

— Myślisz o rezydencji twojego ojca na Sandy Cay? - spytała Lizbet. — To będzie boskie. —

Force'owie mieli prywatną wyspę na Bahamach. -
Wszyscy będą mogli tam wpaść na

weekend, a jeśli ktoś nie ma własnego transportu, wyczarterujemy mu samolot. Coś takiego

robiliśmy ostatnio dla Alexa i Dani w Kolumbii

Mimi nie zamierzała pozwolić, żeby jej ceremonia więzi była taka sama jak inne.

- A może Włochy? - zaproponowała Lizbet. - Jakiś zabytkowy pałac? Dalej macie tę posiadłość w Toskanii?

- Yyy, nie. Nie we Włoszech. Mam złe wspomnienia - skarciła ją Mimi, patrząc ze złością na gapiącą się na nią grupę. Dowódca Straży i reszta starszych członków Komitetu wreszcie przyszli, a lekcja miała się zaraz zacząć.

- Jasne, wybacz. Wiesz co? - powiedziała z namysłem Lizbet. - Przy całym tym pędzie do urządzania odnawiania wici we wszystkich możliwych miejscach na świecie, nikt od dziesięcioleci nie wyprawił naprawdę porządnej ceremonii w Nowym Jorku.

- Tutaj? Po prostu w domu? — wzdrygnęła się Mimi. To na pewno nie brzmiało dostatecznie niezwykle.

Z przodu, na podium, Edmund Oelrich porządkował papiery i witał doskonale

zakonserwowane damy wchodzące w skład Komitetu.

- Katedra Świętego Jana Bożego to cudowny gotycki kościół. Mogłabyś założyć suknię z

trenem dłuższym niż ten, który miała księżna Diana. I mogłybyśmy umówić Boys Choir of

Hanlem. Brzmi po prostu anielsko.

Mimi rozważyła propozycję. W końcu odparła, że katedra rzeczywiście jest przepiękna, a

potem mogliby urządzić przyjęcie w Świątyni Dendur w Metropolitan Museum. Charles był

w radzie muzealnej, a w tym roku okazał się wyjątkowo hojnie pomachała do Jacka, który

właśnie wszedł. Jej brat dołączył do niej i uśmiechnął się.

- Z kim rozmawiasz? - zapytał bezgłośnie.

- Czyli wszystko ustalone? Święty Jan i Metropolitan? - zapytała Lizbet. -1 mówiłaś, że

chciałaś zaprosić wszystkich Czterystu?

- Tak, tak i tak - odparła Mimi z zadowoleniem.

Zakończyła rozmowę i uśmiechnęła się do

brata. Teraz, kiedy znała jego sekret, zauważyła, że rozglądał się po całej sali, omijając starannie Kąt, w którym siedziała Schuyler.

Pomagier Schuyler, równie jak ona irytujący, Oliver, pojawił się chwilę później. To także

jakaś farsa — wpuszczanie ludzi na ich spotkania.

Charles za swoich rządów nigdy by na to

nie pozwolił. Ale Lawrence jasno powiedział, że oczekuje, iż zausznicy przejdą własny

trening, a najlepiej nauczą się więcej o swoim powołaniu, dołączając do Komitetu.

Mimi wyczuła, że siedzący obok niej Jack zeszywniał. Oliver cmoknął Schuyler w policzek.

Interesujące. Wykorzystała wampirze zmysły, aby przyjrzeć się szyi Olivera i natychmiast

dostrzegła wymowny ślad ukąszenia. Niewidoczny dla ludzkiego oka, praktycznie świecił w

oczach wampirów. Więc tak się sprawy mają. Ta półkrewka uczyniła najlepszego przyjaciela

swoim familiantem. I dobrze.

To podsunęło Mimi pewien pomysł. Jeśli Schuyler sama nie zerwie tego żalostnego romansiku

z Jackiem, być może uda się ją do tego zmusić.

Oliver mógł być przydatny.

Mimi musiała działać szybko. Powiedziała Lizbet, że chciałyby zorganizować ceremonię w przeciągu trzech miesięcy.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Bliss, w odróżnieniu od Mimi, lubiła nowy plan zajęć Komitetu. Podobało jej się, że

odkrywanie i wykorzystywanie wampirzych zdolności zastąpiło wkuwanie na pamięć

nudnych szczegółów z ich historii albo

przygotowywanie zaproszeń i analizowanie cateringu

na wystawne imprezy towarzyskie, na które nie miała ochoty chodzić. Lekcje sprawiały, że

krew szybciej płynęła w jej żyłach. Z podnieceniem odkrywała, że doskonale radzi sobie

nawet z trudniejszymi zadaniami, takimi jak mutatio.

Starsi członkowie Komitetu poprosili młodszych o podzielenie się na dwu-, trzyosobowe

zespoły w celu ćwiczenia subtelnej sztuki przemiany.

~ Wszystkie wampiry powinny być w stanie zmienić się w dym, powietrze lub mgłę, a

większość z nas potrafi także przekształcić się w ogień lub wodę. Jak zapewne wiecie,

Konspiracja pilnuje, aby w fałszywych legendach, od wieków rozpowszechnianych o nas

wśród czerwonokrwistych, zawsze kryło się ziarno prawdy - gościnnie wykładająca temat

Dorothea Rockefeller zachichotała mówiąc te słowa. Konspiracja zawsze potrafiła rozbawić

Komitet.

— Uznali oni, że najlepiej będzie, jeśli ludzie zaczną wierzyć, iż nasz rodzaj może

przemieniać się tylko w nietoperze, szczury lub inne nocne stworzenia. W ten sposób

czerwonokrwisci będą żywić złudne poczucie bezpieczeństwa w ciągu dnia. I chociaż ci

spośród nas, którzy są zdolni do pełnej zmiany kształtu, mogą wybrać takie odrażające

fizyczne powłoki, większość z nas tego nie robi. Na przykład pani Gabriela wybrała gołębicę

jako swój mutatus. Jeśli należycie do tych nielicznych szczęśliwców, którzy mogą

przekształcać się wedle woli, odkryjecie postać, która najlepiej odpowiada waszym

zdolnościom. Nie bądźcie zaskoczeni jeśli będzie się ona różnić z waszymi oczekiwaniami.

Bliss należała do tych nielicznych szczęśliwców.

Stwierdziła, że potrafi przemienić się z

dziewczyny w mgłę i z powrotem w dziewczynę. Potem wypróbowała inne kształty - białego

konia, czarnej wrony, małpy czepiaka — aż w końcu zdecydowała się na formę złocistej

lwicy.

Ale Schuyler stała po prostu na środku sali, coraz bardziej] sfrustrowana z każdą nieudaną

próbą.

— Może to dlatego, że jestem w połowie człowiekiem?

- westchnęła, kiedy kolejna próba

zmuszenia ciała do przybrania innego kształtu sprawiła, że wylądowała po prostu na

podłodze! nadal we własnej skórze.

— A co złego w byciu człowiekiem? - zapytał Oliver, obserwując z fascynacją, jak Mimi w przeciągu trzech sekund przemienia się w feniksa, kolumnę ognia i czerwonego węża. - Rany, dobra jest.

- Popisuje się - syknęła Bliss. - Nie przejmuj się nią. I nie śmieję się, Ollie, przeszkadzasz

Schuyler! - Bliss starała się nie chełpić własnymi sukcesami, ale miło było wiedzieć, że

Schuyler nie jest wybitna w każdej dziedzinie.

— Słuchaj, to się robi tak. Musisz sobie zwizualizować docelowy kształt. Musisz czuć się

mgłą. Myśleć jak mgła. Pozwolić, żeby twój umysł stał się pusty. Powinnaś poczuć takie

mrowienie na skórze, a potem...

Schuyler posłusznie zamknęła oczy.

- Dobra, myślę jak mgła. Golden Gate. San Francisco. Wszystko roztapia się we mgle. Nie

wiem... nic się nie dzieje.

— Szszszsz ~ napomniała ją Bliss. Ona już czuła, że przemiana się zaczyna, czuła

przekształcające się zmysły, samą swoją istotę rozplywającą się w miękkim, szarym obłoku.

Z przyjemnością rozważała, jak wykorzysta nowy talent, kiedy nawiedziła ją inna wizja.

Uderzyła jak obuchem. Surowość obrazu była niczym cios w brzuch.

Dylan.

Jeśli wcześniej wyglądał niechlujnie, teraz było znacznie gorzej. Ubranie miał poszarpane,

koszulę porwaną w strzępy, dzinsy rozdarte, a włosy zmierzwione. Wyglądał, jakby nie jadł i

nie spał od tygodni. Stał przed bramą szkoły, szarpiąc pręty i bredził jak szaleniec.

- Co się dzieje? - zapytała natychmiast Schuyler, widząc, że Bliss się zachwiała.

- Dylan. Jest tutaj. To wystarczyło.

Cała trójka wybiegła z zebrania Komitetu, ignorując zaciekawione spojrzenia. Opuścili

bibliotekę i pognali schodami na don Dzięki wampirzej szybkości Schuyler i Bliss dotarły do

bramy prze] Oliverem, który, zadyszany, próbował dotrzymać im kroku.

Duchesne było zlokalizowane w zacisznym zakątku
Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy,

pośród innych szkół prywatnych! W środku
popołudnia ulice praktycznie świeciły

pustkami, tylko kilka nianiek popychało wózki w stronę
parku.

Stojący na środku chodnika, gwałtownie potrząsający
bramą chłopak sprawiał wrażenie

proroka z zamierzchłej epoki, przybysza z czasów
kaznodziejów i pontyfików, kiedy

obszarpani mężczyźni przestrzegali przed Sądem
Ostatecznym. Niemal śladu nie zostało po

nastolatku, który chciał kiedyś grać na gitarze jak Jimi
Hendrix i był sprawcą nieskończonej

liczby kawałów.

— OBRZYDLIWOŚĆ! - zagrzemiał na ich widok.

— To moja wina. — Bliss, której zbierało się na łzy już
na sam I widok Dylana, rozplakała

się na dobre. — Wiem, obiecywałam, że powiem o nim
Radzie, ale nie mogłam. I nie

sprawdzałam, co się z nim dzieje... Zostawiłam go i
ignorowałam... Chciałam, żeby się

odczepił. To wszystko moja wina.

— Nie, moja — odparła Schuyler. — Miałam powiedzieć Lawrence'owi, ale...

— To nasza wspólna wina — powiedział stanowczo Oliver. Powinniśmy coś dla niego zrobić,

ale nie zrobiliśmy. Słuchajcie, trzeba go stąd zabrać. Ludzie zaczną się dopytywać, co się

dzieje - dodał, kiedy starsza kobieta z pudłem przeszła przez jezdnię, patrząc na nich z

ciekawością. — Nie chcemy, żeby wmieszała się w to policja.

Dylan nagle rzucił się w ich stronę, sięgając przez pręty i bełkocząc w nieznanym im języku.

Schuyler cudem umknęła z zasięgu rąk.

— Musimy coś zrobić, zanim znowu zaczniesz używać uroku. Bliss natychmiast przemieniła

się w złotą lwicę. Stanowiła

przepiękny widok: przyczajona, nieposkromiona bestia. Przeskoczyła bramę i rzuciła się na

Dylana, który z wściekłością zasyczał:

— Piekielny pomiot! Zdrajczyni!

Bliss osaczyła go przy parkanie i obnażyła zęby.
Wspięła się na tylne nogi, popychając go
ogromnymi, złotymi łapami. Dylan skulił się i jęknął,
osłaniając rękami głowę.

— Trzyma go — krzyknął Oliver, gestem ponaglając
Schuyler, żeby także się zbliżyła.

Schuyler podbiegła do Bliss- Spojrzała Dylanowi w
oczy, widząc w nich gniew, złość i
niepewność. Zadrzała. To nie był potwór. To było ranne
zwierzę.

Ale Oliver nie miał skrupułów.

— SCHUYLER! ZRÓB TO! TERAZ!

— Domu! — nakazała, machnąwszy ręką przed twarzą
Dylana. Dylan opadł na ziemię. Bliss

powróciła do ludzkiej postaci

i przyklękła obok niego.

— Będzie spał, dopóki ktoś nie każe mu się obudzić —
powiedziała Schuyler.

Oliver usiadł koło Bliss, robiąc ze swetra Dylana
zaimprovizowany kaftan bezpieczeństwa.

Bruzdy na twarzy śpiącego powoli się wygładzały.
Wyglądał teraz łagodnie i spokojnie.

- Musimy zawiadomić Komitet. Sprawy zaszły za daleko - powiedział Oliver. — Wiem, że nie chcesz, Bliss, ale to dla jego dobra. Może uda się mu pomóc.

- Oni nie pomagają srebmokrwestym, oni ich zabijają. Wiesz o tym — odparła z goryczą Bliss.

-Ale może...

- Zabiorę go do ojca - zdecydowała Bliss. - Spróbuję jakoś się za nim wstawić. Może Forsyth okaże Dylanowi litość, bo to I mój przyjaciel. Będzie wiedział, co robić.

Schuyler skinęła głową. Forsyth powinien sobie poradzić z Dylanem. W międzyczasie podjechał rollsroyce Llewellynów. Wepchnęli Dylana na tylne siedzenie i przypięli pasami obok ; Bliss.

— Nic mu nie będzie — zapewniła Schuyler.

- Jasne - odpowiedziała Bliss, chociaż w tym momencie żadne z nich już w to nie wierzyło.

Kiedy samochód odjeżdżał, pomachała im na pożegnanie. Oliver w odpowiedzi uniósł rękę,

ale Schuyler stała jak sparaliżowana. Wreście limuzyna zniknęła im z oczu za zakrętem.

Kiedy Bliss wróciła do Penthouse des Rêves, ekstrawaganckiego potrójnego apartamentu, jaki jej rodzina zajmowała na szczycie jednego z najbardziej ekskluzywnych budynków przy Park

Avenue, BobiAnne konsultowała się ze swoim astrologiem w „codziennym” salonie.

Macochoa Bliss była wyfiokowaną teksańską damą, która nawet wczesnym popołudniem

obwieszała się diamentami. Przyrodnia siostra Bliss, Jordan, odrabiała lekcje przy stoliku

obok. Obie z zaskoczeniem popatrzyły na wchodzącą Bliss.

— Co do diabła? — krzyknęła BobiAnne, zrywając się z miejsca na widok pasierbicy i

związanego, nieprzytomnego chłopaka.

— To jest Dylan - powiedziała Bliss, jakby to wszystko wyjaśniało. Zwracając się do swojej

rodziny, czuła przerażający spokój. Nie miała pojęcia, jak zareagują na jego widok, tym bardziej,

że był tak brudny. BobiAnne dostawała palpacji na myśl o tym, że ktoś mógłby

zapomnieć położyć podkładkę pod talerz albo zostawić ślad ręki na japońskich tapetach.

- Ten zaginiony chłopak - szepnęła Jordan, a jej oczy były okrągłe i przestraszone.

- Tak. Coś jest z nim nie tak. On... Nie do końca jest sobą. Muszę powiedzieć ojcu.

Bliss opowiedziała im o wszystkim — o nieoczekiwanym powrocie Dylana, o tym, jak ukryła go w Chelsea Hotel, pobieżnie streszczając jego wcześniejsze ataki.

— Ale ze mną wszystko w porządku — zapewniła. — Nie przejmujcie się. To jemu trzeba

pomóc - powiedziała, ostrożnie układając Dylana na najbliższej leżance.

- Dobrze zrobiłaś. - BobiAnne przycisnęła Bliss do piersi w duszącym obłoku perfum. - Z

nami będzie bezpieczny.

DWADZIEŚCIA

Nowojorska wiosna była zazwyczaj ulotnym mirażem, miasto niemal natychmiast

przechodziło od ostrej zimy do upalnego lata. Po stopnieniu zimowych śniegów następowało kilka dni deszczu, a potem słońce zaczynało prażyć bezlitośnie, zamieniając metropolię w ogromną saunę. Podobnie jak inni mieszkańcy Nowego Jorku, Schuyler ceniła ten króciutki czas prawdziwej wiosny. Wracając po szkole z Bliss Dziewięćdziesiątą Szóstą Ulicą, uśmiechnęła się, zauważając pierwsze delikatne pączki w tym sezonie. Niezależnie od tego, jak wielkie zmiany następowały w jej życiu, zawsze mogła liczyć na tulipany w Central Parku.

Zerwała drobny żółty kwiatusek z mijanego krzaka i wpięła go sobie we włosy. W Duchesne zaczynał się ostatni okres nauki przed letnimi wakacjami. Czwartoklasiści zostali już przyjęci do college'ów, a nauczyciele połowę lekcji prowadzili na zewnętrznych dziedzińcach.

Bliss powiedziała jej, że Dylanem się zajęto - w dobrym znaczeniu tego słowa. Forsyth okazał

zaskakująco wiele zrozumienia dla jego sytuacji.
Powiedział, że dla Dylana może istnieć
jeszcze nadzieja, nawet jeśli został skazony - proces
przemian błękitnokrwistego w
srebrnokrwistego trwał długo. Być może uda się go
zatrzymać. Forsyth umieścił chłopaka w
miejscu, gdzie pod obserwacją mógł przechodzić
rehabilitację.

— Jest po prostu na odwyku — wyjaśniła Bliss, kiedy
omijając grupkę skwaszonych
dziewcząt w niebiesko białych mundurkach liceum
Nightingale-Bamford. - Pamiętasz, jak w
zeszłym roku Charlie Bank i Honor Leslie byli przez
dłuższy czas zawieszeni? I wszyscy
myśleli, że to przez prochy? — Bliss przypomniała
dwójkę uczniów Duchesne, którzy
zniknęli na długie miesiące.

— No, tak — przytaknęła Schuyler.

—No więc nie byli ćpunami. Zaczęli wariować w
trakcie przemiany. Mieli zwidy, nie
odróżniali przeszłości od terażniejszości. Atakowali
ludzi, łamali Kodeks. Więc umieszczono

ich również w tym miejscu, żeby się nimi zająć. Odwyk to świetna przykrywka, nie? Ludzie

myślą, że dzieciaki potrzebują czasu, żeby dojść do siebie, co w jakimś sensie jest prawdą.

Schuyler zawsze zadziwiało, jak wampiry potrafiły ukryć swoje prawdziwe życie, wtapiając

się w zwykłe ludzkie społeczeństwo, ale Bliss wyjaśniła, że tak naprawdę jest na odwrót.

— Wiesz, że Mayo Clinic, Hazelden i te inne sławne ośrodki odwykowe zostały ufundowane

przez błękitnokrwistych? Musieli po prostu przestawić się też na obsługę ludzi. Myślisz, że

wszystko z nim będzie dobrze? — spytała Bliss.

Schuyler postanowiła nie odbierać Bliss nadziei.

— Jestem pewna, że zrobią, co w ich mocy.

- Wiem — westchnęła Bliss.

Umówiły się, że odwiedzą Dylana za kilka dni. Na Osiemdziesiątej Szóstej Schuyler

pożegnała się i wsiadła do autobusu jadącego na Piątą Aleję.

Przez cały tydzień starała się nie pamiętać o ostrzeżeniu Mimu Czy Mimi mówiła prawdę?

Chciała zapytać Lawrence'a, ale zbyt się wstydziła. Pamiętała, co powiedział jej dziadek.

Musiałaś zauważyć, że go cichnie do ciebie. Dzięki Bogu, ciebie rúe ciągnie do niego. To by sprowadziło na was nieszczęście.

Jak mogła powiedzieć dziadkowi, że się mylił? Ze odwzajemniała uczucie Jacka Force'a? Ze

była słaba i żalosna, podczas gdy Lawrence wierzył, że jest taka silna? Nie mogła. Powtarzała

sobie, że tak czy inaczej nie może zawracać mu głowy głupotami w rodzaju jej życia

uczuciowego. Był przecież zajęty śmiertelnie poważnymi sprawami, takimi jak zagrożenie

samego istnienia rasy błękitnokrwistych. Zaczęła się martwić o Lawrence'a. Od wielu dni nie

otrzymała od niego żadnej wiadomości.

Dziadek ostrzegał ją przed używaniem zwykłych środków komunikacji, a od kiedy wyjechał

do Rio, polegał wyłącznie na telepatii, aby się z nią skontaktować i dać jej znać, że wszystko

jest w porządku. Na razie narzekał tylko na pogodę (parno) i na jedzenie (za ostre). Nie

wspominał o Corcovado, a Schuyler nie wiedziała, czy to dobrze, czy ile.

Nie miała też okazji zapytać Jacka o złowieszczą przepowiednię jego siostry. Nie byli w stanie się umówić od tej nocy, kiedy zaatakował ją Dylan. Schuyler wiedziała, że to Mimi zagospodarowuje cały wolny czas brata.

Kiedy wróciła do rezydencji, Jack rozmawiał z ojcem w salonie. Charles miał na sobie szlafrok. Były przywódca błękitnokrwistych spędzał teraz całe dni w swoim gabinecie.

Sprawia! wrażenie, jakby nie brał tego dnia prysznic. Schuyler poczuła litość i irytację. Był

sprawcą tylu jej nieszczęść, przez niego musiała unikać tych, których kochała. Wierzyła w

jego groźba chociaż ostatnio Charles sprawiał wrażenie, jakby był groźna najwyżej dla siebie

samego. Ale uświadomiła sobie też, że gdyby nie przywlókł jej do swojego domu, być może

ona i Jack nigdy nie mieliby okazji zrozumieć, jak bardzo się kochają.

- Cześć - uśmiechnął się Jack. - Wcześniej wróciłaś.

- Autobus mi podjechał — odpowiedziała, kładąc szkolne przybory na stole. Nadal nie czuła się komfortowo w ich domu ale z drugiej strony miała też dość przemykania się na paluszkach, jakby była intruzem.

- Dzień dobry, Schuyler - burknął Charles.

- Dzień dobry — odparła zimno.

Były Regis zawiązał ciaśniej pasek szlafroka i usunął się do swego leża, zostawiając ich samych.

- Ona już wróciła? - Schuyler rozejrzała się po luksusowym wnętrzu salonu Force'ów.

Umeblowany w wytwornym, francusko-wiktoriańskim stylu pokój był wypełniony rzadkimi

antykami, zapierającymi dech w piersiach dziełami sztuki klasy muzealnej i obfitymi

draperiami. Zmysły podpowiadały jej, że Mimi nie ma w posiadłości. Ale kto mógł być

pewien?

- Nie, jest na jakiejś degustacji ~ odparł Jack.

Schuyler usiadła koło niego na połączanym, obitym pluszem całuszniku, pochodzącym z osiemnastego wieku. Nazwa tej niewielkiej kanapy wzięła się stąd, że para mogła siedzieć na niej zwrócona twarzami do siebie.

- Jack — popatrzyła na niego. — Muszę cię o coś spytać.

- Strzelaj - powiedział, wyciągając nogi i przewieszając ramię przez krawędź oparcia tak, że jego palce dotykały jej ramienia. Zadrżała pod tym dotykiem.

- Czy to prawda, że więź między tobą a... .

- Nie chcę rozmawiać o więzi — uciął Jack, cofając rękę. Jego twarz ściągnęła się i przez

moment Schuyler dostrzegła przebłysk jego prawdziwej natury, zobaczyła mrocznego anioła,

jakim był niegdyś. Anioła, który siał zniszczenie w Raju, tego, który zadmie w trąbę,

ogłaszając początek Apokalipsy. To była twarz Abbadona, wojownika, młota

sprawiedliwości, najbardziej niebezpiecznego żołnierza w armii Wszechmogącego,

- Ale chcę wiedzieć...

- Cicho - Jack odwrócił się do niej, kładąc jej dłoń na policzku. — Po prostu nie...

- Ale Mimi... — w chwili, kiedy Schuyler wypowiedziała to imię, wyczuła obecność przy drzwiach wejściowych. Mimi była w domu albo miała wejść za chwilę. Schuyler w mgnieniu oka, z najwyższą wampirzą prędkością, wypadła z salonu i pobiegła do swojego pokoju, zatrzaskując drzwi.

Kiedy zaledwie kilka sekund później Mimi weszła, niosąc kilka toreb z zakupami, zastała

Jacka czytającego w samotności książkę.

Tego wieczoru Schuyler i Jack także ani przez chwilę nie™ stali sami. Kilka godzin później

wszyscy zgromadzili się na obowiązkowym obiedzie.

Raz w tygodniu matka rodziny, Trinity

Bul den, wymagała, aby dzieci były w domu i jadły razem z rodzicami. Schuyler kiedyś

marzyła o pełnej rodzinie, o życiu, w którym, miałaby kochająca matka, troskliwy ojciec i

rodzeństwo drocząca się z nią nad kotлетem i kartoflami.

Oczywiście Force'owie nie przypominali takiej rodziny. Posiłki w ich domu serwowano w

eleganckiej jadalni, przy stole tak wielkim i onieśmielającym, że poszczególne osoby siedziały

dobry metr od siebie. Każde danie wnosił na srebrnej tacy lokaj a menu było niezmiennie:

zawsze kuchnia francuska, kosztowna i skomplikowana, niezmiennie idealnie smaczna. Ale

Schuyler tęskniła za zwyczajnymi i rozsądnymi daniami przygotowywanymi przez Hattie, za

prostymi, niewyszukanymi potrawami - makaronu z serem i gulaszu. Takie dania nie

wymagały do przygotowania odparowywania czerwonego wina, a do wymówienia nazwy —

znajomości języków obcych.

Konwersacja była zdawkowa, praktycznie nieistniejąca.

Charles pozostawał zatopiony we

własnym świecie, podczas gdy Trinif próbowała wciągnąć bliźniaki w ogólnikową rozmowę

o ich życiu Jack starał się być uprzejmy, Mimi zachowywała się arogancko. Najwidoczniej

nie tylko Schuyler uważała te obiady za farsę i stratę czasu.

— Właśnie, ja i Jack mamy wam coś do powiedzenia — oznajmiła Mimi, kiedy wniesiono

deser, płonące brzoskwinie. - Wybraliśmy już datę naszej ceremonii odnowienia więzi.

Schuyler próbowała zachować kamienną twarz, ale nie była w stanie powstrzymać się od

spojrzenia na Jacka, który jak zawsze sprawiał wrażenie kompletnie obojętnego. Ich

ceremonia odnowienia więzi! Tak szybko...

Mimi wzięła brata za rękę.

- Nie sądzisz, że to trochę za wcześnie? - zapytała z niepokojem Trinity. - Macie mnóstwo

czasu.

Właśnie, pomyślała Schuyler. Całe mnóstwo czasu. Może nawet wieczność.

Charles odkaszlnął.

— Pamiętaj, że wiek jest dla nas iluzją. Zaczynasz myśleć jak czerwonokrwista. Im szybciej

odnowią więź, tym silniejsi się

I staną. Warto za to wznieść toast. Za zdrowie bliźniąt.

— Za nasze zdrowie! — zakrakała Mimi, trącając kieliszkiem kieliszek Jacka. Kryształ

zadźwięczały niczym głęboki, donośny dzwon.

— Za zdrowie bliźniąt - szepnęła Schuyler. Upiła łyk wina, ale stwierdziła, że nie jest w

stanie go przełknąć.

Tej samej nocy Schuyler we śnie odebrała telepatyczny przekaz od Lawrence'a. Kiedyś

wyjaśnił jej, że przesyłanie wiadomości było łatwiejsze, kiedy spała. Nie stanowiło takiego

szoku dla zmysłów, a uśpiony umysł nie był niczym rozprasany.

„Corcovado zabezpieczone. Wszystko jest na dobrej drodze”.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Zatrudnienie Lizbet Tilton okazało się najlepszą możliwą decyzją, pomyślała Mimi,

gratulując sobie przytomności umysłu. Lizbet prowadziła sprawy żelazną ręką i niebawem

odpowiednie miejsca były zarezerwowane na ustaloną datę, kontrakty podpisane, budżet

dopięty, zaliczki wpłacone. Nieco wcześniej, tego samego popołudnia, Trinity i Mimi ustalały palety barw oraz kartę menu w towarzystwie przedstawiciela firmy cateringowej i projektanta wnętrz. Wszystko działało jak w zegarku, chociaż patrząc na zachowanie Jacka, można było pomyśleć, że ten zegarek odmierza sekundy do zagłady.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał, spotykając się z Mimi następnego wieczora w gabinecie Trinity.

Ich „matka” - Mimi zawsze myślała o niej w cudzysłowie, ponieważ Trinity była w takim samym stopniu jej matką jak Jack jej bratem - poprosiła ich, żeby wstąpili do niej przed obiadem.

Zdradziła, że chce porozmawiać z nimi o czymś ważnym.

- Mam przeczucie — uśmiechnęła się Mimi.

Zmierzwiała włosy Jacka, a on objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zawsze okazywali sobie dużo czułości i nawet jeśli zdawała sobie sprawę z jego dwulicowości, nie potrafiła go

znienawidzić. Jack wprawdzie nie chciał odnawiać więzi tak wcześnie w tym cyklu, ale z drugiej strony nie zrobił też nic, aby terna zapobiec.

Może w romansie z Schuyler chodziło tylko o rozrywkę. Jack wykorzystywał ją jako przystawkę. Takie postępowanie Mimi mogła bez trudu zrozumieć. Sama miała nowego smakowitego familianta, a jej żarłoczny apetyt sprawił, że któregoś dnia ornat go nie zabiła.

Ale nic mu nie będzie - nic, czego odpoczynek i tydzień z dala od pewnej blond wampirzycy nie mogłyby wyleczyć.

Mimi rozejrzała się z aprobatą. Gabinet Trinity słynął z nie-; zrównanej, nieskazitelnej

wytworności. Na obitych pluszem ścianach wisiały naturalnej wielkości portrety

siedemnastowiecznej i osiemnastowiecznej arystokracji pędzla Elisabeth Vigee-Lebn i Franza

Winterhaltera. W kącie stał fortepian Erarda - ten sam na którym Chopin komponował swoje

etiudy. Boriheurs du jom czyli mały, elegancki sekretarzyk, przy którym Trinity pisała je

jedno zdaniowe podziękowania („Brawo! - było jej zwyczajowym komentarzem do zaproszenia na obiad do znajomych), oryginalnie został wykonany na zamówienie do pałacu Grand Trianon.

Mimi postanowiła, że kiedy odziedziczy rodzinną fortunę, a ona i Jack zakupią własną rezydencję, zatrudni tego samego projektanta wnętrz.

Kilka minut później weszła Trinity, niosąc dwie długie, hebanowe szkatuły, ozdobione

złotym filigranem. Zmysły Mimi wyostrzyły się, wspomnienia napłynęły i nagle wiedziała,

dlaczego tu są.

- Ale gdzie jest Charles? — zawołała. - Nie możemy tego zrobić bez niego, prawda?

- Namawiałam go, skarbie. Ale nie chce opuścić gabinetu. Jest... — Ramiona Trinity

zadrżały. Mimi rozumiała, że jej matka stosuje się ściśle do zasad etykiety. Niezależnie od

tego, jak bardzo zaniepokojona była stanem męża, nigdy nie pozwoliłaby sobie na

uzewnętrznienie tego lub okazanie, że jest wyczerpana. Była kobietą organicznie niezdolną do zrobienia awantury.

Pogorszenie się stanu Charlesa od czasu jego rezygnacji z pozycji w Radzie było czymś, o

czym Force'owie nigdy nie rozmawiali. Dziwiło ich to i martwiło, ale nic nie mogli w tej

kwestii zrobić. Zakładali, że Charles po prostu pewnego dnia się otrząśnie. W międzyczasie

koncernem i wszystkimi jego zasobami zajmował się niezwykle skuteczny zarząd, który

przestał się już dopytywać, czy prezes i założyciel raczy przybyć na następne zebranie.

- Wszystko w porządku - zapewnił siostrę Jack. Także i on wiedział, co się za chwilę stanie i

nie mógł ukryć ekscytacji w głosie. —Nie jest potrzebny.

- Jesteś pewien? - Mimi była rozczarowana. - Ale bez błogosławieństwa archanioła...

- Będą tak samo śmiertelnie skuteczne — uspokoił ją Jack. ~ Nic nie może zmienić ich mocy.

Ich siła płynie z nas samych.

- Spojrzał na Trinity. — Możemy zaczynać, matko?

Trinity w odpowiedzi skłoniła głowę.

- Będę zaszczycona, mogąc przeprowadzić rytuał. Cicho zamknęła drzwi i przygasiała górne

światło. Szkatuły

na stoliku otaczała miękka, mglista poświata.

-Jest mi przykro, że zbyt pochopnie oceniłam waszą decyzję o odnowieniu więzi jako

nierozważną. Nie miałam racji i proszę o wybaczenie.

Zapewne smuci mnie to, że sama nie

mogę już odnowić więzi z moim bliźniakiem.

Mimi знаła historię Trinity. Trinity była Sandalfonem, Aniołem Ciszy, a podczas bitwy w

Rzymie z rąk srebrnokrwistych poległ jej bliźniak.

Poślubiła Charlesa Force'a tylko w

rozumieniu czerwonokrwistych, kiedy jego bliźniaczka, Allegra, zerwała ich więź. Było to

małżeństwo z rozsądku, nic więcej. Trinity nadal opłakiwała śmierć anioła Sagiela.

Trinity otworzyła szkatuły. Wewnątrz spoczywały dwa miecze ukryte w ozdobionych

klejnotami pochwach. Miecze, które mieli nosić przy sobie podczas ceremonii odnowienia

więzi. Miecze, których od teraz mogli używać w walce z Croatanami.

Podniosła pierwszy miecz, nie wyjmując go z pochwy, i zwróciła się do Jacka.

- Przyklęknij, Abbadonie.

Jack wstał z miejsca i podszedł do Trinity. Przyklękł przed nią, skłaniając się nisko.

Trinity wzniosła miecz ponad jego głowę.

- Mocą udzieloną mi przez Niebiosy, ja, Sandalfon, nadaję ci wszelkie prawa i przywileje

przynależne prawowiernemu dzierży celowi Eversor Orbis.

Niszczyciel Światów.

Dotknęła mieczem prawego, a następnie lewego ramienia Jacka.

- Powstań, Abbadonie z Mroku.

Jack podniósł się z ponurym uśmiechem i przyjął miecz.

Trinity uśmiechnęła się z dumą i

spojrzała na Mimi.

- Przyklęknij, Azraelu.

Wypełnienie polecenia zajęło Mimi chwilę z powodu wysokich obcasów. Trinity ujęła drugi miecz i także uniosła nad jej głową.

- Mocą udzieloną mi przez Niebiosą, ja, Sandalfon, nadaję ci wszelkie prawa i przywileje przynależne prawowiernemu dzierżycielowi Eversor Lumen.

Niszczyciel Światła.

Mimi poczuła lekkie dotknięcie miecza na ramionach. A potem wstała z szerokim uśmiechem. Spojrzała na Jacka, który skinął głową. Bliźnięta obnażyły miecze i podniosły je wysoko, kierując ostrza ku górze.

- Przyjmujemy te miecze jako nasze boskie dziedzictwo. Wykute w Niebiosach, rzucone na Ziemię, będą nam towarzyszyć w drodze do odkupienia. Trinity dołączyła do ich modlitwy za miecze.

- Zostaną użyte tylko w najwyższej potrzebie.

- Nie trafią w ręce wrogów.

- Będą uderzać, aby zadać śmierć.

Chociaż przez stulecia powierzano im miecze przed każdym odnowieniem więzi, od dawna nie było potrzeby dobywania ich. Srebrnokrwieści zostali zniszczeni, a przynajmniej w to wierzone.

Mimi z zachwytem patrzyła na lśniąca broń spoczywającą w jej ręku. Pamiętała jej ciężar i ostrość klingi. Pamiętała przerażenie, jakie niegdyś siała w sercach wrogów.

Zauważyła, że Abbadon trzyma swój miecz delikatnie, z miłością. Miecz stanowi przedłużenie duszy, jest niepowtarzalny, nie można go niczym zastąpić ani o nim zapomnieć.

Miecze wampirów mogły zmieniać kształt, barwę i rozmiar. W razie potrzeby] mogły być wielkie jak topory lub wąskie jak igła.

Podczas ceremonii odnowienia więzi będzie nosiła miecz u boku, pod jedwabnymi halkami, podtrzymującymi jej suknię.

Trinity z powrotem zapaliła wszystkie światła.

— No dobrze - skinęła głową, jakby skończyli jakąś banalną rozmowę, a nie uczestniczyli w

czymś cudownym, co miało zmienić ich życie. W popołudniowym świetle, przy dźwięku przejeżdżających aleją taksówek i metalicznych zgrzytach faksu (Trinity otrzymywała właśnie kolejną kopię wycinka prasowego, w którym była o niej mowa) trudno było sobie wyobrazić świat pełen prymitywnego, ukrytego zagrożenia. Jak można pogodzić świat wiadomości błyskawicznych i dwudziestoczterogodzinnych kanałów informacyjnych ze światem stali i krwi?

Ale to właśnie robiła ich rasa: ewoluowała, adaptowała się, potrafiła przetrwać.

— Super, nie? - zapytał Jack, kiedy wyszli z gabinetu matki i mieli wrócić do swoich zajęć.

— Pewnie — skinęła głową Mimi, wkładając hebanową szkatułę pod pachę. Pobiegnęła do swojego pokoju i wepchnęła ją na dno szafy, za rzędy butów.

Była już spóźniona na pilates. Jeśli miała stać się najpiękniejszą panną młodą, jaką

kiedykolwiek widziało Zgromadzenie, musiała natychmiast ruszyć tyłek i pojawić się na zajęciach. Ramiona same się nie ukształtują.

DWADZIEŚCIA DWA

Transitions Residential Treatment Center mieściło się na rozległym kampusie, położonym na północy sta-nu Nowy Jork. Oliver zaofiarował się, że zawiezie tam Schuyler i Bliss, ponieważ właśnie dostał prawo jazdy i wystrzałowego Mercedesa G500 do kompletu.

Kanciasty, robiony na zamówienie srebrny SUV stanowił jego najnowszy powód do dumy.

Schuyler była szczęśliwa, myśląc o wyprawie. Czuła się winna temu, co stało się z Dylanem.

Zaniedbali go, nie zawiadamiając Rady o stanie, w jakim się znajduje, tak szybko, jak to było możliwe. Pozostawało mieć nadzieję, że Starsi wiedzą, co powinni zrobić. Ojciec zapewnił

Bliss, że Dylan jest całkowicie bezpieczny i zostanie poddany najlepszemu leczeniu, jakie

tylko istnieje. Ale chciała, jak cała ich trójka, przekonać się o tym na własne oczy.

Schuyler zauważyła, że skulona na tylnym siedzeniu Bliss wydawała się na zmianę albo przybita, albo przesadnie radosna.

Kiedy wyjeżdżali, siedziała przygnębiona i milcząca, prawdopodobnie martwiąc się o Dylana

i o to, w jakim stanie zastanie przyjaciela. Schuyler ucieszyła się, kiedy w połowie jazdy

przez miasto Bliss rozpogodziła się i zaczęła energicznie paplać pochylona nad GPS-em.

— M&M's z orzeszkami? - zaproponowała Bliss, podsuwając im wielką, otwartą żółtą torbę.

— Ja dziękuję. — Oliver nie spuszczał oczu z drogi.

— Proszę — zgodziła się Schuyler. Zabawne, że Komitet ni mógł przewidzieć wszystkiego:

nawet stając się wampirami, zachowywali apetyt na słodkie.

Było miło wyrwać się z Duchesne choćby na jeden dzień Wszyscy (przynajmniej

błękitnokrwieści) w szkole znali już wszelkie szczegóły dotyczące zbliżającej się ceremonii

odnowienia więzi Jacka i Mimi i nie mogli przestać o tym rozmawiać. Pozostali sądzili, że znowu nie zostali zaproszeni na niesamowitą imprezę, wyprawianą przez Force'ow - i na swój sposób mieli rację. Schuyler robiło się niedobrze od wysłuchiwania zachwyków na temat sukienki Mimi i tego, jak obecna ceremonia wypada inaczej od wcześniejszych, organizowanych w poprzednich wcieleniach tej dwójki. Pipi Crandall bezustannie przypominała wszystkim, że już trzykrotnie była druhną Mimi. Myśl o tym, jak niesamowicie długi czas przeżyli razem Jack i Mimi, przygnębiała. Schuyler nie bardzo mogła w to uwierzyć, a w tej chwili starała się o tym nie myśleć, zajmując się wciskaniem kolejnych guzików w lśniącym nowością komputerze pokładowym.

— Rany, to jest chyba najbardziej odjechany wóz bojowy na świecie! Patrz, tutaj można odpalić M-15 - zazartowała.

— Uważaj, tym czerwonym guzikiem możesz zniszczyć świat - odparł natychmiast Oliver, zgodnie z instrukcjami GPS-a przejeżdżając przez most Jerzego Waszyngtona. Ruch na autostradzie był niewielki.

Po raz pierwszy w tym semestrze zrywali się ze szkoły. Uczniowie Duchesne mogli sobie na to pozwolić kilka razy w roku - szkoła była do tego stopnia postępową, że nawet bunt młodzieńczy został uwzględniony i wpisany w tok nauczania. Niektórzy, tak jak Mimi Force, wykorzystywali ten przywilej do granic możliwości, ale większość uczniów nigdy z niego nie korzystała. Szkoła była pełna starających się ponad siły kujonów, którzy woleli zostać po lekcjach, niż stracić szansę dostania się na prestiżowy uniwersytet. Liczył się każdy dzień.

— Wiecie, że mogę zawalić średnią? — narzekał Oliver, oglądając się przez ramię przed zmianą pasa i wyprzedzając hondę wlokącą się wolniej, niż pozwalało ograniczenie prędkości.

— Wyluzuj, dobra? — skarciła go Schuyler. ~ Wszyscy czwartoklasiści się obijają, od kiedy już zostali przyjęci na uczelnie.

Oliver czasem naprawdę umiał popsuć zabawę. Zawsze zgodnie z zasadami. Był koszmarnym kujonem, jeśli chodziło o przedmioty akademickie.

— Właśnie, chyba masz zagwarantowany Harvard? — zapytała Bliss.

— Dziwnie jest myśleć o college'u, nie? — zastanowiła się Schuyler.

- Prawda? Zanim się dowiedzieliśmy o Komitecie, myślałam, że może pójdę do Vassar, wiecie? Ze specjalizacją w historii sztuki albo coś w tym rodzaju - powiedziała Bliss. - Jakoś tak fajnie by było uczyć się o sztuce renesansu północnego, a potem pracować w muzeum albo w galerii.

- Jak to „fajnie by było”? - nie zrozumiała Schuyler.

- Właśnie, uważasz, że to już niemożliwe? — dodał Olivier zmieniając stacje radiowe. Amy

Winehouse śpiewała o tym, jak bardzo nie chce iść na odwyk („No! No! No! No!"). Schuyler

spojrzała na Olivera i oboje się uśmiechnęli.

- Wiecie, to nie jest zabawne. Wyłącz radio albo zmień stację - upomniała go Bliss. - Sama

nie wiem, jakoś wydaje mi się, że nie pójdę do college'u. Czasem mam wrażenie, że nie mam

w ogóle żadnej przyszłości — dodała, bawiąc się naszymi.

- Dajże spokój - Schuyler odwróciła się do Bliss, żeby rozmawiać z nią twarzą w twarz,

podczas gdy Oliver szukał czegoś odpowiedniejszego w satelitarnym radiu. - Jasne, że

pójdziecie do college'u. Jak my wszyscy.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? - w głosie Bliss zabrzmiała nadzieja.

—Jasne.

Rozmowa urwała się po kilku minutach, a Bliss zapadła w drzemkę. Na przednim siedzeniu

Oliver pozwolił Schuyler pobawić się w DJ-a i wybrać muzykę.

- Podoba ci się? - zapytał, kiedy ustawiła stację, w której grano piosenkę Rufusa

Wainwrighta.

- A tobie nie? - odpowiedziała pytaniem, czując, że złapana na gorącym uczynku. Właśnie tej piosenki ona i Jack zawsze słuchali. Myślała, że ujdzie jej na sucho puszczenie tego kawałka

w samochodzie. Oliver zawsze był trochę sentymentalny. Lubiła się z nim drażnić, mówiąc, że jego upodobania muzyczne skłaniają się ku piosenkom dla samobójców.

- Myślisz, że powinna, nie? Ale nie podoba mi się.

- Czemu?

Oliver wzruszył ramionami, patrząc na nią kątem oka.

- Jest jakaś... zbyt płaczliwa, czy coś w tym stylu.

- Płaczliwa? - powtórzyła Schuyler. Wzruszył ponownie ramionami.

- Nie wiem, tak mi się jakoś wydaje, że miłość nie powinna być... smętna, nie? Znaczący, jeśli wszystko się układa, nie powinno być tak rozpaczliwie.

- Aha - odparła Schuyler, zastanawiając się, czy nie poszukać innej muzyki. Kiedy słuchała

piosenki przypominającej jej o innym chłopaku, czuła się niemal jak zdrajczynie. - Jesteś

kompletnie nieromantyczny.

- Wcale nie.

- Ale nigdy się nawet nie zakochałeś.

- Nieprawda.

Schuyler nie zareagowała. W ostatnich miesiącach dwa razy przeprowadzili ceremonia

osculator. Wiedziała, że powinna znaleźć innych familiantów - wampiry zwykle mają do

dyspozycji kilku, aby nie wykorzystywać ich nadmiernie - ale potrafiła funkcjonować bez

pożywienia dłużej, niż przypuszczała. Wolą nie szukać innych ludzi, niepewna, czy Oliver

to zaaprobuje.

Ale teraz nie chciała myśleć o ich związku — przyjaźni — czy jakkolwiek go nazwać. Po

gwałtownym wybuchu Olivera inny temat więcej nie wypłynął. Starła się rozluźnić napiętą

atmosferę w samochodzie.

- Założę się, że nie potrafisz wymieniwać ani jednego romansu, który ci się podobał - zakpiła.

Była z siebie bardzo zadowolona, kiedy kilka minut później i Oliver wciąż nie był w stanie podać tytułu romantycznego filmu, który wspominałby z przyjemnością.

- Imperium kontratakuje — oznajmił w końcu Oliver, trąbiąc na Toyotę Prius, która przejechała ciągłą linię.

- Imperium kontratakuje! Znaczący, Gwiezdne wojny? To nie romans! - prychnęła Schuyler, bawiąc się pokrętlami klimatyzacji.

- Wręcz przeciwnie, moja droga, to bardzo romantyczny film. Pamiętasz tę scenę, kiedy mają wsadzić Hanę do komory kriogenicznej, czy co to tam było?

Schuyler przytaknęła.

- A Leia mówi mu „Kocham cię”.

- To jest oklepane, a nie romantyczne - sprzeciwiła się Schuyler, chociaż lubiła ten moment.

- Daj mi skończyć. Romantyczne jest to, co Han jej odpowiada. Pamiętasz, co powiedział?

Kiedy ona powiedziała „Kocham cię”?

Schuyler uśmiechnęła się. Może Oliver miał rację.

- Han powiedział: „Wiem”.

- Właśnie - Oliver postukał kierownicę. - Nie musiał mówić niczego tak trywialnego jak

„kocham cię”, bo to było oczywiste. I to właśnie jest romantyczne.

Tym razem Schuyler musiała mu przyznać rację.

by Hazaja

www.chomikuj.pl/Hazaja

DWADZIEŚCIA TRZY

Kiedy Bliss zbudziła się z drzemki, Oliver i Schuyler kłócili się zawzięcie.

- O co wam znowu poszło? - zapytała, przecierając oczy.

- O nic — odparli chórem.

Bliss nie drażyła przyczyn ich małomówności. Ta dwójka zawsze miała przed nią sekrety,

nawet jeśli nie robili tego specjalnie.

- No dobra, możemy się zatrzymać na lunch - powiedziała w końcu Schuyler. A więc o to

chodziło. Oni potrafili się kłócić o wszystko.
Pogorszyło się, od kiedy Oliver został
famiłiantem Schuyler — w jeszcze większym stopniu
niż dawniej zachowywali się jak stare
małżeństwo. Przed światem udawali, że ich przyjaźń nie
uległa zmianie. To akurat
odpowiadało Bliss - nie wiedziała, czy udałoby jej się
przetrwać jakieś publiczne sceny w ich
wykonaniu.

- Mówiłem tylko, że Dylanowi nic nie przyjdzie z tego,
że przyjedziemy do niego głodni -
wzruszył ramionami Oliver.

Zjechali na parking, dołączając do zdrożonych
podróżnych przy automatach z napojami i w
barze szybkiej obsługi.

Oliver zauważył, że najnowszą modą wśród
dorastającym miejskich dzieciaków było
uzależnienie od położonych na przedmieściach sieci
fastfoodowych. Chociaż żadne z nich nie

pij stąpiłoby progu McDonald's na Manhattanie - takie
miejsca były praktycznie

improvizowanymi schroniskami dla bezdomnych - po przejechaniu granic miasta zasady się zmieniały. |H kogo nie obchodziły już drogie kanapki z panini, z wartościową, ekologiczną sałatą. Przynieście superwielkie porcje!

— Rany, niedobrze mi — powiedziała Bliss, dopijając koktajl mleczny.

— Chyba zaraz zwymiotuję - oznajmił Oliver, zgniatając papier po tłustym hamburgerze i wycierając ręce w serwetki.

— Fajnie się to wszystko je. Ale potem... — zgodziła się Schuyler, chociaż jeszcze skubała swoje frytki.

— Potem czujesz, że zaraz puścisz pawia. I że twój cholesterol przebija sufit — skrzywiła się Bliss.

W milczeniu wgramolili się z powrotem do samochodu, czując senność po obfitym posiłku.

Pół godziny później GPS wywietlił „ZJAZD NA PRAWO ZA 500 METRÓW” i Oliver

kierując się znakami, skręcił na zjazd z autostrady, który doproś wadził ich do parkingu.

Dotarli na miejsce.

Na terenie ośrodka rehabilitacyjnego panował idealny porządek. To miejsce przypominało

raczej pięciogwiazdkowy kurort, w którym gwiazdy chronią się po przebalowanym weekendzie,

niż kosztowny ośrodek terapeutyczny dla zbłąkanych wampirów. Zobaczyli grupę

ćwiczącą tai chi na trawniku, kilaka osób praktykujących jogę i grupki siedzące w kręgach na trawie.

— Terapia grupowa - szepnęła Bliss, kiedy szli do drzwi frontowych głównego budynku. —

Pytałam Honor, jak tu jest, mówiła, że spora część terapii polega na regresji do poprzednich wcieleń.

W drzwiach powitała ich szczupła, opalona kobieta w białym T-shircie i białych spodniach.

Wyglądała bardziej modnie niż szpitalnie - jakby pochodziła ze Świątyni New Age.

— Czym mogę służyć? — zapytała uprzejmie.

— Chcieliśmy odwiedzić przyjaciela — Bliss odpowiedziała za nich wszystkich.

—Nazwisko? -DylanWard.

Recepcjonistka zajrzała do komputera i skinęła głową.

— Czy macie pozwolenie senatora na odwiedziny?

— Ja, no... jestem jego córką - odparła Bliss, pokazując swoje dokumenty.

— Świetnie. Wasz przyjaciel mieszka na terenie północnego kampusu, w prywatnym domku.

Jak wyjdziecie na zewnątrz, zobaczycie znaki. —

Wręczyła im plakietki przeznaczone dla

gości. - Odwiedziny kończą się o szesnastej. W głównym budynku jest kawiarnia. Mamy

dzień kuchni międzynarodowej, chyba dzisiaj jest wietnamska. Lubicie zupę pho?

- Jedliśmy obiad - odparł Oliver, a Bliss pomyślała, że do strzegą cień uśmiechu. - Ale

dziękujemy za zaproszenie.

- Całkiem tu miło - oceniła Schuyler, kiedy szli przez zielony park.

- Komitet odwalił dobrą robotę, trzeba im to przyznać. Wszystko, co najlepsze, dla wampirów

- skinął głową Oliver wkładając ciemne okulary.

Bliss nie mogła uwierzyć, widząc spokojny i dobrze zorganizowany ośrodek. To tutaj

umieszczano sprawiających problemy błękitnokrwistych? Może popełniła błąd, ukrywając

Dylana tak długo. Poczwała, że zaczyna ją opuszczać napięcie, zastępowane stopniowo przez

coraz większą dozę optymizmu. Niektórzy pacjenci machali do nich, kiedy przechodzili obok.

Pokój Dylana mieścił się w jednym z najładniejszych domków, z białym parkanem i krzakami

róż pod oknami. W przedpokoju siedziała pielęgniarka.

- Teraz śpi. Ale zobaczę, czy chce widzieć gości - powiedziała. Zniknęła w głównym pokoju i

usłyszeli, że mówi coś do Dylana cichym, łagodnym głosem.

- Możecie wejść - uśmiechnęła się po chwili pielęgniarka, zapraszając ich gestem do środka.

Bliss odetchnęła głęboko, uświadamiając sobie, że cały czas wstrzymywała oddech. Dylan

wyglądał zdecydowanie lepiej. Siedział na łóżku, miał zaróżowione policzki i nie był już taki

chudy i wynędzniały. Czarne włosy przycięto, aby luźne kosmyki nie spadały mu na twarz,

był też starannie ogolony. Wyglądał prawie jak dawniej, jak chłopak, który udawał, że

gra na wyimaginowanej gitarze w kaplicy, żeby .denerwować

-Dylan! Dzięki Bogu! - zawołała. Była szkliwa, że wid, go w o tyle lepszym stanie.

Uśmiechnął się do niej życzliwie.

- Czy my się znamy? - zapytał.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Przeszłość może czasem sprawić, że nie będziemy zauważać, co dzieje się wokół nas -

rozpoczął wykład

Dowódca Straży. - Dlatego właśnie tak długo nie wierzyliśmy w istnienie srebrnokrwistych.

Ponieważ nasza przeszłość mówiła, że nie stanowią już zagrożenia. Ponieważ przeszłość

uczyniła nas ślepyi na ich istnienie. Zapomnieliśmy, jak wyglądały najdawniejsze karty

naszej historii. Zapomnieliśmy o Wielkiej Wojnie. O naszych wrogach. Staliśmy się słabi i

syci. Objadaliśmy się krwią czerwonokrwistych, tyjąc, gnuśniejąc i głupiejąc.

Świetnie to brzmi w ustach kogoś, komu zaraz trzasną guziki od kamizelki, pomyślała

Schuyler. Nadszedł kolejny poniedziałek i kolejne zebranie Komitetu. W dodatku nieciekawe,

bo dzisiaj nie mieli ćwiczyć mutatio.

Siedzący obok niej Bliss i Oliver wyglądali na równie znudzonych. Odwiedziny w ośrodku

bardzo ich poruszyły - szczególnie Bliss. Schuyler nie wiedziała, czego się spodziewać, ale z

pewnością nie oczekiwała, że zostanie Dylana z całkowici wymazanymi wspomnieniami i

osobowością.

Jasne, Dylan nie sprawiał wrażenia kogoś, kto zaraz spróbuje ich znokautować siłą woli albo

też nazwie sługami Szatana, ale nie był też w najmniejszym stopniu sobą. Wydawało się, że

przemienił się w całkowicie inną osobę. Był przyjacielski, życzliwy i kompletnie nieciekawym.

Kie znaleźli żadnego z zajmujących się nim lekarzy, wij nikt nie mógł odpowiedzieć na ich

pytania. Pielęgniarka po-1 wiedziała tylko, że o ile może stwierdzić, z Dylanem wszystkim jest „w porządku”. Sumiennie uczęszczał na kolejne sesje terapeutyczne i czynił „postępy”.

Schuyler wiedziała, że Bliss obwinia o wszystko siebie, U niewiele mogła zrobić. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak naprawić to, co stało się z Dylanem. Próbowwała w miarę możliwości pocieszać Bliss. Wiedziała, jak okropnie by się czuła, gdyby Jack znalazł się w podobnym stanie. Gdyby patrzył na nią, jakby w ogóle jej nie znał. A przecież dokładnie to się stanie, kiedy odnowi więź z Mimi. Całkowicie zapomni o Schuyler, zapomni, ile dla siebie znaczyli.

Schuyler spróbowała skoncentrować się na słowach Strażniczka Oelricha. Mówił o ważnych sprawach, ale nie miała do nich w tym momencie głowy. Tuż przed nią siedziały bliźniaki Force. Widziała, jak weszli razem do sali i czuła się dotknięta, słysząc, że Jack śmieje się z czegoś, o czym opowiadała jego siostra.

Oczywiście musiał przecież udawać. W rezydencji Force'ów panowała atmosfera

gorączkowych przygotowań, każdego dnia

napływały nowe pakunki, a telefony się urywały.

Zajmująca się planowaniem ceremonii

Lizbet Tilton przybyła z całym zastępem fotografów, stylistów, florystów i „artystów audioprzestrzennych”

(jak nazwała DJ-ów, którzy o drugiej nad ranem mieli przejąć pałeczkę od

zamówionej orkiestry), których Mimi musiała przecież zaaprobować.

Schuyler czuła się gorzej już od samego słuchania o tej imprezie. Nie tylko dlatego, że

rzeczona impreza miała na zawsze odebrać jej Jacka, ale też dlatego, że Mimi zachowywała

się tak, jakby nikt nigdy wcześniej w historii nie przeprowadzał odnowienia więzi. Zbliżająca

się ceremonia miała też swoje zalety - Mimi była do tego stopnia zajęta > że drobne kradzieże i

złośliwe kawały, jakimi dręczyła Schuyler, nareszcie ustały.

Czasem Schuyler tęskniła za Jackiem tak bardzo, że czuła w środku tępy ból i miała wrażenie, iż nic nie zdoła go zagłuszyć. Żałowała, że Jack musi ukrywać swoje uczucia. Powtarzała sobie, że to tylko gra, ale czasem jego obojętność sprawiała wrażenie na tyle rzeczywistej, że trudno jej było pocieszyć się myślami o ich sekretnych spotkaniach. Momentami sądziła, że jej wspomnienia są tylko grą wyobraźni, szczególnie kiedy mijała go na korytarzu w szkole, albo kiedy niemal nie dostrzegał jej istnienia we własnym domu...

Aż do czasu, kiedy pojawiała się kolejna książka, wsunięta pod jej drzwi, znak, że mogą się bezpiecznie spotkać. Ostatnio był to cienki tomik poezji. John Donne. Tego wieczora śmiała się i żartowała z jego staroświeckich gustów. Zapytał ją, jaki rodzaj poezji lubi, a ona mu powiedziała.

Przy mównicy Edmund Oelrich kontynuował wykład.

—Jedną ze sztuczek Croatanów jest wykorzystywanie iluzji do manipulowania wrogami. Nie

możecie ulegać złudzeniom! Powinniście wykorzystać wewnętrzny wzrok, aby zobaczyć co naprawdę znajduje się przed wami. Wykorzystujcie anime dverto i wasze wspomnienia, aby podejmować całkowicie świadome decyzje.

Poprosił Mimi, żeby rozdała wydruki z zadaną na ten tydzień lekturą. Mimi prześlizgnęła się po sali, rozdając spięte kartki. Przechodząc obok stołu Schuyler celowo zrzuciła wszystkie jej książki na podłogę.

— Ups! — powiedziała nieszczercze.

Schuyler zmarszczyła brwi i pozbierała książki. Miała Mimi dość na resztę wieczności.

Zastanawiała się, jak inne wampiry to wytrzymują. Wolałaby chyba zostać pożarta przez srebrno-krwistych, niż spędzać swoje dalsze życia na użeraniu się z tą wiedźmą.

Nadal rozzłoszczona przejrzała zadany tekst. Nagle jej oczy się : rozszerzyły. U góry strony odczytała: Historia więzi wampirów.

Kilkoro obecnych parsknęło z podniecenia i zażenowania, a sama Schuyler poczuła, że się

rumieni. Zauważyła, że Oliver z namysłem kartkuje dokument, podczas gdy Bliss smaruje coś na marginesach.

Dowódca Straży odchrząknął i ponownie zwrócił się do zgromadzonych.

— Dzisiaj chciałem wam opowiedzieć o wampirzych bliźniętach. W waszym wieku jest to niezwykle interesujący temat,

dlatego pomyślałem, że na koniec spotkania przyda się ciekawszy akcent. Wiecie, czym jest

wież. Każde z nas ma bliźniaczą duszę, z którą jest związane od czasów niebiańskich. Przez

wieki spędzaliśmy każdy cykl na poszukiwaniu naszego bliźniaka, abyśmy mogli odnowić

wież po raz kolejny w nowym życiu.

Słuchająca jego słów Schuyler była blada jak ściana.

— Czasem trudno jest rozpoznać naszą bliźniaczą duszę w nowej fizycznej powłoce. Czasem,

w rzadkich przypadkach, bliźnięta rozmijają się w kolejnych cyklach i gubią w czasie. Istnieją

legendy o kochankach poszukujących się bezskutecznie przez wieki, nigdy nieznajdujących

swojego bliźniaka.

Mimi zaczęła masować kark Jacka.

—Jednakże podobne przypadki zdarzają się niezwykle rzadko. Ponieważ w każdym cyklu są

nas tylko cztery setki, nietrudno jest się odnaleźć. Temu radosnemu wydarzeniu towarzyszą

zazwyczaj krótkie zaloty i oficjalna prezentacja na Balu Czterystu. Więź musi zostać

odnowiona w każdym cyklu. Odnowa więzi odnawia zarazem siłę życiową płynącą w

naszych żyłach. To jedna z tajemnic ducha. Ale możliwe, że właśnie z naszej więzi wywodzą

się wszystkie legendy o prawdziwej miłości na tym świecie.

Czerwonokrwieści używają własnego określenia:

„bratnia dusza”. Przejęli wiele z naszych

tradycji i praktyk. Ich ślubne obrzędy wywodzą się bezpośrednio z wampirzych ceremonii.

Znalezienie swojego bliźniaka jest bez wątpienia najszczęśliwszą i najbardziej owocną

częścią cyklu. Wiem, że niektórzy z was już się odnaleźli i chciałbym wam pogratulować.

Więź jest nieodłączną częścią naszego życia. Daje nam energię życiową i siłę. Bez naszego bliźniaka jesteśmy niekompletni, jesteśmy tylko połową siebie. Tylko odnajdując bliźniaczą duszę i odnawiając z nią więź, możemy całkowicie zapanować nad naszymi i wspomnieniami i w pełni wykorzystać nasz potencjał.

Schuyler nie musiała już niczego więcej słyszeć ani czytać. Popatrzyła na Mimi i Jacka.

Zobaczyła, jak światło igra w ich jasnych, platynowych włosach, jak piękni, nieruchomi i odlegli się wydają, siedząc razem. Teraz rozumiała, do jakiego stopnia uzupełniają się i równoważą pod każdym względem: gadatliwość Mimi łagodzona pięknym sposobem wysławiania się Jacka, jej agresja kontrolowana jego opanowaniem. Stanowili połówki jednej całości. Dobraną parę. Schuyler czuła instynktownie, że jakaś część Jacka pozostaje dla niej zamknięta, zawsze dostrzegała w nim odmienność, do której nie mogła sięgnąć.

Wiedziała, że bliźniacze dusze rzadko rodzą się w jednej rodzinie w danym cyklu, ale też podobne zjawisko się zdarzało! Dawniej, kiedy faraonowie i cesarze poślubiali zwyczajowo swoje siostry, problem odnowienia więzi pomiędzy rodzeństwem] praktycznie nie istniał.

Na wypadek gdyby podobna sytuacja wydarzyła się współcześnie, istniało zakłęcie sprawiające, że czerwonokrwisci nie zauważą niczego niezwykłego. Po odnowieniu więzi

Mimi Force pozostanie Mimi Force — czerwonokrwisci uznają po prostu że nosi to nazwisko, ponieważ jest żoną Jacka, a nie jego siostrą! Wspomnienia łatwo było zmienić, a prawdę nagiąć.

Widziała, że Jack patrzy na Mimi z czułością. A Mimi po prostu promieniała.

W tym momencie Schuyler ogarnął głęboki, bolesny smutek. Nie pozostawała żadna nadzieja, że kiedykolwiek będzie miała szansę na prawdziwe, trwałe szczęście u boku Jacka.

Musi być jakiś sposób, pomyślała rozpaczliwie. Musi być jakiś sposób, żeby zerwać więź i móc swobodnie kochać, kogo tylko się chce.

Istnieje.

Podskoczyła. Przez moment miała wrażenie, że w jej głowie rozległ się głos Jacka. Nie

usłyszała go ponownie, ale wiedziała, że to nie było złudzenie. To nie była jej wyobraźnia.

Nagle poczuła się lżej, zaczęła z większym optymizmem patrzeć na świat. Musiała istnieć dla nich jakaś nadzieja.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Bliss nigdy nie rozumiała zauroczenia Schuyler Jackiem Force'em i miała nadzieję, że jej

przyjaciółka kiedyś da sobie spokój z tym facetem. Z ich związku nie mogło wyniknąć nic

dobrego. Mimo że Bliss należała do najmłodszych członków Komitetu i dopiero zaczynała

akceptować zasady rządzące ich rodzajem, zawsze wiedziała jedno. Nie należy majstrować

przy więzi. Więź to poważna sprawa. Nic i nigdy nie zdoła rozdzielić Jacka i Mimi, nic nie

ma prawa wejść pomiędzy nich. Nie można było nawet myśleć, że mogłoby stać się inaczej.

Bliss uważała, że Schuyler traktuje całą sprawę zbyt lekko, co było o tyle dziwne, że jej

własna matka jako pierwsza z ich rasy zerwała więź i musiała żyć (o ile można to nazwać

życiem), ponosząc konsekwencje swojej decyzji. Cóż, jak to się mówi, miłość jest ślepa.

Ale po wykładzie nie powiedziała „a nie mówiłam”.

Bliss nie była taką złą przyjaciółką. W

milczeniu wyszły z zebrania Komitetu. Oliver szybko przeprosił i ewakuował się tuż przed

kończeniem spotkania, natomiast Schuyler w drodze do cionyl była Tańcząca, i nachmurzona.

Bliss nie pytała, czy dalej widuje się z Jackiem w tamtym apartamencie. Pewnego dnia, kilku

miesiący temu, Schuyler zdradziła jej swój sekret, opowiadając o wsuniętym pod drzwi

kluczu znalezionym w kopercie z adresem. Następnego dnia, kiedy Schuyler przyszła do

szkoły zarumieniona i rozmarzona, Bliss umiała dodać dwa do dwóch.

Uważała, że to wszystko wina Jacka Force'a. Powinien być mądrzejszy. Miał przecież dostęp do wiedzy przeszłych wcieleń podczas gdy Schuyler była nową duszą, tak naprawdę równie krótkowzroczną i głupią jak czerwono krwiści. Powinien zostawić ją w spokoju.

Bliss z zaskoczeniem odkryła, że oboje jej rodzice są już w domu. BobiAnne zazwyczaj

chodziła o tej porze na zabiegła antycellulitowe, a Forsyth w tym tygodniu powinien

przebywać w Waszyngtonie. Odłożyła klucze na srebrną tacę w przedpokoju i poszła dalej

korytarzem, przyciągana przez odgłosy kłótni.

Bliss miała wrażenie, że Forsyth i BobiAnne krzyczą na siebie, ale szybko zorientowała się,

że to złudzenie wywołane nad-wrażliwym wampirzym słuchem. Tak naprawdę jej rodzice

rozmawiali szeptem,

- Jesteś pewien, że zastosowałeś odpowiednie zabezpieczenia. - W głosie macochy dawał się

wyczuć niepokój. Bliss nigdy nie słyszała jej tak wytrąconej z równowagi.

- Na pewno.
- Mówiłam, żebyś to zabrał.
- A ja ci mówiłem, że taki krok nie byłby rozsądny - warknął Forsyth.
- Ale kto mógłby to wziąć? Kto w ogóle wie, że to mamy? Em się nawet nie zorientował, że zaginęło...

Rozległ się głuchy śmiech.

- Masz rację, on jest już wrakiem. Jest skończony. Całymi pniami szłocha i ślęczy nad starymi zdjęciami albo słucha stałych taśm. Trinity wychodzi z siebie. To żałosne. Nie ma mowy, żeby się zorientował.
- Więc kto?
- Wiesz, co podejrzewam.
- Ale to jeszcze dziecko.
- To nie tylko dziecko. Wiesz o tym.
- Ale jesteś pewien?
- Nie, nie mamy pewności.
- Chyba że...

Głosy przycichły, a Bliss na palcach przemknęła wielkimi schodami do swojego pokoju.

Zastanawiała się, o czym rozmawiali. Zupełnie jakby coś im zginęło. Jej myśli pobiegły do naszyjnika, który nosiła. Nigdy nie oddała go ojcu po Balu Czterystu, ale też on nigdy nie poprosił o jego zwrot. Nie mogło chodzić o naszyjnik, ponieważ BobiAnne kilka dni temu widziała go na jej szyi i chwaliła, że doskonale pasuje do zieleni oczu.

W pokoju odłożyła rzeczy i sięgnęła po telefon. Od czasu tamtej wizyty Dylan bezustannie zaprzętał jej myśli. Nie mogła uwierzyć, że nawet jej nie pamiętał. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, kiedy go sobie przypominała. Zdjęła ubranie, które nosiła w szkole, przebierając się w wygodniejsze ciuchy, Zakradła się do kuchni, zastając Jordan odrabiającą lekcje przy kuchennym blacie.

- Co się dzieje? — Jordan spojrzała na nią znad książek. Smarkula miała wyłącznie najlepsze

stopnie - coś, czego Bliss nie była w stanie osiągnąć do czasu, aż przebudziła się w niej wampirza krew.

- Nic takiego - potrząsnęła głową Bliss.

- Chodzi o tego chłopaka, nie? Twojego przyjaciela? — zapytała Jordan.

Bliss westchnęła i skinęła głową.

Z ulgą przyjęła fakt, że siostra nie drążyła tematu.

Zamiast tego Jordan złamała na pół

tabliczkę czekolady Toblerone. To były jej ulubione słodczyce, które ukrywała w swoim

pokoju, ponieważ BobiAnne bezustannie wygłaszała kazania na temat jej wagi.

- Dzięki, - Bliss odgryzła kawałek. Słodka, wyborna czekolada rozpływała się w ustach. Bliss

była wzruszona. Siostrzyczka próbowała poprawić jej nastrój w jedyny znany sobie sposób. -

Pomóc ci w czymś? - spytała, żeby pokazać, że docenia gest i troskę.

- Nie bardzo - potrząsnęła głową Jordan. - I tak jesteś beznadziejna z matmy.

- A, to fakt — roześmiała się Bliss. Włączyła pilotem wiszący nad blatem telewizor

plazmowy. - Nie będę ci przeszkadzać? - spytała, skacząc po kanałach.

-Nie.

Bliss dojadła czekoladę i oglądała telewizję, podczas gdy Jordan pracowała nad zadaniami z

matematyki. Kiedy Forsyth BobiAnne parę godzin później weszli do kuchni, żeby zebrać

rodzinę na obiad, zastali obie siostry siedzące obok siebie w milczeniu.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Nieoczekiwanie zwołano nadzwyczajne zebranie Rady, a po jego zakończeniu Mimi z

zaskoczeniem zauważyła Bliss czekającą pod drzwiami.

- Co tu robisz? - zapytała, zarzucając na ramię torbę sportową. Wezwanie do Force To wers

złapało ją w trakcie dwugodzinnego treningu i nie miała czasu, żeby się przebrać w coś

bardziej reprezentacyjnego. Włosy kleiły jej się do spoconego czoła.

- Forsyth odebrał mnie ze szkoły, a kiedy przyszła wiadomość, przyjechaliśmy tu razem -

wyjaśniła Bliss. - Co się dzieje?

- Tata ci nie mówił? - zawahała się Mimi, wycierając wilgotne policzki frotową opaską.

- Coś ze złotym mieczem? — zapytała Bliss.

Mimi wzruszyła ramionami, nie potwierdzając jej podejrzeń. Bliss irytowała ją w sposób

szczególny - zawsze uważała tę dziewczynę raczej za ofiarę losu niż za nową królową

wielkiego świata. Ale dyktatorzy i arbitrzy mody tego miasta najwyraźniej nie mogli się

napatrzeć na miedzianowłosą amazonkę. Po pokazie Morgana Bliss angażowano do jeszcze

większej liczby kampanii reklamowych niż wcześniej. Jej twarz była wszędzie - na

bilbordach, na taksówkach. Nie dało się przed nią uciec.

Mimi mogła wybaczyć Bliss tę nagłą sławę i rozgłos - ostatecznie na tym zależało każdemu w

Nowym Jorku — ale nic mogła wybaczyć towarzystwa, w jakim się obracała, szczególnie że

nie było to właściwe towarzystwo. Wszyscy w szkole wiedzieli, że Bliss i Schuyler to

„najlepsze” przyjaciółki. Mimi uważała za uwłaczające dla siebie to, że Bliss, dziewczyna,

która bez jej błogosławieństwa nie zdobyłaby żadnej pozycji społecznej w Duchesne,

odwróciła się od elity, żeby trzymać się z grupką obszarpanych wyrzutków.

Nie chciała się dzielić zdobytą wiedzą, ale pokusa zaimponowania byłej przyjaciółce swoim

statusem wtajemniczenia okazała się zbyt silna.

- Chodzi o miecz Michała — wyjaśniła. — Ostrze Sprawiedliwości.

- Co się z nim stało?

- Zaginął. Charles zwołał zebranie, gdy tylko odkrył, że go; nie ma.

Mimi przybyła na zebranie Rady i zastała ojca u szczytu stołu. Charles był rozwścieczony.

Przekonany, że miecz zabrał ktoś z Rady, zaczął spotkanie od oskarżenia kilkorga członków o rabunek.

Bliss przypatrywała się, jak Starsi opuszczają zebranie w szepczących grupkach.

— Czemu to takie ważne?

- Rany, nie pamiętasz? To miecz archanioła. Jeden z dwóch na świecie. Drugi ma oczywiście

Gabriela, Allegra Van Alen, ale nikt nie wie, gdzie on się podział, kiedy ją wyłączyło z

rzeczywistości. Zaginął kilkadziesiąt lat temu. Ale Charles, Michał... przechowywał miecz

zabezpieczony zamkiem krwi, w swoim gabinecie. Ktoś się włamał i zabrał go. Jest

przekonany, że miecz trafił w ręce Croatanów — wyjaśniła Mimi.

Zamek krwi był najpotężniejszym zabezpieczeniem, jakim dysponowali błękitnokrwistych.

Tylko krew archanioła mogła go otworzyć. Zagadka wydawała się nierozwiązywalna - skoro

Allegra leżała w śpiączce, nie było innych podejrzanych.

- Co to ma wspólnego ze srebrnokrwistymi? - zainteresowała się Bliss, poprawiając opatrunek

na kciuku. Kiedy się rano obudziła, jej palec krwawił. Najwidoczniej musiała przez sen wbić sobie drzazgę.

- Tylko miecz archanioła może zabić innego archanioła. Jak możesz tego nie pamiętać? -

skarciła ją Mimi. - W ogóle nie czytasz lektur?

- Ale dlaczego Charles miałby chcieć zabić Allegrę? - Nie Allegrę. Rany, trzeba ci wszystko jak dziecku tłumaczyć.

Jeśli Lucyfer jest tam gdzieś... Kojarzysz? Arcyksiążę Ciemności? Lucyfer był archaniołem.

To jedyna rzecz, która go może zabić. Zwykłe miecze błękitnokrwistych... Tak przy okazji,

dostajesz je przed odnowieniem więzi, chyba że tego też nie pamiętasz? W każdym razie one

działają wyłącznie na zwykłych srebrnokrwistych.

Tylko mieczem Michała można zabić

Lucyfera.

— I ten miecz zniknął.

— Właśnie. Ta sprawa śmierdzi. Charles naprawdę się p sypał, jeśli pozwolił, żeby zabrano

mu miecz - westchnęła Mi-mi. Sytuacja rzeczywiście nie wyglądała dobrze dla jej ojca,

Mogła wyczuć, że niektórzy członkowie Rady patrzyli podejrzliwie na to tak zwane

„włamanie”. Ale po co Charles miałby pozorować kradzież własnego miecza? Czy naprawdę

wierzyli, że Michał o Czystym Sercu będzie zadawał się ze srebrnokrwistymi?

Bliss rozejrzała się w poszukiwaniu ojca. Forsyth jeszcze nie wyszedł, najprawdopodobniej rozmawiał z Charlesem.

— Więc co podejrzewają?

— Nie mają pojęcia, kto mógł dopuścić się podobnego czynu, chociaż Charles wspomniał, że

Kingsley był ostatnią osobą, która odwiedzała jego gabinet. Wiedziała, że nigdy nie powinni

ufać temu sukinsynowi. W każdym razie grupa Kingsleya siedzi odcięta od świata w

Rio. Nie mogą go osiągnąć telepatycznie. Lawrence też się nie zgłasza. Totalny chaos — w

głosie Mimi pobrzmiwała satysfakcja.

—Mam nadzieję, że nie oskarżą o kradzież Dylana. To na pewno nie on — rzuciła nerwowo

Bliss.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się Mimi. - Dylan? Jak mogła by być zamieszany w

kradzież? Przecież zniknął kilka miesięcy temu. To już przeszłość.

Mimi mgliście pamiętała historię o tym, jak to Dylan włamał się przez okno do pokoju Bliss,

zanim pochwycili go srebrnokrwisci, Bliss przez długi czas była niepoczyszona, a Mimi

próbowała poprawić jej nastrój, przypominając, że potwór mógł dopaść także i ją. Miała

szczęście, że żyje. Rada wysłała grupę operacyjną, aby ustalić miejsce pobytu Dylana, ale

venatorzy niczego nie znaleźli.

— Ty nic nie wiesz? — zapytała Bliss.

— Czego nie wiem?

— Dylan wrócił, jest na odwyku.

— Znaczą, mówimy o tym samym facecie? Dylan, twój były chłopak, który wystawił cię do

wiatru, a wcześniej zabił Aggie? Który zmienił się w srebrnokrwistego? — zapytała Mimi.

Bliss naprawdę nie grzeszyła bystrością. Dziewczyna, która jeszcze w maju nosiła zeszłoroczne sukienki, była zdaniem Mimi kompletnie nierozgarnięta.

-No.

— Dlaczego miałabym o tym wiedzieć? — zdziwiła się Mimi.

— Jesteś w Radzie. Oddałam go pod opiekę Forsytha. Powiedział, że zawiadomi Radę i wspólnie podejmą decyzję. A potem mówił, że Starsi zdecydowali o umieszczeniu go na odwyku.

Mimi ze zdumieniem potrząsnęła głową.

-Nie. Twój tata nie wspominał o Dylanie na żadnym zebraniu. O niczym w jego sprawie nie decydowaliśmy - popatrzyła na Bliss, jakby podejrzewała, że dziewczyna jest niespełna rozumu.

To zastanawiające, dlaczego Forsyth miałby ukrywać przed Radą takie sprawy.

— Dziwne, po co by kłamał?

— Różnie bywa. - Mimi uważnie przyglądała się Bliss.

— Dylan naprawdę wrócił? Jesteś

pewna?

- Odwiedziliśmy go w zeszłym tygodniu -
odpowiedziała Bliss z przekonaniem.

- Zabierz mnie do niego. Dam znać Forsythowi, że chcę
przygotować dla Rady raport

dotyczący Dylana.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Ponieważ Mimi chciała jak najszybciej zobaczyć
Dylana, postanowiły odwiedzić go

następnego dnia, co oznaczało ponowne zerwanie się ze
szkoły. Nie, żeby Bliss to

przeszkadzało. Stopnie były ostatnią rzeczą, o jakiej w
tym momencie myślała. Nie zapytała

poprzedniego wieczora ojca, dlaczego nie powiedział
Radzie o Dylanie. Nie chciała dawać

mu do zrozumienia, że wie o jego sekretach. Forsyth na
pewno miał swoje powody, ale Bliss

była przekonana, że nie zechce się nimi podzielić.

Następnego dnia po południu Bliss spakowała rzeczy
dla Dylana. Wiedziała, że zapewniono

mu najlepszą opiekę, jaką można kupić za pieniądze, ale w ośrodku nie będą mieli najnowszej

płyty z nurtu indie rock ani egzemplarza Absolute Sand'man. Pomyślała, że może jeśli

dostanie swoje ulubione rzeczy, przypomni sobie, kim był, a co za tym idzie - kim była dla

niego Bliss. Nie zamierzała teraz machnąć na niego ręką. Postanowiła nawet, że nie będzie

już żywić urazy o to, jak ją odtrącił tamtej nocy. Może zachowanie Dylana było po prostu spowodowana! jego chorobą.

Jordan podeszła do drzwi i zajrzała do pokoju Bliss.

— Znowu jedziesz do Saratogi? — spytała.

— Tak. Mimi chce zobaczyć Dylana, żeby zdać raport Radzie. Poza tym dzisiaj ma być

lekarz prowadzący, w końcu będę się mogła dowiedzieć, co z nim — wyjaśniła Bliss,

składając i wpychając do reklamówki nową skórzaną kurtkę motocyklową, którą stylistka

wyszukała dla niej w Barneys.

Jej siostra weszła i usiadła na łóżku, obserwując, jak Bliss się pakuje.

— Słuchaj... Miałam cię zapytać... Pamiętasz swoje zamroczenia?

— No — przytaknęła Bliss, postanawiając jednak nie zabierać pluszowego misia w koszulce

z napisem „Zdrowiej szybko”! którego pod wpływem impulsu kupiła w sklepie z

podarunkami. Dylan z pewnością uznałby to za obciachowe. Zawsze nabijają się z niej, że

trzyma tyle pluszowych zwierzaków na łóżku.

— Dalej je masz?

Bliss znieruchomiała i zastanowiła się. Zamroczenia przychodziły dawniej z irytującą

regularnością. Traciła świadomość i budziła się w kompletnie innym miejscu, nie mając

pojęcia, jak się tam znalazła.

— Nie. I od miesiący nie miewam koszmarów.

— To dobrze - powiedziała z ulgą Jordan. Ale Bliss jeszcze nie skończyła.

- Wiesz, teraz to się dzieje raczej na jawie. Parę dni temu widziałam dziwaczną rzecz.

Czesałam włosy, a moja szczotka tak jakby zamieniła się w złotego węża. Myślałam, że

wykorkuję.

Jordan pobladła.

- Złotego węża?

- No. A innym razem spojrzałam w niebo i zobaczyłam siedmiogłowego smoka. Mało mnie

szlag nie trafił.

- Często to się zdarza? - spytała Jordan. Bliss wzruszyła ramionami.

- No, dosyć. Pytałam tatę. Powiedział, że...

- To część transformacji - dopowiedziała Jordan.

- Właśnie. - Bliss skończyła się pakować. Jej komórka zadzwoniła, Mimi czekała na dole w

samochodzie. Jordan jeszcze nie poszła, wyglądała, jakby biła się z myślami.

- Co się dzieje? — spytała Bliss.

- Nic — Jordan potrząsnęła głową. — Bawcie się dobrze.

Bliss nie przebywała w towarzystwie Mimi od miesięcy i na początku myślała, że rozmowa

nie będzie się kleić. Zapomniała, jak egocentryczną osobą potrafi być jej dawna przyjaciółka.

Mimi bez skrępowania paplała przez całą drogę. Opowiadała o najnowszej partii familiantów, wśród których znajdowali się najatrakcyjniejsi chłopcy z Collegiate School i Horace Mann School, a także paru gości z college'u. Snuła plany na lato: intensywne nasiąkanie kulturą chińską w Pekinie, ponieważ składając aplikację na Stanford w przyszłym roku, chciała się pochwalić płynną znajomością języka.

- Czy to nie zabawne? Chiński to jedyny język, którego nie pamiętam z przeszłości. No.

Pamiętasz te chińskie bliźniacaki, Wah i Min, które poznałyśmy na Balu Czterystu? Mam się u nich zatrzymać - zachichotała Mimi.

Kiedy przyjechały do ośrodka, Dylan był sam w pokoju, oglądając telewizję.

- Cześć, Bliss... dobrze pamiętam? - zapytał, wyłączając odbiornik. - A ty jesteś...?

- Mimi — spojrzała na niego ostro. - Serio nas nie pamiętasz?

- Ją kojarzę - powiedział trochę nieśmiało Dylan. - Odwiedzała mnie kilka razy.

- Przywiozłam ci trochę rzeczy - Bliss podała mu wypchani torbę z prezentami.

- Ekstra — Dylan zaczął w niej grzebać. — Co to jest? - zapytał, wyciągając skórzaną kurtkę.

Bliss poczuła się zakłopotana.

- Ja... no... miałeś kiedyś podobną...

- Nie, ja tylko... Kurczę, jest świetna — Dylan włożył kurtkę. Wyglądał w niej tak samo

dobrze jak w starej. Uśmiechnął się do Bliss, a jej serce zabiło mocniej. Sięgnął do torby i

wyjął pudełko z iPhonem,

- Pomyślałam, że ci się przyda - powiedziała Bliss. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe.

Wprowadziłam już mój numer.

- Bliss — odezwała się Mimi. — Możesz nas zostawić na chwilę? Mam kilka pytań do

Dylana.

-Jasne.

Bliss wyszła z pokoju. Kilka minut później Mimi otworzyła drzwi. Popatrzyła na Bliss z

mieszaniną politowania i pogardy.

- I co? — zapytała Bliss.

- Wygląda na to, że naprawdę niczego nie pamięta - powiedziała Mimi.

- Mówiłam.

- Niesamowite. Jest zupełnie jak czysta kartka.

- Mówisz, jakby to było coś dobrego - Bliss spojrzała ze złością na Mimi i wróciła do pokoju.

- Czego chciała? - zapytała Dylana. Wzruszył ramionami.

- Nic takiego... Jakieś dziwne rzeczy... i coś o jakichś dzinsach czy czymś takim. Naprawdę

nie wiem, o co jej chodziło. Mówiłem jej, że kiedy się obudziłem, nie wiedziałem nawet, jak

się nazywam.

- Naprawdę nie wiesz, kim jestem? - Bliss usiadła obok niego na łóżku.

Popatrzył na kartkowany komiks i odłożył go. A potem wziął ją za rękę. Zaskoczona,

popatrzyła na niego z lękiem... I nadzieją. Dylan zmarszczył brwi i w końcu się odezwał.

- Nie wiem, kim jesteś. Ale wiem, że za każdym razem, kiedy cię widzę, czuję się lepiej.

Bliss ścisnęła jego rękę i poczuła, że chłopak odwzajemnia uścisk. Siedzieli tak przez dłuższy czas, aż Mimi zastukała do drzwi, żeby powiedzieć Bliss, że lekarz prowadzący Dylana może się z nimi zobaczyć.

Kiedy szły do głównego budynku, Mimi zdjęła ciemne okulary i zmrużyła oczy, przypatrując się osobie zmierzającej w kierunku domku Dylana.

- Hej, czy to nie Oliver Hazard-coś tam?

- Tak — odparła Bliss. Oliver wspominał jej, że może wpaść do Dylana po szkole.

Najwyraźniej przyjeżdżał tu często, żeby dotrzymywać mu towarzystwa. Grywali w szachy i jak mówi Oliver, Dylan może i stracił pamięć, ale nie stracił umiejętności kopania mu tyłka w każdej partii.

- Czekaj chwilę, mam do niego sprawę — rzuciła Mimi, kierując się w stronę idącego.

Bliss zastanowiła się, o czym właściwie Mimi miałyby rozmawiać z Oliverem. Nie cierpieli się szczerze. Ale byli zbyt daleko, by mogła podsłuchać rozmowę.

Zauważyła, że Mimi wróciła niesamowicie, bardziej niż zwykle, zadowolona z siebie.

Jeśli natomiast chodziło o Olivera, Bliss nie miała okazji z nim porozmawiać. Cokolwiek

powiedziała mu Mimi, wstrząsnęło nim na tyle, że tego dnia zrezygnował z odwiedzin u Dylana.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Usłyszała samochód, zanim jeszcze wyłonił się zza rogu. Ciche mruczenie silnika

przechodzące w potężny ryk. Zaparkował w uliczce na tyłach Perry Street Building -

srebrnoszary kabriolet, Jaguar XKE rocznik 1961, opływowy i piękny niczym pocisk, z

Jackiem Force'em za kierownicą.

Schuyler wślizgnęła się do środka, podziwiając klasyczne wnętrze, staroświeckie srebrne

liczniki i szlachetną prostotę mechanizmu. Jack zmienił biegi i samochód z rykiem pomknął

autostradą.

Mieli dla siebie tylko kilka godzin, ale to wystarczyło - chociaż, oczywiście, nigdy nie mogło

w pełni wystarczyć.

Z każdym dniem zbliżała się ceremonia odnowienia więzi. Schuyler zauważyła zaproszenia i znalazła wśród nich jedno przeznaczone dla siebie. W pierwszej chwili była zdumiona, ale potem uświadomiła sobie, że Mimi w ten sposób pokazuje, gdzie jest jej miejsce. Któregoś dnia mignęła jej nawet przelotnie Mimi w kreacji na ceremonię. Schuyler nie wiedziała, która z nich robi z siebie większą idiotkę - ona, czy ubrana w białą suknię dziewczyna. Obie były do szaleństwa zakochane w tym samym chłopaku. Jack jest wariatem, pomyślała Schuyler, patrząc, jak pewnie prowadzi samochód główną arterią. Kompletnym wariatem. Ale Bóg jeden wiedział, jak bardzo go kochała. Pragnęła tylko żeby nie musieli tego ukrywać, żeby mogli całemu światu ogłosić swoją miłość. Poprzedniego wspólnego wieczoru powiedziała mu, że ma dość krycia się w tym jednym miejscu. Apartament stanowił dla nich miejsce ucieczki, ale był także więzieniem. Schuyler

pragnęła być z nim gdzieś indziej, choćby tylko na jedną noc. W odpowiedzi Jack podsunął

jej tego ranka karteczkę. O zmierzchu miała czekać na niego w umówionym miejscu. Nie

wiedziała, co planuje, ale skrywany uśmiech, błakający się na jego wargach, zwiastował

cudowną niespodziankę.

Samochód Jacka przejechał most do New Jersey. Kilka minut później dotarli na prywatne

lotnisko w Teterboro, gdzie czekał na nich odrzutowiec.

- Chyba żartujesz - Schuyler roześmiała się i klasnęła w rękę na widok samolotu.

— Mówiłaś, że chcesz się gdzieś wyrwać —uśmiechnął się Jack. - Może do Tokio? A może

Londyn? Seul? Madryt? Brugia? Gdzie chciałabyś się wybrać dziś wieczorem? Świat należy

do ciebie, tak samo jak ja.

Schuyler nie zapytała, gdzie jest Mimi, nie obchodziło jej to ani nie interesowało. Skoro Jack

chciał ryzykować, nie zamierzała się dopytywać.

— Do Wiednia — zdecydowała. - Jest tam obraz, który zawsze chciałam zobaczyć.

Więc tak wyglądało bycie jednym z najbogatszych i najpotężniejszych wampirów na Świecie,

pomyślała Schuyler, wchodząc z Jackiem do Galerii Austriackiej w pałacu Belweder.

Muzeum było na noc zamknięte, ale kiedy pojawili się przed wielkimi wejściowymi

drzwiami, przywitał ich umundurowany pracownik ochrony, a kustosz zaprowadził

specjalnych gości do odpowiedniej galerii.

— Czy to właśnie państwa interesuje? — zapytał, wskazując ciemne malowidło na środku

sali.

— Tak - Schuyler zaczerpnęła głęboki oddech i popatrzyła na Jacka, szukając wsparcia. W

odpowiedzi mocno ścisnął jej rękę.

Podeszła bliżej do płótna, którego spłowiała kopia wisiała w jej sypialni. Wygląd oryginału

zachwyił ją. Kolory były znacznie głębsze i miłsze dla oka, świeże i żywe. Egon Schiele od

zawsze należał do ulubionych malarzy Schuyler.
Podobały jej się jego obrazy — ciężkie,
poskręcane ciemne linie, wymizerowane ciała,
przezierający z nich smutek, nałożony równie
grubo jak farba.

Obraz nosił prosty tytuł Uścisk i przedstawiał splecione
ciała kobiety i mężczyzny. Biła od
niego drapieżna energia, Schuyler niemal czuła
intensywną więź łączącą kochanków. A
jednocześnie obraz nie miał w sobie nic romantycznego.
Był przepełniony niepokojem, jakby
przedstawiona na nim para wiedziała, że jest to ich
ostatni uścisk.

W dziełach Schielego kryła się nutka melancholii - nic?
przemawiały do każdego. Na

zajęciach z historii sztuki w szkoli wszyscy byli
zakochani w arcydziele Art Nouveau,

Pocałunku Gustava Klimta. Ale Schuyler uważała, że
tamten obraz dał się zbyt łatwo polubić,

był po prostu ozdobą sypialni, bezpiecznym wyborem.

Ona wolała szaleństwo i tragedię, samotność i
cierpienie, Schiele zmarł młodo, być może z

powodu złamanego serca*. Jej nauczyciel sztuki zawsze podkreślał „oczyszczającą i odmieniającą rolę sztuki”, a stojąc przed tym obrazem Schuyler doskonale rozumiała, co miał na myśli.

Nie mogła znaleźć słów, które by opisały, co przeżywa. Czowała chłodną i suchą dłoń Jacka w swojej dłoni i myślała, że jest najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

- Dokąd teraz? — zapytał Jack, kiedy wyszli z muzeum.

- Dokąd chcesz. Jack uniósł brew.

- Wpadnijmy do jakiejś kafejki. Mam ochotę na tort Sachera.

Zjedli coś w restauracji na szczycie apartamentowca, obserwując brzask rozświecający

horyzont. Jedną z zalet bycia wampirem stanowiła łatwość przystosowania się do nocnego

trybu życia. Schuyler nie potrzebowała tyle snu, co dawniej, a w noc, kiedy spotykała się z

Jackiem, często w ogóle nie zasypiali.

- Tego chciałaś? - zapytał Jack, pochylając się nad chwiejnym stolikiem, żeby dolać jej wina.

- Skąd wiedziałeś? — uśmiechnęła się, zakładając włosy za ucho. Zaskoczył ją, zabierając do kolejnego prześlicznego apartamentu, będącego własnością jego rodziny. Force'owie mieli więcej nieruchomości niż Schuyler dziurawych czarnych swetrów w szafie.

- Chodź, wracajmy na dół - Jack poprowadził ją za rękę do wnętrza sali. - Chcę, żebyś czegoś posłuchała.

Piedaterre Force'ow mieściło się w budynku wzniesionym w 1897 roku w prestiżowej dzielnicy. Charakteryzowało się kasetonami na sufitach, ozdobnymi gzymsami oraz

wspaniałym widokiem z każdego okna. Było przestronne, ale w odróżnieniu od zbyt kornie urządzonej nowojorskiej rezydencji umeblowane zostało skromnie, niemal ascetycznie.

- Nikogo tu od wieków nie było, odkąd przestali wyprawiać porządne bale w Operze

Wiedeńskiej - wyjaśnił Jack. Wytarł z kurzu stary magnetofon Sony.

- Posłuchaj - powiedział, wkładając taśmę. - Powinno ci się spodobać. — Wcisnął klawisz odtwarzania.

Rozległy się zgrzyty i syczenie. A potem usłyszeli niski, ochrypły głos - niewątpliwie kobiecy

- brzmiący jak zniszczony przez lata palenia papierosów.

* Egon Schiele (1890-1918)-wybitny skandalizujący austriacki malarz i grafik, autor

ekspresyjnych aktów, autoportretów i portretów (m. in. Para miłośna), nie i wielu pejzaży. W

rzeczywistości zmarł w Wiedniu podczas epidemii hiszpanki w wieku zaledwie 28 lat.

- Pejdo także moje gwałtowne serce... Schuyler rozpoznała ten wers.

- To ona? - zapytała z zachwytem. - To naprawdę ona? Jack skinął głową. Nie myliła się.

- Znalazłem tę taśmę w antykwariacie. Nagrania poety czytających swoje wiersze.

Pamiętał. To była Anne Sexton, czytająca fragmenty tomiku u Wiersze miłosne. Ulubiona

poetka Schuyler czytała jej ulubiony wiersz, Rozstanie.
Był najsmutniejszy ze wszystkich,

pełen gniewu i goryczy, piękny i doprowadzający do
wściekłości. Schuyler poi ciągał smutek

— podobnie jak obrazy Schielego, wiersze Sexton były
brutalnie szczere w swojej agonii.

Inspiracją Wierszy miłosnych był romans poetki —
zakazany, ukrywany związek, bardzo

przypominający obecny związek Schuyler. Przyklęła,
przysuwając się do głośnika, a Jack

zamknął ją w ramionach. Pomyślała, że nie może
kochać go bardziej niż w tej chwili.

Może istniała jakaś część niego, której nigdy nie
pojmie, ale w tym momencie rozumieli się
idealnie.

Kiedy nagranie się skończyło, trwali w milczeniu,
ciesząc się ciepłem swojej bliskości.

- No więc... - Schuyler niepewnie uniosła się na łokciu,
żeby? z nim porozmawiać. Bała się,

że rozmowa o otaczającej ich rzeczywistości zniszczy
magię tego wieczoru. Ale chciała

wiedzieć. Przygotowania do ceremonii szły pełną parą.
— Wtedy, na zebraniu Komitetu,

powiedziałeś, że istnieje sposób na zerwanie więzi

- Tak przypuszczam.

- Co zamierzasz?

W odpowiedzi Jack pociągnął Schuyler w dół, tak że znowu leżeli obok siebie.

- Schuyler, popatrz na mnie - powiedział. — Proszę, popatrz na mnie.

Zrobiła to.

- Żyję od bardzo dawna. Kiedy następuje przemiana...
Kiedy zaczynają powracać

wspomnienia... To jest po prostu przytłaczające.

Zupełnie jakby trzeba było na nowo przeżyć

każdy swój błąd - cicho wyjaśnił. - Nie chcę powtarzać
tych samych błędów, które

popęlniłem wcześniej. Chcę być wolny. Chcę być z
tobą. Będziemy razem. Jeśli nie jestem

przy tobie, czuję, że nie mam po co żyć.

Schuyler energicznie potrząsnęła głową.

- Nie mogę na to pozwolić. Nie chcę, żebyś ryzykował. Za bardzo cię kocham.

- Więc wolisz, żebym połączył się więzią z kobietą, do której nic nie czuję?

- Nie - wyszeptała. - Nigdy. Jack przytulił ją i pocałował.

- Istnieje sposób. Zaufaj mi.

Schuyler odpowiedziała na pocałunek, a każda chwila była słodsza od poprzedniej. Ufała mu

całkowicie. Cokolwiek zamierzał zrobić, aby zerwać więź, będą razem. Na zawsze.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Lekarz prowadzący Dylana miał posturę niedźwiedzia, krzaczastą brodę i ociężały chód.

Bliss pomyślała, że należałoby go ubrać w strój świętego Mikołaja i wepchnąć do jakiegoś

domu przez komin. Nie całkiem ufała temu dziwakowi, nawet jeśli był słynnym

hematologiem i pochodził ze starej czerwonokrwistej rodziny zaufanych zauszników.

- Sekretarka mówiła mi, że jesteście przyjaciółkami Dylana Warda. Wiem, że próbowałyście

się ze mną skontaktować, przepraszam, że nie mogłem was wcześniej przyjąć. Mieliśmy pracowity tydzień, ktoś przemycił familanta do jednego z dormitoriów i była prawie że krwawa łaźnia — mrugnął do nich. - Ale nie martwcie się, wszystko jest na dobrej drodze - dodał z uśmiechem.

- Rozumiem - Bliss skinęła głową i usiadła po drugiej stronie biurka. - Tak, jesteśmy zaprzyjaźnione z Dylanem. Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas.

—Ja nie jestem jego przyjaciółką. Przyjechałam sprawdzić jego stan na polecenie Rady - warknęła Mimi. - Jestem Strażniczką. Uniósł brew.

- Wygląda pani młodo na swój wiek.

- Jak się nad tym zastanowić, wszyscy tak wyglądamy - uśmiechnęła się krzywo Mimi.

- Miałem na myśli, jak na kogoś o pani pozycji - odparł nerwowo, odkasłując i przekładając papiery na biurku.

- Do rzeczy, panie doktorze. Nie przyszłam tu rozmawiać o polityce Rady. Co się dzieje z tym

wrakiem?

Doktor Andrews otworzył leżącą przed nim teczkę i skrzywił się.

- Dylan cierpi na jakąś postać zespołu stresu pourazowego. Zaleciliśmy różne formy terapii regresywnej, która może pomóc mu odzyskać wspomnienia. Ale na razie brak widocznych postępów. Nie pamięta ani co się działo z nim sto lat temu, ani co się działo z nim miesiąc temu.

Było tak, jak obawiała się Bliss. Dylan przypominał łódź z zerwaną cumą, pozbawiony zakotwiczenia w czymkolwiek lub kimkolwiek.

— Więc będzie miał taką amnezję... już zawsze?

— Trudno powiedzieć — odparł z wahaniem lekarz. — Nie chcemy dawać fałszywej nadziei.

— Ale dlaczego? — zapytała gwałtownie Bliss, poruszona. Skąd ten stan?

— Mózg czasem tak działa, wymazuje wszystko, aby funkcjonować normalnie. Aby zatrzeć ślady niedawno przeżytej traumy.

- On wiele przeszedł - wyszeptała Bliss.

- Atak srebrnokrwistego i tak dalej - potwierdziła Mimi.
Doktor znowu zajrzał w kartę
pacjenta.

- A, to ciekawa sprawa. Tak jak mówiłem senatorowi
Llewellynowi, na ile jesteśmy w stanie
stwierdzić, w krwi pacjenta nie ma śladu skażenia przez
srebrnokrwistych. Owszem, został
zaatakowany i na pewno był torturowany. Ale jestem
bardzo sceptyczny, jeśli chodzi o to, czy
rzeczywiście przeprowadził caerimonia na innym
wampirze. Proces nie został zakończony.
Albo może powiem wprost: nie został nawet
rozpoczęty.

Bliss spojrzała, zaskoczona.

- To jakiś absurd — oznajmiła stanowczo Mimi. —
Przecież ustalono, że Dylan zabił Aggie.

Została całkowicie wysuszona, a on był jedynym
podejrzany. Przyznał się nawet przed
Bliss.

- To prawda - potwierdziła Bliss. Doktor Andrew
potrząsnął głową.

- Być może to efekt przywidzeń albo też został zmanipulowany". Komuś zależało, aby uwierzył, że jest jednym z nich. Wyniki badań raczej nie pozostawiają wątpliwości.

- Czy Forsyth wie o tym, że Dylan jest niewinny? - zapytała ostro Mimi.

Lekarz skinął głową.

- Zadzwoń do niego, kiedy tylko otrzymaliśmy wyniki, Mimi roześmiała się głośno i sarkastycznie.

- Skoro Dylan nie jest srebrnokrwistym i nie zabił Aggie, to znaczy, że prawdopodobnie nie kłamał. Stwierdził, że nie wie, kiedy pożyczyła mi dzinsy.

— O czym ty mówisz? — Bliss miała wrażenie, że w jej głowie wszystko wiruje.

— Nieważne — Mimi wzruszyła ramionami. Wstała, a Bliss poszła w jej ślady. — Dziękuję, że poświęcił nam pan czas, doktorze. Pańska wiedza była bardzo cenna.

Bliss nie mogła zebrać myśli. Kiedy zapinała płaszcz, palce jej drżały. Uderzyła kolaniem o

stół i prawie się przewróciła. Dylan okazał się niewinny.

Nie był srebrnokrwistym i nie przemieniał się w jednego z nich.

Był ofiarą.

Od miesiący wszyscy wierzyli, że właśnie Dylan odpowiadał za morderstwo Aggie

Carondolet. Ze zabił też pozostałe ofiary zaatakował Schuyler i śmiertelnie ranił Cordelię.

Sam przyznał się Bliss. A ona mu uwierzyła.

A jeśli cała ta intryga miała stanowić tylko zasłonę dymną? Jeśli ktoś celowo sprawił, że

Dylan uwierzył w swoje skazanie?

I jeśli Dylan naprawdę jest niewinny, to kto był prawdziwym sprawcą?

TRZYDZIEŚCI

Nadszedł już wieczór, kiedy Schuyler opuściła apartament przy Perry Street. Jej twarz

promieniała, pocałunki Jacka rozplłomieniły jej usta i policzki. Schuyler rozkwitała jak zresztą

cały Nowy Jork wiosną. Pocałunek za pocałunek, pomyślała, nadal oszołomiona po nocy w

Wiedniu. Dopiero co wrócili i wpadli do kryjówki, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Jack wyszedł pierwszy — wyslizgując się przez boczne drzwi - a ona odczekała

obowiązkowe pół godziny i także opuściła budynek.

Uśmiechała się lekko do siebie, próbując przygłodzić włosy wzburzone nagłym podmuchem

wiatru, kiedy zobaczyła kogoś, kogo się kompletnie nie spodziewała.

Stał po przeciwnej stronie ulicy, patrząc na nią, wstrząśnięty i przerażony. Jeden rzut oka na

Olivera wystarczył, żeby się zorientowała, że on wie. Ale skąd? Jak mógł się dowiedzieć?

Tak starannie trzymali swoją miłość w sekrecie...

Rozpacz malująca się na jego twarzy była nie do zniesienia. Schuyler przeszła przez jezdnię i

stała przed nim, czujne, że słowa więzną jej w gardle.

— Ollie... to nie...

Oliver spojrzał na nią z nieskrywaną nienawiścią i obrócił się na pięcie. Ruszył szybkim

marszem, potem biegiem.

— Oliver, daj mi wyjaśnić...

W jednej chwili zagroziła mu drogę. Mógł biec, ale nie potrafił jej prześcignąć.

- Nie rób tego. Odezwij się do mnie. —Nie mam ci nic do powiedzenia. Widziałem, jak wychodził.

Potem, tak jak mi poradzono, czekałem pół godziny, a wtedy ty także wyszłaś. Byłaś z nim.

Okłamałaś mnie.

- Ja nie... nie zrobiłabym... Boże, Oliver.

Łzy napłynęły jej do oczu, czuła jego smutek i złość spływające po niej. Gdyby chociaż

zamierzył się na nią, uderzył, zrobił cokolwiek, a nie tylko stał, wyglądając na tak

zdruzgotanego, że sama mogła tylko czuć się równie zdruzgotana.

Zaczęło padać. Nad ich głowami zebrały się burzowe chmury, spadły pierwsze krople, a po

chwili już lało. Oboje przemakali do nitki.

— Musisz wybrać— powiedział Oliver, a deszcz mieszał się ze łzami spływającymi mu po

policzkach. — Mam dość bycia twoim najlepszym przyjacielem. Mam dość bycia numerem

dwa. Już mi to nie wystarcza. Wszystko albo nic, Schuyler. Musisz wybrać. On albo ja.

Jej najlepszy przyjaciel i zausznik albo chłopak, którego kochała. Schuyler wiedziała, że ten

dzień musiał nadejść. Że będzie

musiała stracić jednego lub drugiego. Że ta gra ma swoje konsekwencje. Że nie może dalej

tego ciągnąć — ukrywając prawdę przed wampirzym kochankiem i ludzkim familiantem.

Okłamywała Olivera, okłamywała Jacka, okłamywała wszystkich, łącznie z sobą samą. Ale w

końcu kłamstwa się na niej zemściły.

—Jesteś samolubna, Schuyler. Nie powinnaś robić ze mnie familianta - ciągnął beznamiętnie

Oliver. - Ale pozwoliłem na to, bo zależało mi na tobie. Bałem się, co może się z tobą stać,

jeśli się nie zgodzę. Ale ty... Jeśli w ogóle ci na mnie zależało, jeśli kiedykolwiek o mnie

myślałaś, powinnaś mieć dość przyzwoitości, żeby się powstrzymać. Wiedziałaś doskonale,

co do ciebie czuję i mimo to mnie wykorzystałaś.

Miał rację. Schuyler skinęła tępo głową, a deszcz spływał strumieniami po jej włosach,

zamieniając ubranie w mokre szmaty. Oliver zawsze był z nich dwojga rozsądniejszy. Kochał

się w swojej najlepszej przyjaciółce, kochał ją, od kiedy się poznali, przez lata była dla niego

najważniejsza na świecie. Ale gdyby nie wmieszała w to caerimonia osculor, nie wypila jego

krwi, nie odcisnęła swego piętna w jego duszy, może pewnego dnia zdołałby stłumić to

uczucie.

Gdyby znalazła innego familanta, wybrała innego chłopaka, miłość Olivera mogłaby

zblednąć, stając się niezobowiązującym, ciepłym przywiązaniem. Oliver mógłby z tego

wyrosnąć, pokochać czerwonokrwistą dziewczynę, założyć kiedyś rodzinę. Ale ona uczyniła

go swoją własnością. Przypieczętowała jego uczucie tamtym pierwszym, zwodniczym

ukąszeniem. Naznaczyła go na zawsze świętym pocałunkiem.

Postąpiła samolubnie, niepotrzebnie i nierozważnie.

Nie miał innego wyboru, jak tylko ją kochać. Nawet jeśli te ją zostawi, nigdy nie pokocha

innej, na zawsze pozostanie sam

Nie było dla niego nadziei, a ona przez swoją słabość prze klęła ich oboje.

— Przepraszam. — Oczy Schuyler wypełniły się łzami. Nie było sposobu, żeby to naprawić.

— Jeśli mówisz szczerze, zostawisz go. Jack nigdy nie będzie twój, Schuyler. Nie tak, jak ja jestem.

Skinęła głową, płacząc gorzko, wycierając łzy i ciekący nos mokrym rękawem. Wiedziała,

że wygląda równie okropnie, jak się czuje.

Twarz Olivera zmiękła.

- Chodź, schowajmy się przed tym deszczem. Oboje się przeziębimy. — Łagodnie

poprowadził Schuyler pod osłonę sklepowej markizy.

- Jesteś dla mnie za dobry — szepnęła.

Oliver skinął głową. Wiedział, jak to jest: kochać kogoś, kto nie chciał — albo nie mógł —

odwzajemnić uczucia. Ale nie miał wyboru. Żadne z nich nie miało.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Sky, wyglądasz koszmarnie, co się stało?! - wykrzyknęła Bliss, widząc Schuyler stojącą żałośnie w drzwiach.

Miała oczy czerwone od płaczu i wycierała nos chusteczką.

- Pokojówka mnie wpuściła. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Twoi rodzice są w domu? - spytała Schuyler, ciągle pociągając nosem.

- Nie, zbierają fundusze na kampanię. Nic nowego. Wejdz. Ale i tak nic by nie powiedzieli.

Wiesz, że cię lubią - w tym momencie Bliss uświadomiła sobie, że nie jest pewna, czy to prawda. Rodzice nigdy nie interesowali się w najmniejszym stopniu jej przyjaciółmi. Byli nieorientowani do tego stopnia, że zakładali, iż dalej trzyma się z Mimi Force. Nigdy nie poznali Schuyler i Olivera.

- Wszystko w porządku? - zapytała Bliss.

Schuyler potrząsnęła głową. Weszła do sypialni Bliss i wdrapała się na łóżko, kładąc się na na poduszkach i zamykając oczy.

- Oliver mnie nienawidzi — wyrzuciła z siebie z urywany! szlochem, wycierając oczy. —

Widział... nas razem... Jacka i..

- Dowiedział się - skinęła głową Bliss. Więc to o tym powiedziała Oliverowi tamtego popołudnia w ośrodku.

W odpowiedzi Schuyler wyciągnęła puchową poduszkę z ogromnej sterty i wepchnęła ją sobie pod głowę. -No.

Bliss westchnęła. Sięgnęła po pilota i zaczęła przeglądać na-grane programy.

- Widziałaś ostatni odcinek Plaży?

- Nie, włącz — poprosiła Schuyler. Obie lubiły zrealizowany w konwencji reality show serial pokazujący życie trzech pustych, ale dziwnie fascynujących blondynek z Los Angeles.

- Więc, jak się dowiedział? - zapytała Bliss, nie odrywając oczu od ekranu. Wcisnęła pauzę i spojrzała na Schuyler. — Chociaż to właściwie bez znaczenia. Wiedziałaś, że kiedyś tak się stanie.

- Wiedziałam - przyznała Schuyler. - Możesz na mnie tak? nie patrzeć? Wiem, co myślisz.

- Nic nie powiedziałam.

- Nie musisz.

Bliss pogładziła przyjaciółkę po plecach. Współczuła jej, ale przecież Schuyler dobrze

wiedziała, w co się pakuje, wiążąc się z Jackiem.

Zraziła najlepszego przyjaciela i to z

czego powodu! - Jacka Force'a.⁷ Co ona w ogóle w nim widziała?

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Byłam dzisiaj z Mimi u Dylana. - Bliss streściła

wszystko, co usłyszały od lekarza.

Schuyler nie potrafiła ukryć zaskoczenia. . - Więc jeśli nie Dylan zabił Aggie i innych - to w

takim razie kto?

— Dobrze pytanie.

— Czy ktoś jeszcze wie o tym, że on jest niewinny?

— Poza mną i Mimi? Forsyth - rzuciła Bliss.
Uświadomiła sobie, że ostatnio nie może się

zmusić do nazywania go „tata”.

— Doktor Andrews twierdził, że zadzwonił do niego,
kiedy tylko dostali wyniki.

— Ale tata ci tego nie powtórzył?

— Ani słowa.

— Ani Radzie?

— Mimi mówiła, że Forsyth w ogóle nie powiedział im
o Dylanie — Bliss czuła się coraz
bardziej zakłopotana zachowaniem ojca.

— Ciekawe czemu...

— Może chciał mu pomóc — szukała wyjaśnienia
Bliss. — Wiedział, że Rada może zechcieć
zniszczyć Dylana, więc ukrył go przed nimi.

— Ale Dylan nie jest srebrnokrwistym - powiedziała
Schuyler.

— I nigdy nie był. Czyli nie groziło mu skazanie na
śmierć. Przeprowadzili testy i przeszedł

je pomyślnie. Wybierasz się gdzieś? — wskazała częściowo spakowaną walizkę, stojącą w nogach łóżka.

— A tak, wyjeżdżamy.

— Dokąd?

— Rio de Janeiro. Forsyth mówił, że Nan Cutler zwołała wielkie zebranie Rady, oznajmiła, że twój dziadek potrzebuje pomocy i wszyscy mają jechać.

-Jakiej pomocy? - naciskała Schuyler. —Ej, nie martw się — uspokajała Bliss, widząc panikę na twarzy przyjaciółki. - Jestem pewna, że nic mu nie jest

— Lawrence nie odzywał się od dawna — przyznała Schuyler.

- Byłam tak zajęta Jackiem, że nie zauważyłam. Co jeszcze mówił Forsyth?

Bliss zawahała się, ale uznała, że Schuyler ma prawo wiedzieć.

— Nie jestem na sto procent pewna, ale z jego słów wynikało, że Lawrence wpadł w jakieś kłopoty.

— jakie?

— Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. Wiem tylko, że dzisiaj rano Forsyth zapowiedział, że lecimy do Rio. Sprawy Rady|

- Skierowała pilota w stronę telewizora i przewinęła reklamy, i z powrotem włączyły serial, a

Bliss sięgnęła pod łóżko i podała Schuyler torbę jej ulubionych chipsów z jalapefio.

— W każdym razie nie martw się o Olivera. Dojdzie do siebie, sama wiesz.

— Nie jestem pewna, chyba naprawdę ma mnie dość. Powiedział mi, że albo on, albo Jack.

Ze mam wybierać.

— A co ty odpowiedziałaś?

— Nic - Schuyler zamrugnęła, tłumiąc powracające łzy. - Nie mogę wybrać. Wiesz, że nie

mogę. — Wrzuciła puste opakowanie za łóżko i kopnęła poduszkę. - Wszystko jest do

chrzanu.

Bliss jednym okiem śledziła telewizor, a drugim okiem przyjaciółkę. Z całego serca zgadzała

się z taką oceną sytuacji. Wszystko naprawdę było do chrzanu. Na przykład to, że Forsyth od początku nie był z nią szczery w sprawie Dylana. Czasem miała wrażenie, że wszyscy bezustannie kłamią.

Po kilku minutach obserwowania, jak główna bohaterka zrywa po raz enty ze swoim chłopakiem, Schuyler odezwała się znowu.

— Wiesz co, nie miałam żadnych informacji od Lawrence'a, od kiedy tam pojechał. Przekazał tylko, że mogłoby być chłodniej. Nie wydaje ci się, że gdyby naprawdę był w niebezpieczeństwie, dałby mi jakoś znać? Choćby wysłał wiadomość?

— Może nie chciał cię niepokoić — zauważyła Bliss.

— Prawdopodobnie chce przede wszystkim ciebie chronić. Sam mówił, że jeśli coś złego się dzieje z Corcovado, to woli cię trzymać z dala — przypomniała.

— Chyba tak. - Schuyler bawiła się frędzlem przy poduszce. - Ale to dziwne, wiesz?

Lawrence w najmniejszym stopniu nie ufa Radzie. Od czasów Plymouth. Dlaczego teraz

miałby ich wzywać?

— Coś podejrzewasz? — zapytała Bliss. Zauważyła, że w oczach Schuyler pojawił się błysk

determinacji. Przynajmniej przestała się wreszcie zapłakiwać z powodu chłopców. To była

Schuyler, jaką Bliss знаła i podziwiała.

— Polecę tam. Jeśli Lawrence rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie, muszę mu pomóc.

Inaczej nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

TRZYDZIEŚCI DWA

Schuyler pomyślała, że już sam dźwięk słowa Galeao - nazwy lotniska w Rio de Janeiro —

może wprowadzić w karnawałowy nastrój.

Gahhhlaaeonnn. Teraz rozumiała, czemu tak

wiele osób odwiedza ten kraj: nawet nazwa lotniska obiecywała zmysłową i tajemniczą

przygodę.

Jednakże sama Schuyler nie czuła się w najmniejszym stopniu romantycznie. Nie umiała

myśleć o Jacku, nie myśląc o Oliverze. To było zbyt bolesne.

Ucieczka z rezydencji Force'ów okazała się niezwykle łatwa: po prostu wyszła przez drzwi.

Charles jak zwykle zaszył się w gabinecie, Trinity wyjechała na urlop połączony z kuracją

spa, a Mimi poleciała do Rio z resztą Rady. Jack miał zostać w Nowym Jorku. Zeszłej nocy

znalazła pod drzwiami kolejną książkę - tym razem wybrał Annę Kareninę. Ale nie poszła się

z nim spotkać. Nie miała nawet serca, żeby zabrać ze sobą książkę na dziewięciogodzinny lot.

Przez całą drogę nie zmrużyła oka, męcząc się na niewygodnym siedzeniu w klasie

ekonomicznej. Do tej pory podróżowała tylko z Cordelia lub Oliverem i jego rodziną. Jej

babka, udając się do Nantucket, wynajmowała mały śmigłowiec, natomiast Oliver latał

zawsze pierwszą klasą. Dotąd Schuyler uważała się za twardą, niepotrzebującą luksusów

dziewczynę, popełniając częsty błąd osoby, która nigdy nie doświadczyła drobnych życiowych

niedogodności.

Samolot w końcu wylądował, a Schuyler zabrała z transportera swoją torbę podróżną i

przesunęła się na początek kolejTM Lotnisko rozczarowywało wyglądem, w niczym nie

spełniało magicznej obietnicy, jaką niosła jego nazwa. Poczekalnie i ha-I la odpraw kusiły

przestrzenią, ale wystrój wnętrza był zimny, użytkowy, przestarzały i formalny. W

najmniejszym stopniu nie wyglądało to plażowo, seksownie czy co tam jeszcze Schuyler

spodziewała się zastać po przylocie. Tylko pustka i cisza. Oczekiwała imprezy, a trafiła do

twierdzy.

Schuyler wiedziała, że miasto uchodzi za bardzo niebezpieczne i miała się na baczności.

Lawrence nadal pozostawała frustrująco nieosiągalny. Ostatnie wiadomości, jakie mu wysłała,

nie spotkały się z odzewem, nadal nie mogła pochwycić jego sygnału. Podążając za

tłumem, wyszła z terminalu. Bliss doradzała jej wzięcie taksówki, ale biorąc pod uwagę

niewielką ilość pieniędzy, jaką dysponowała, Schuyler uznała, że zaryzykuje i skorzysta z jednego z rozklekotanych autobusów, które kursowały do centrum miasta, zatrzymując się przy plaży i większych hotelach.

Autobus wypełniali hałaśliwi australijscy turyści. Schuyler zajęła miejsce z przodu, tak aby wyglądać przez okno. Droga z lotniska była trudna do zapamiętania, autostrada wiała się i kręciła, przechodząc przez kilka tuneli, po których całkowicie traciło się poczucie kierunku.

Co pewien czas ukazywały się imponujące, omszałe skalne urwiska i wzgórza pokryte tropikalną roślinnością, wznoszące się ponad żółto-białymi piaszczystymi plażami i błękitną wodą. Gdzieniegdzie dostrzegała też osławione fawełe, miejskie slumsy, zajmujące urwiska i zbocza wzgórz. Wszędzie widać było pozostałości trzęsienia ziemi, od zaśmieconych parkingów, wypełnionych żywiącymi się padliną ptakami, po gruzowiska wysokości nawet dwóch pięter.

Widok gór i morza przeplatały się tu i ówdzie z wysokimi budynkami ze stali i szkła, nienaruszonymi przez kataklizm. Mijali także wielokrotnie samochody zatrzymane na poboczu przez uzbrojonych po zęby policjantów, ustawiających coś w rodzaju doraźnych punktów kontrolnych.

Wszystko wydawało się jednocześnie egzotyczne, piękne i brzydkie. Wreszcie na tablicach pojawiły się znajome nazwy: Ipanema, Copacabana, Leblon. Na szczycie góry Corcovado dojrzała słynną figurę Jezusa wyciągającego ręce, jakby chciał objąć miasto - Chrystusa

Zbawiciela, O Cristo Redentor. Podziwiała widoki, podczas gdy autobus sapał, jadąc drogą, aż nagle jego silnik zgasł.

Kierowca, klnąc siarczyście, zjechał na bok.

Schuyler nie wiedziała, co robić, szczególnie gdy kierowca kazał pasażerom zabrać bagaże i wysiąść na autostradzie.

- Znowu to samo - narzekał chudy Australijczyk.

- Czy to się często zdarza? — spytała Schuyler.

- Cały czas - usłyszała w odpowiedzi. Kierowca poradził im odpocząć trochę i wrócić za godzinę

obiecując, że przez ten czas postara się naprawić autobus. Na szczęście znajdowali się

niedaleko głównego bulwaru. Wzdłuż plaży ciągnęła się promenada wykładana płytkami

ozdobionymi przez wtopione muszle i mozaiki, pełna ludzi uprawiających jogging,

spacerujących, jeżdżących na rolkach i pchających wózki dziecięce. Schuyler znalazła

niedaleko budkę z sokiem i kupiła sobie napój. Miała wrażenie, że zaraz zwiędnie w

tropikalnym upale.

Ale kiedy godzinę później wróciła do punktu zbiórki, autobus wraz z hałaśliwymi

Australijczykami zniknął. Została sama. Jej irytacja zaczęła się mieszać z niepewnością,

kiedy zauważyła kilku młodych ludzi - szczupłych, bosonogich, w spłowiałych szortach i

dziurawych T-shirtach z logo Chicago Bulls -
kierujących się w jej stronę. Z zaciekawieniem
patrzyli na ubraną na czarno turystkę.

- Turista?

Wiedziała, że nie ma się czego bać, ale nie chciała
pokazać, że nie jest człowiekiem. Chłopcy

podeszli bliżej. W tym momencie zauważyła, że jeden z
nich trzyma stłuczoną butelkę.

I kiedy już myślała, że zaraz będzie musiała się bronić,
z tyłu podjechał lśniący, czarny

samochód. Miał przyciemniane, podniesione szyby i
sprawiał wrażenie kuloodpornego.

Co jeszcze? Schuyler pomyślała, że jest w coraz
gorszych opałach.

Jedna z szyb opuściła się. Schuyler nigdy chyba nie była
tak szczęśliwa, widząc chłopaka

siedzącego w środku.

- Chwilę potrwało, zanim cię znalazłem. Przepraszam,
straciłem cię z oczu na lotnisku. Mój

lot się spóźnił - wyjaśnił Oliver, otwierając tylne drzwi.
Schuyler zauważyła dwóch

ochroniarzy siedzących z tyłu i jednego, pełniącego rolę kierowcy, z przodu. - Na co czekasz?

Wskakuj.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Hotel Copacabana Pałace należał do ulubionych miejsc Mimi. Przyjeżdżając do Rio de

Janeiro na karnawał, zawsze zatrzymywała się w tym samym narożnym apartamencie. Nie

miała pojęcia, po co Nan Cutler zabrała Radę aż do Ameryki Południowej, ale nie zamierzała

dyskutować z poleceniem. Poza tym nie zamierzała tracić okazji do zerwania się ze szkoły.

Jack nie wyraził zainteresowania wspólną wyprawą, a ona nie naciskała. Kiedy odnowią więź,

będą podróżować razem po całym świecie. Tęskniła za nim, ale ekscytowało ją też, że może

być sama w obcym mieście.

Rzuciła ręcznik na leżak stojący na przylegającym do jej pokoju prywatnym tarasie na dachu

hotelu. Wieczorem Rada została zaproszona na kolację do Casa Almeida, położonej na

wzgórzach willi. Rodzina Almeidów należała do grupy błękitnokrwistych, którzy przeprowadzili się do Brazylii w 1808 roku, kiedy portugalska rodzina królewska wraz z wieloma arystokratami uciekła przed czerwonomkrwistym zdobywcą, Napoleonem, nie chcąc z nim walczyć. Przenieśli siedzibę królewską do kolonii, czyniąc Rio de Janeiro pierwszą pozaeuropejską stolicą europejskiego państwa, i Oczywiście kiedy się już zadomowili, nie zamierzali wracać, ogłosili więc Brazylię niepodległym państwem, a księcia - cesarzem. A kiedy w roku 1889 kraj przekształcił się w republikę, żyjący w tym mieście błękitnokrwieści wycofali się z życia publicznego, koncentrując się na tym, co wychodziło im najlepiej— budowaniu wielkich hoteli, muzeów i galerii sztuki oraz stymulowaniu kulturalnego odrodzenia.

Mimi podziwiała to, co brazylijscy błękitnokrwieści zrobili ze swoim miastem i przypomniała

sobie, że należy ich zaprosili na Wiosenną Galę. Ich rodziny naprawdę powinny się trochę

zbliżyć, pomyślała. Żyli teraz w strasznym rozproszeniu. Oczywiście przewodniczący

poszczególnych Komitetów co roku spotykali się ze Starszymi Zgromadzenia w Nowym

Jorku, ale poza tym praktycznie nie utrzymywali ze sobą kontaktów.

Położyła się na brzuchu na ręczniku i rozwiązała troczki stanika od bikini.

Pojawił się muskularny chłopak z obsługi. Jego ciemna skóra i włosy kontrastowały z białymi

szortami.

- Caipirinha? - zaproponował.

- Chętnie - Mimi podniosła się na łokciach, nie zwracając sobie głowy zasłanianiem piersi.

Jego nonszalanckie spojrzenie, niemal bezczelny sposób, w jaki gapił się na nią, podrażniły

jej zmysły. Zawsze była chętna na nowych familiantów, a skoro już przyjechała do Rio...

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Bliss czuła, że jeśli o nią chodzi, mogłaby zostać w Rio na zawsze. Przez całe popołudnie

wędrowała po przepięknych miejskich plażach, ubrana w kostium kupiony w sklepie

hotelowym. Doszła do wniosku, że ten, który przywiozła ze sobą, jest zdecydowanie zbyt

purytański jak na to miasto.

Zatrzymali się w cudownym hotelu Fasano w Ipanema, a chociaż Bliss lubiła kąpiele

słoneczne na tarasie, nie mogła się doczekać pójścia na plażę. BobiAnne poprosiła ją, żeby

zabrała ze sobą Jordan i obie siostry bawiły się świetnie, pływając w oceanie i obserwując

ludzi. Brazylijki nosiły skąpe bikini nie przejmując się ani swoimi gabarytami, ani rozmiarem

kostiumu - było to jednocześnie interesujące i przerażające. Amerykańska dusza podpowiadała

Bliss, że babcie nie powinny zakładać stringów.

Ale i tak czuła się świetnie, odprężała w gorącym klimacie i zapominała, że znaleźli się w Rio

z całkiem poważnych powodów. Podśluchała rozmowę Forsytha z Nan Cutler – wyglądało na

to, że Lawrence naprawdę wpadł w solidne kłopoty. Rodzi niczego im nie mówili, ale widać było, że są zaniepokojeni i zdenerwowani. Forsyth ciskał się o byle co i nawet BobiAnne sprawiała wrażenie poirytowanej. Bliss była ciekawa, czy Schuyler udało się skontaktować z dziadkiem.

Bliss nie zdołała przekonać rodziny do zabrania Schuyler („Nie ma mowy - powiedział jej ojciec. — Jest podopieczną Charlesa, a nie sądzę, żeby udzielił mi pozwolenia".) W zamian za to przelała na konto Schuyler dostatecznie dużo pieniędzy ze swojego osobistego konta, żeby starczyło na bilet. Schuyler najpewniej była już w mieście, ale to ona miała zadzwonić, kiedy przyjedzie, a jak dotąd Bliss nie dostała żadnej wiadomości. Miała nadzieję, że z przyjaciółką nic się nie stało. Rio stanowczo nie było miejscem, do którego młode dziewczyny powinny przyjeżdżać samotnie. Po raz kolejny próbowała zadzwonić do Dylana, ale bezskutecznie. Ostatnio nabrali

zwyczaju rozmawiania każdego wieczoru i wymieniania SMS-ów w ciągu dnia. Wiedziała,

kiedy ćwiczył jogę, kiedy był na terapii i o której godzinie jadł obiad. Martwiło ją, że nie

odpowiada na jej wiadomości. Gdzie się podział?

Wybrała numer centrali i poprosiła o połączenie z jego terapeutą.

- Dylan? — Głos lekarza był pogodny. - Został wczoraj wypisany.

— Naprawdę? — to była zupełnie nowa wiadomość.

Dylan nie wspominał o tym, że

kwalifikuje się do wypisania. - Wie pan może, kto go odebrał?

- Momencik... - rozległ się szelest przekładanych papierów. - Mam napisane, że został oddany

pod opiekę senatora Llewellyna.

Bliss zaniepokoiła się. Najwyraźniej ojciec nie raczył jej poinformować. Być może powinna

wprost powiedzieć mu, co wie, ale myśl o poważnej rozmowie z Forsythem sprawiała, że

zaczynało ją mdlić. Dylan zadzwoni do niej, kiedy tylko zdoła, była tego pewna. Musi po

prostu uzbroić się w cierpliwość. Obok niej Jordan zwinęła się w kłębek pod parasolem, przykryta ręcznikami i pokryta grubą warstwą emulsji do opalania. Bliss pokpiwała sobie z niej, wyzywając się na siostrze z powodu niepokoju o Dylana.

- Też się nie opalasz - odparła Jordan.

- Wiem, ale mnie to nie obchodzi, lubię się spiekać na słońcu.

- Kupiłabyś mi sok kokosowy? - poprosiła Jordan, wskazując sprzedawcę niosącego oszronione smakołyki.

- Jasne - Bliss zaczęła szukać w torbie portfela, kiedy nagle wszystko stało się białe. Niczego nie widziała, czuła się kompletnie ślepa, mimo że miała szeroko otwarte oczy. To było nienaturalne, nieprzyjemne uczucie - zupełnie jakby ktoś inny patrzył jej oczami. Jakby w jej głowie był ktoś jeszcze.

Kiedy wrócił jej wzrok, drżała.

- Co się stało? - spytała siostrę. Jordan była blada jak ściana.

- Twoje oczy... były błękitne.

Bliss miała zielone oczy, barwy szmaragdu, który lśnił na jej szyi.

— Żartujesz — roześmiała się.

Jordan wyglądała, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję. W końcu się odezwała.

— Słuchaj, musisz wiedzieć, że nie miałam wyboru, dobrze? - złapała Bliss za rękę.

— O czym ty mówisz? - zapytała Bliss, kompletnie zaskoczona.

Jordan tylko potrząsnęła głową, a Bliss ze zdumieniem zauważyła, że jej stoicko spokojna

młodsza siostra jest bliska łez;?;

— Nic, nic takiego - pociągnęła nosem. Bliss objęła ją.

— Spokojnie, młoda.

— Pamiętaj, że byłaś dla mnie naprawdę jak siostra — wyszeptała Jordan tak cicho, że Bliss

nie była pewna, czy się nie|przesłyszała.

— O cokolwiek się martwisz, wszystko będzie dobrze.

— Bliss mocno ją przytuliła. — Nic

złego się nie stanie, obiecuję.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Nie wiem, jak mam ci dziękować - powiedziała Schuyler, zapinając pas. Rzuciła okiem na uzbrojonych ochroniarzy. - Nie wydaje ci się, że troszkę przesadziłeś?

Oliver wzruszył ramionami.

- Ostrożności nigdy za wiele. Schuyler skinęła głową.

- Czy to znaczy, że już się na mnie nie gniewasz?

- Odłóżmy na razie ten temat. Jesteśmy tu z powodu Lawrence'a, prawda?

- Prawda.

- Wiesz, że przyleciała cała Rada? - zapytał. - Widziałem w samolocie Strażnika Oelricha. A w moim hotelu zatrzymali się Dupontowie i Carondoletowie.

- Wiem. Bliss mówiła mi, że Nan Cutler zwołała nadzwyczajne zebranie i przywiozła ich tutaj. Znaleźli Lawrence'a?

- Właśnie w tym rzecz. W ogóle o nim nie mówili. Wszyscy szykowali się na uroczystą

kolację w domu jakichś błękitno krwistych Brazylijczyków - odparł Oliver.

Pejzaż, przez który jechali, stał się jeszcze bardziej malowniczy: obfita zieleń, cudowne plaże i równie cudowni, opalający się na nich ludzie.

— Gdzie się zatrzymałeś?

— W Fasano. Nowy hotel, zaprojektowany przez Philippe'a Starcka. Bliss też tam mieszka.

Chciałem ci zarezerwować oddzielny pokój, ale nie mieli już niczego wolnego. Nie masz nic przeciwko temu, żeby mieszkać ze mną? - zapytał.

— Jasne, że nie - odpowiedziała, starając się nie okazać zakłopotania. - Słuchaj... Jeśli chodzi o tamten wieczór...

— Nie mówmy o tym teraz — rzucił lekko Oliver. — Znaczący, strasznie dramatyzowałem, nie? On albo ja. Totalnie.

— Czyli nie myślałeś tak naprawdę? - zapytała z nadzieją Schuyler.

— Nie wiem. Po prostu... Po prostu zajmijmy się na razie Lawrence'em, a o naszych

sprawach pogadamy później. Może' być?

— Pewnie.

Oliver miał rację. Nie mieli czasu, aby teraz drażnić ten temat. Musieli znaleźć Lawrence'a.

Przedłużające się milczenie dziadka martwiło ją. A co, jeśli wpadł w pułapkę, został

uwięziony albo jeszcze gorzej? Czy to było rozsądne, żeby leciał sam do Rio? I żeby spotykał

siej z ludźmi Kingsleya? Zgodnie ze słowami Bliss, z Kingsleyem także nie można było

nawiązać kontaktu. Schuyler nadal nie rozumiała, dlaczego Martin, który okazał się

zreformowanym, ale jednak srebrnokrwistym, mógł powrócić do służby jako venator. Jej

dziadek nie należał do łatwowiernych, więc musiał mieć naprawdę dobry powód, żeby

ponownie zaufać Kingsleyowi, szczególnie po tym, co stało się w Wenecji.

Ale mimo wszystko...

Martwiła się.

Zamknęła oczy i pomyślała o dziadku. Przypomniała sobie jego lwią grzywę, arystokratyczną

sylwetkę.

Otrzymała natychmiast odpowiedź.

Co ty tu robisz? - zapytał gniewnie Lawrence. Był najwyraźniej bardzo zirytowany, a co gorsza, brzmiał całkowicie normalnie.

Ratuję cię? - odpowiedziała nieśmiało Schuyler.

Usłyszała telepatyczny odpowiednik

prychnięcia. Spotkamy się w barze Palace, Za godzinę.

Kiedy zobaczyli Lawrence'a w barze hotelu Copacabana Palace, miał na sobie jak zwykle

tweedy i wełnę. Po zaczerwienionej twarzy spływał mu pot. Schuyler pomyślała, że może nie

narzekałby tak na klimat, gdyby ubrał się odpowiednio do niego.

- Miałaś zostać w Nowym Jorku - powiedział ponuro zamiast powitania. Usiedli przy barze i

Lawrence zamówił kolejkę. Dla siebie koktajl Bellini, dla wnuczki i jej zausznika — virgin

pifia colada. Nawet jeśli alkohol nie działał na wampiry, Lawrence wolał stosować się do

zasad czerwonoekrwistych i nie pochwalał picia alkoholu przez „nieletnich”.

— Ale dziadku... słyszałam, że masz kłopoty. - Schuyler wierciła się na siedzeniu. Czuła ulgę, że Lawrence jest bezpieczny, ale pod stalowym spojrzeniem dziadka własne zachowanie wydało się jej impulsywne i głupie. Coraz bardziej dochodziła do wniosku, że jej podróż była niepotrzebna i zbyt dramatyczna.

— Pierwsze słyszę - odparł Lawrence, wyciągając fajkę.

— Więc dlaczego mi nie odpowiadałeś? — zapytała Schuyler. - Martwiłam się.

Lawrence przez chwilę ssał cybuch.

— Nie otrzymałem żadnych wiadomości od ciebie. Nic, do dzisiaj — wyjaśnił, wypuszczając dym.

Kelnerka przyniosła zamówione drinki i stuknęli się kieliszkami.

— Tu nie wolno palić, proszę pana — zwróciła uwagę.

— Oczywiście — mrugnął Lawrence i nadal palił fajkę, wyczarowując na stole srebrną popielniczkę.

Oszołomiona kelnerka, kolejna ofiara uroku, odeszła. Lawrence spojrział na Schuyler.

— Ćwiczyłaś to, czego cię uczyłem? Koncentrowanie się na mojej duszy?

— Tak, oczywiście - odparła trochę niecierpliwie Schuyler.

— Wiadomości telepatyczne są jakoś szyfrowane, prawda? — wtrącił się Olivet — Czy ktoś mógłby... nie wiem... złamać je? Albo jakoś wymazać?

— To nie działa w ten sposób — powiedziała Schuyler: — To nie są maile w internecie. Urok stanowi bezpośrednią linię do czyjegoś umysłu. Nie można... popsuć tego. Prawda, dziadku?

— Nie jestem pewien. Być może jest coś na rzeczy w tym, co mówisz, młody człowieku —

odezwał się z namysłem Lawrence, sącząc drinka. — Korzystanie z telepatii opiera się na

wampirzej zdolności kontaktu z „drugą stroną”, przy wykorzystaniu umiejętności, które

ludzie określają mianem zjawisk paranormalnych. Źródło naszej mocy leży na granicy

wymiarów, w miejscu, gdzie zanikają bariery między światem duchowym a materialnym.

— I to właśnie w Corcovado znajduje się przejście -
dopowiedziała Schuyler.

— Tak — potwierdził jej dziadek, a bruzdy na jego czole pogłębiły się.

— A Kingsley? Widziałeś się z nim? — zapytała Schuyler.

— Pracujemy razem.

— Czyli on też nie zniknął.

Jej dziadek sprawiał wrażenie zaskoczonego,

— Nie, nie zniknął. Cały czas jesteśmy w kontakcie.
Schuyler potrząsnęła głową.

— Po prostu... słyszeliśmy... — powiedziała słabym głosem — że ty i Kingsley... nieważne.

Lawrence, nadal zatopiony w myślach, dopił drinka.

Oliver przeprosił i odszedł od stolika, żeby odebrać komórkę, a Schuyler skorzystała z okazji,

żeby zapytać dziadka o coś, co dręczyło ją od tygodni.

Ale nie usłyszała takiej odpowiedzi, na jaką liczyła.

Lawrence spojrzał wprost na wnuczkę, marszcząc brwi.

- Nie istnieje żaden sposób. Zakładając, że Jack zerwałby swoją więź, nie będzie dla niego ucieczki. To sprzeczne z naszymi prawami. Z Kodeksem Wampirów. Jeśli jego bliźniaczka powoła się na jego zobowiązania, rozpocznie się proces. Gdyby został uznany za winnego, będzie potępiony. Spłonie. A jeśli wybierze ucieczkę zamiast podporządkowania się wyrokowi, jego bliźniaczka musi wymierzyć mu sprawiedliwość. Schuyler czuła, że trudno jej oddychać.

- Ale Allegra... żyje.

—Allegra praktycznie popełniła samobójstwo. Charles stwierdził, że wyrok nie może zostać wykonany, gdy jest nieprzytomna. Ale gdyby się zbudziła, musiałaby podlegać prawu, podobnie jak on.

- Więc dlaczego Charles ma wciąż nadzieję, że ona się kiedyś obudzi? — zapytała Schuyler, myśląc o Charlesie klęczącymi przy łóżku matki.

- Charles odmawia przyjęcia do wiadomości zerwania więzi.; Ale będzie musiał. Jeśli Allegra

się obudzi, Zgromadzenie będzie domagać się procesu.

- Ale ty jesteś Regisem. Mógłbyś ją uratować — nalegała Schuyler. Mógłbyś uratować Jacka.

- Nikt nie stoi ponad Kodeksem, Schuyler. Nawet twoja matka — powiedział Lawrence, a

Schuyler przysięgłaby, że w jego głosie zadźwięczała udręka.

- Więc Jack tak czy inaczej musiałby zginąć.

Lawrence odchrząknął i wystukał popiół z fajki do srebrnej i popielniczki.

— Nawet gdyby udało mu się uniknąć sądu, jeśli zerwie więź, jego dusza zacznie słabnąć.

Ponieważ należy do naszego rodzaju, nie może umrzeć, ale będzie w pełni świadomy

postępującego paraliżu. Na szczęście nigdy nie kusiło go, by złamać swoje śluby. Abbadon to

flirciarz i lekkoduch, ale w głębi duszy pozostaje wierny. Nie zerwie tak łatwo więzów z

Azrael. Ale powiedz mi, skąd to zainteresowanie?

- Po prostu uczyliśmy się o więzi na zebraniach Komitetu, dziadku.

A więc dlatego Jack nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Ponieważ nie istniał sposób na zerwanie więzi. Okłamywał ją, chociaż było to kłamstwo zrodzone z miłości. Nie było dla nich nadziei. Narzązał się, postępując wbrew przeznaczeniu.

Za to Mimi miała rację. Mimi mówiła prawdę.

Bez odnowienia więzi Jack nigdy nie stanie się w pełni wampirem, jakim powinien być.

Pozostanie tylko cieniem samego siebie. Wyniszczenie będzie postępowało powoli, przez

stulecia, ale nieustannie. Jego dusza zacznie słabnąć, umierać. A jeśli to go nie wykończy,

dosięgnie go prawo. Mimi będzie go ścigać. Rada skáže go na śmierć przez spalenie.

Kochając Schuyler, ryzykował całą swoją duszę. Im dłużej się spotykali, w tym większym pogrążał się niebezpieczeństwie.

Musiała to przerwać.

Pomyślała z melancholią o ich ostatnim spotkaniu. O niebiańskim wieczorze pełnym sztuki i

poezji, o tym, jak przystojnie i odważnie wyglądał, mówiąc o zerwaniu więzi. O tym, ile dla niej ryzykował. Znowu przypomniał jej się obraz Schielego. Istniał powód, dla którego tak go uwielbiała. Kochankowie, obejmujący się, jakby to miało być pożegnanie. Zupełnie jak w Zerwaniu Anne Sexton, historia Schuyler musiała się skończyć złamanym sercem.

Nie będzie więcej tajemnych spotkań. Nie będzie więcej wsuwanych pod drzwi książek. Nie będzie więcej sekretów.

Zegnaj, Jack.

Niezależnie od tego, jak trudne to będzie, jak bardzo zachwieje jej własną wolą życia, Schuyler wiedziała, co musi zrobić. Musi raz jeszcze skłamać. Powiedzieć kłamstwo, które go uwolni.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Ból. Przeszywający ból. Jakby ktoś wbijał w jej serce rozżarzony pogrzebacz. Piekące, palące uczucie. Miała wrażenie, że jej skóra staje się czerwona, a potem czernieje, czuła swąd palącego się mięsa. To w niczym nie przypominało ataku w Repozytorium. Nie mogła tego przeżyć.

Bliss przedzierała się przez senne opary, zmuszając się do powrotu w realność. Obudź się!

Obudź się! Miała wrażenie, że jednocześnie dusi się i jest rozrywana na kawałki. Ale resztkami sił, najwyższym wysiłkiem, zdołała odepchnąć od siebie ból.

Rozległ się odgłos uderzenia i krzyk.

Zamrugła, budząc się, i usiadła na kanapie. Zdrzemnęła się w apartamencie po powrocie z plaży. Nadal próbowała się zorientować, co się właściwie stało, gdy drzwi otworzyły się na oścież, a w progu stanęli jej rodzice.

W półmroku zobaczyła Jordan zwiniętą w kłębek na podłodze, trzymającą coś jasnego i migoczącego.

Rodzice szybko, niemal profesjonalnie ocenili sytuację, zupełnie jakby oczekiwali, że coś podobnego może się wydarzyć.

— BobiAnne, szybko, dopóki jest ogłuszona. Rzuć zakłęci — nakazał Forsyth, zawijając młodszą córkę w hotelowe koce.

— Co się dzieje? Co wy robicie? - zapytała ochryple Bliss. Wszystko działo się zbyt szybko, by mogła to ogarnąć.

— Patrz. — Forsyth wyjął z dłoni Jordan niewielkie ostrze i rzucił je swojej żonie. — To ona otworzyła sejf.

Bliss próbowała poukładać wydarzenia, ale logiczne myślenie nie przekraczało w tym momencie jej możliwości. Była oszołomiona i zdezorientowana. Czy całkiem oszalała, czy też Jordan właśnie próbowała ją zabić

Wzdrygnęła się, kiedy macocha położyła jej rękę na czole.

— Ma gorączkę — powiedziała do męża. Następnie zsunęła bluzkę Bliss i obejrzała jej piersi.

- Ale chyba nic jej nie jest.

Forsyth skinął głową i przykląkł, drąc prześcieradło Bliss na pasy, którymi związał koce krępujące Jordan.

Bliss popatrzyła na pierś, myśląc, że może to szmaragd zadał jej ból. Miała wrażenie, że

kamień wypalił ślad na jej skórze, piętnując ją. Ale kiedy go dotknęła, poczuła chłód, jak

zawsze. Skóra pod nim była gładka i nienaruszona. W tym momencie zrozumiała. Szmaragd

ocalił ją przed ostrzem broni, która miała przeszyć jej serce.

— Wszystko w porządku — oznajmiła BobiAnne po zbadaniu źrenic i pulsu Bliss. - Grzeczna

dziewczynka. Napędziłaś mi niezłego stracha - stwierdziła w końcu, klepiąc się po

kieszeniach w poszukiwaniu swoich marlboro light.

BobiAnne zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko, aż na końcu uformowała się

kolumnienka popiołu. Bliss zauważyła, że macocha ma wieczorowy makijaż, a oboje rodzice

są ubrani w eleganckie stroje na oficjalne przyjęcie.

— Co się stało? Dlaczego Jordan mnie zaatakowała? - spytała Bliss, w końcu odzyskując głos i spoglądając na ojca.

Musiała poczekać kilka minut na odpowiedź. Forsyth Llewellyn cieszył się w Senacie opinią umiarkowanie postępowego, był postrzegany jako osoba zawsze gotowa do negocjacji z drugą stroną i do poszukiwania konsensusu między zwaśnionymi stronami. Jego gładki teksański urok przydawał się podczas podjazdowej wojny legislacyjnej.

Bliss widziała, że w tym momencie wykorzystuje ten urok na niej.

— Kochanie, musisz zrozumieć, że Jordan się od nas różni - powiedział Forsyth, poprawiając więzy krępujące jego młodszą córkę. — Nie jest jedną z nas.

— Jedną z nas? Jak to?

— W swoim czasie zrozumiesz — zapewnił ją.

— Zmuszono nas do przyjęcia jej do rodziny. Nie mieliśmy wyboru! - wybuchnęła

BobiAnne. Jej głos ociekał goryczą. - Cordelia Van Alen się przy tym uparła. Wścibska stara wiedźma.

— Jordan nie należy do naszej rodziny — dodał ojciec Bliss.

— O czym wy mówicie? — jęknęła. To zaczynało być zbyt wiele. Miała dość wszystkich

tych sekretów i kłamstw. Miała dość trzymania jej w całkowitej niewiedzy. - Wiem wszystko

o Allegrze - oznajmiła nagle, patrząc na nich wyzywająco.

BobiAnne spojrzała na męża, jakby chciała powiedzieć „a n mówiłam?”.

- Co wiesz o Allegrze? - zapytał Forsyth z całkowicie niewinną twarzą.

- Znalazłam to... - Bliss sięgnęła do kieszeni i pokazała im podpisaną fotografię, którą do tej

pory zawsze miała przy sobie. - Okłamałeś mnie.

Powiedziałeś, że moja matka nazywała się

Charlotte Potter. Ale Charlotte Potter nigdy nie istniała, prawda?

Forsyth zawahał się.

- Nie... Ale to nie jest tak, jak przypuszczasz.

- Więc słucham.

- To skomplikowane - westchnął. Błądził spojrzeniem po wspaniałym widoku plaży za

oknem, unikając wzroku córki. - Pewnego dnia, kiedy będziesz gotowa, powiem ci. Ale nie

teraz.

To było wkurzające. Ojciec znowu robił to samo: unikał pytań, nie dopuszczał jej do głosu.

Odgradzał ją od prawdy.

- A co będzie z Jordan? - zapytała.

- Nie martw się. Nie będzie już mogła cię skrzywdzić - powiedział uspokajająco Forsyth. -

Odeślemy ją w bezpieczne miejsce.

- Do tego ośrodka odwykowego?

- Tak, czegoś w tym rodzaju - odparł ojciec.

- Ale dlaczego?

- Bliss, skarbie, tak będzie dla niej lepiej - powiedziała BobiAnne.

- Ale... - Bliss była całkowicie dezorientowana. Jej rodzice mówili o Jordan, jakby była psem

odsyłanym na wieś. Mówili o niej, jakby się w ogóle nie liczyła.

Ale Bliss musiała przed sobą przyznać, że te dziwne stosunki rodzinne nie były niczym

nowym. Pomyślała, że BobiAnne nigdy nie mówiła z czułością o Jordan, zawsze podkreślała,

że woli Bliss, która nie była nawet jej prawdziwym dzieckiem. Ojciec zawsze trzymał się na

dystans od swojej dziwnej młodszej córki.

Kiedy Bliss była młodsza, zauważyła obojętność rodziców wobec młodszej siostry. Teraz

zrozumiała, jak patologiczne to było.

Jej rodzice nienawidzili Jordan.

Od zawsze.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Dzwonili z hotelu — wyjaśnił Oliver, wracając do stolika. — Ktoś właśnie wyjechał i

zwolnił im się pokój.

Pytali, czy chcę go wynająć. Więc będziesz miała własny apartament - zwrócił się do

Schuyler, zachowując neutralny wyraz twarzy.

— Dzięki — odpowiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie, nawet jeśli czuła, że ma dziurę w miejscu serca. Zmusiła się jednak, żeby nie myśleć o Jacku. Potem... potem będzie miała czas na żałobę.

— Więc dlaczego Rada tu przyjechała? — zapytał Oliver. — Czy to z powodu Lewiatana?

— Rada jest tutaj? - spytał ostro Lawrence.

— A! Zapomniałam powiedzieć. Tak, są tutaj. Wszyscy — odparła Schuyler. - Chyba przyjechali wczoraj.

Lawrence osuszył kieliszek, zastanawiając się nad nowo otrzymaną informacją. Kelnerka pojawiła się znikąd, zupełnie jakby także dysponowała wampirzymi zdolnościami, podając mu kolejny koktajl.

- Jeszcze jedna virgin colada? - zapytała, wskazując kieliszki, wypełnione do połowy topniejącą żółtą breją.

- Dla mnie whisky — odkaszlnął Oliver.

- Dla mnie też - dodała szybko Schuyler, postanawiając zaryzykować późniejsze kazanie

dziadka. - Kim jest Lewiatan?,

- nachyliła się do Olivera. Bar zaczął się wypełniać spieczonymi słońcem turystami,

zainteresowanymi ofertą dnia. W tle zespół grał porywającą sambę.

- Gdybyś poświęciła stosowny czas lekturom, wnuczko, nie musiałabyś zadawać tego pytania

— odparł Lawrence.

- Lewiatan to demon — wyjaśnił Oliver.

- Jeden z najpotężniejszych srebrnokrwistych wszech czasów - dodał Lawrence. - Brat

samego Księcia Ciemności i jego? prawa ręka.

Schuyler wzdrygnęła się.

- Ale co on ma z tym wspólnego?

Przeszkadzała jej głośna muzyka. Żywa, radosna melodia; ostro kontrastowała z ponurym

tematem ich rozmowy.

- Corcovado jest więzieniem Lewiatana — odparł Lawrence.

- To jedyne miejsce na Ziemi, zdolne go utrzymać.
Okazał się zbyt silny, aby dało się go
zabić i zbyt zakorzeniony tu, na Ziemi, aby można go
było odesłać do piekła. Kiedy został
schwyty, uwięziliśmy go pod posągiem Zbawiciela.
Pokonała go twoja matka.

Właśnie to Lawrence ukrywał przed Schuyler ostatniego
wieczoru przed wyjazdem. Chronił
ją przed prawdą, dlatego nie wyjawiał wszystkiego o
Corcovado. Lewiatan. Instynktowna
nienawiść, którą poczuła w dzień pokazu mody. Gdyby
poświęciła więcej uwagi książkom,
mogłaby się szybciej zorientować. Ale była zbyt zajęta
czym innym...

- Tak. To był właśnie on, podczas trzęsienia ziemi -
potwierdził Lawrence. - Właśnie z jego
powodu Corcovado jest strzeżone przez najlepszych
venatorów. Zawsze dbaliśmy specjalnie
o to miejsce.

- Teraz rozumiem - powiedziała Schuyler. - Znaczy,
rozumiem, czemu tu przyjechałeś.

Lawrence skinął głową.

- Kiedy Kingsley przyniósł pierwsze wieści o dziwnych przypadkach zaginięcia

błękitnokrwistych w Rio, byłem trochę wytrącony z równowagi. Po trzęsieniu ziemi

uświadomiłem sobie, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce i upewnić się, że Corcovado jest

nadal chronione. Przysiągłem, że nie opuszczę tego miasta, dopóki nie zyskam absolutnej

pewności, że zagrożenie - jeśli istniało - całkowicie minęło.

Potem, kilka tygodni temu, venatorzy potwierdzili, że Yana, ta zaginiona młoda wampirzyca,

ucieła po prostu na wakacje ze swoim chłopakiem, tak jak podejrzewała jej matka. W

międzyczasie grupa Kingsleya po długotrwałym przeczesywaniu Andów odnalazła

zaginionego patriarchę południowamerykańskiego klanu, Alfonsa Almeidę. Poza kilkoma

odmrożeniami i chroniczną niezdolnością do posługiwania się mapą nic mu nie było.

Dlatego przekazałem ci, że wszystko jest na dobrej drodze. Nie doszło do próby złamania

zabezpieczeń.

- A Lewiatan? — zapytał Oliver.

- Uwięziony na wieki, na ile mogę stwierdzić - powiedział lekceważąco Lawrence.

— Ale przekaz... trzęsienie ziemi... - spierała się Schuyler, próbując przekrzyczeć ogłuszający

gwar tłumu i niestrudzone bębny wybijające rytm samby.

- To tylko oznaki jego starań w celu uwolnienia się z okopów. Nic, czego Lewiatan nie

próbowałby wcześniej. Ale to bezskuteczne. Corcovado utrzyma go na zawsze - Lawrence

postukał kieliszkiem w blat, podkreślając ostatnie zdanie.

- Więc dlaczego Rada uznała, że Corcovado jest zagrożone? — spytała Schuyler.

— Dlatego przyjechali? Skinęła głową.

- Nie wiem. Ale Nan musiała mieć swoje powody, regentka nigdy nie działa bez uzasadnionej

przyczyny. - Lawrence dopił drinka. - Z drugiej strony Kingsley może mieć rację - mruknął

cicho do siebie.

— Kingsley! - wybuchnęła Schuyler. - Jak możesz mu ufać? Mówiłeś, żeby nigdy nie ufać

błyszczącym powierzchniom. A Kingsley jest tak gładki i śliski, jak to tylko możliwe.

— Kingsley w rzeczywistości udowodnił swoją lojalność wobec Zgromadzenia w sposób

daleko wykraczający poza jego oba wiązki. Nie wyrażaj się o nim tak pogardliwie — polecił

surowym tonem Lawrence.

— Ten jego wyczyn w Repozytorium uważasz za dowód lojalności?

- Kingsley robił tylko to, co mu nakazano. Wypełniał rozkazy Regisa.

- Chcesz powiedzieć, że Charles kazał mu wezwać srebrno-krwistego? - Schuyler prawie

roześmiała się z oburzenia. Michał był archaniołem. Nie byłby zdolny do takiej zdrady.

- Wszystko ma swoją przyczynę. Być może także nagłe pojawienie się Starszych w tym

mieście - wyraził przypuszczenie Lawrence.

- Wiecie, Almeidowie wyprawiają dzisiaj kolację - wtrącił Oliver. - Zaprosili całą Radę -

spojrzał na zegarek. - Chyba już się zaczęło.

Lawrence podniósł rękę, prosząc o rachunek.

- Bardzo dobrze. Być może tam znajdziemy odpowiedzi. A nawet jeśli nie, Almeidowie znani są ze wspaniałych przyjęć.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Rozległo się mocne pukanie do drzwi, a Bliss zauważyła, że oboje rodzice podskoczyli na ten dźwięk. Forsyth szybko podszedł i spojrział przez dziurkę od klucza.

— W porządku — oznajmił, ujmując klamkę.

Do pokoju wkroczyła surowa, elegancka kobieta z pojedynczym czarnym pasmem w białych włosach. Towarzyszyło jej dwóch służących.

Bliss zawsze trochę obawiała się Strażniczki Cutler. To właśnie ona sprawdzała jej umysł w poszukiwaniu skażenia przez srebrnokrwistych. Nadal pamiętała niepokojące uczucie, towarzyszące temu badaniu.

- Gdzie Obserwatorka? - zapytała Nan Cutler.
BobiAnne wskazała tobołek w kącie pokoju.

— Wprowadziliście ją w stan uśpienia?

- Tak - skinął głową Forsyth. - Sporo czasu minie, nim się obudzi.

— Znaleźliśmy to przy niej - BobiAnne podała Strażniczce broń Jordan.

— Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby go zniszczyć, jest zbyt niebezpieczny — odezwał się

Forsyth. — Sądziłem, że dobry sejf i zaklęcie wystarczą, ale najwyraźniej potrafiła sobie z

tym poradzić. Jest o wiele za sprytna i napyta sobie biedy...

— Znaleźć jakiś sposób... — powtórzyła Nan. - Jest odporny nawet na czarny ogień.

— Poradzisz sobie? - zapytał Forsyth.

— Nikt cię nie śledził? — chciała wiedzieć BobiAnne. Bliss zobaczyła, że ponura Strażniczka potrząsa głową.

— Nie, nikt nas nie śledził. Uważaliśmy.

Zdumiewające, że czekała tak długo, by wykonać

swój ruch. Ale nie martwcie się, sprawię, że nie będzie już dla nas zagrożeniem — spojrzał pogardliwie

na zwinięte koce. — Cordelia Van Alen jak zawsze była niespełna rozumu, jeśli

sądziła, że posłanie Obserwatora do waszej rodziny cokolwiek pomoże.

— Czyli nas podejrzewała? — zapytała BobiAnne. - Jasne, że tak - warknął Forsyth. - Nie

doceniasz jej, Nan

Starucha była przenikliwa. Wiedziała, że coś się święci.

— Cóż więc za szkoda, że ta mała zabójczyni była równie nieskuteczna, jak i ona sama —

Nan dała znak, a jej służący podnieśli tobołek i opuścili pokój.

Bliss nie miała pojęcia, o czym mówią, ale uznała, że musi się dowiedzieć. Co podejrzewała

Cordelia Van Alen?

— Musimy się pospieszyć - powiedziała BobiAnne do męża. - Kolacja zaczyna się za godzinę.

Forsyth skinął głową.

— Co się dzieje? Dokąd idziecie? - Bliss walczyła ze łzami bezsilności. — Dokąd oni

zabierają Jordan? — Zastanawiała się, co skłoniło jej siostrzyczkę do zrobienia czegoś tak szalonego. Ale rodzice odmówili wyjaśnień i nie powiedzieli ani słowa poza wcześniejszymi lakonicznymi komentarzami.

Wyszli na uroczystą kolację u Almeidów, jakby nic się nie stało. BobiAnne poleciła Bliss, żeby zamówiła z hotelowego menu, co tylko zechce. Musiała to przyjąć do wiadomości.

Jordan została zabrana.

Młodsza siostra, która kiedyś towarzyszyła jej na każdym kroku, starając się naśladować każdy jej ruch. W wieku pięciu lat Jordan chciała mieć szopę kręconych włosów, jak siostra, i zmusiła pokojówki do zawinięcia jej uparcie prostych włosów na lokówkach, żeby zaczęły przypominać włosy Bliss. Kiedy była malutka, mówiła na nią „Biss”, bo nie umiała jeszcze prawidłowo wymówić jej imienia. Dopiero co zaofiarowała jej czekoladę i pocieszenie. Bliss poczuła łzy w oczach.

Zrozumiała, że nigdy już nie zobaczy Jordan.

Czemu ronisz łzy? — zapytał niski, współczujący głos.

Jestem smutna.

Jordan próbowała zranić Bliss.

Wiem. Ale była moją siostrą, moją przyjaciółką.

Jaki to przyjaciel, który zadaje ból?

Bliss nagle przypomniała sobie uczucie, jakby ktoś rozrywał ją na kawałki. Nigdy wcześniej

w całym swoim życiu nie czuła takiego bólu. Jordan była za to odpowiedzialna. Celowała w

jej serce. Próbowala zabić Bliss swoją bronią — czymś jasnym i złocistym jak miecz.

Ale z całą pewnością nie był to miecz, który jej ojciec trzymał w gabinecie. Miecz, który nosił

Forsyth po ataku na Repozytorium - podczas którego srebrnokrwisty uśmiercił Priscillę

Dupont - miał matową, złocistożółtą barwę. Ostrze, którego użyła Jordan, było lśniące i

emanowało czystym białym światłem.

Nan Cutler powiedziała, że nie można go zniszczyć.

Bliss nagle przypomniała sobie słowa

Mimi: zagięło Ostrze Sprawiedliwości. Czyżby jej ojciec posiadał miecz Michała? Jedyłą broń zdolną zabić Lucyfera? Miecz archanioła? A jeśli tak, to czemu Jordan użyła go przeciwko niej? Bliss poczuła nagle pulsujący ból w głowie.

Nie miałam wyboru - oznajmiła po południu jej siostra. Czemu nie miała?

Bliss stopniowo przestawała żałować Jordan. Zaczęła czuć ulgę, że jej siostra została zabrana.

Dokądkolwiek ją zabiorą, Jordan zasłużyła, żeby się tam znaleźć. Bliss miała nadzieję, że będzie to głęboki, mroczny loch, w którym Jordan przez resztę wieczności może żałować swojego postępuku.

Doskonale — zabrzmiał głos w jej umyśle. Teraz go rozpoznawała. Brzmiał jak głos

dżentelmena w bieli. Tego, który nazywał ją „córka”.

Po raz kolejny patrzyła, nie widząc niczego. Zaczęło się zamroczenie. Tak, to właśnie działo

się w tym momencie. Spróbowała zachować wzrok, spróbowała z tym walczyć, ale ten głos w

jej głowie powiedział „Przestań”. I Bliss przestała.

Poczuła głęboką ulgę, kiedy się poddała.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Na wieczorne przyjęcie Mimi wybrała uroczą sukienkę koktajlową Valentino: czarno-białą,

bez ramiączek,

z obcisłą górą, podkreślającą wąską talię. Szeroka czarna opaska z teatralną koronkową

kokardą dodawały akcent dziewczęcej lekkomyślności.

Kupiła tę kreację na pokazie mody i

zabrała do Brazylii, wiedząc, że będzie musiała ostro konkurować z tymi wszystkimi pannami

Almeida, da Lima i Ribeiro - irytująco pięknymi

Brazylijkami mającymi wystrzałowe

garderoby.

Nadal nie rozumiała, co właściwie mają robić w Rio de Janeiro. Jasne, chodziło o coś

związanego z Lawrencem. I chyba Kingsleyem, chociaż tego nie była pewna. Nan Cutler, ta

pomarszczona wiedźma, udzielała wyjątkowo skąpych informacji. Ale tak działała Rada: nie

podważali decyzji przywódców. Nan Cutler była regentką i jeśli chciała, żeby Starsi pojechali do Brazylii, to tak właśnie się działo.

Ochroniarze odebrali Mimi z hotelu i zawieźli do ogromnej willi. Mimi pomyślała, że jest w tym jakaś ironia. Wprawdzie z bogatej posiadłości jej gospodarzy rozciągał się wspaniały widok na miasto, jednakże jeszcze lepszy widok miały prawdopodobnie te nędzne małe chatki, które widziała po drodze, przycupnięte na krawędziach urwisk.

Spodziewała się większego przyjęcia i z zaskoczeniem odkryła, że zaproszeni zostali tylko członkowie Rady. Brazylijczycy zazwyczaj urządzali imprezy z rozmachem, spraszając tancerzy samby i świętując przez całą noc. Ale ten wieczór mijał spokojnie. Mimi przed obiadem prowadziła grzeczną konwersację z kilkorgiem Strażników oraz onieśmielającą żoną Alfonsa Almeidy, żoną Beatrice.

Jako pierwsze danie podano gorącą i gęstą zupę grzybową, klarowny wywar, w którym

zanurzona była górka grzybowego musu. Mimi ostrożnie spróbowała - pycha!

— A więc Edmundzie, wracając do gości zaproszonych na wiosenną galę... - powiedziała do

swojego sąsiada po prawej ręce. Miała nadzieję, że na przyjęciu spotka apetycznych

Brazylijczyków, ale skoro żadnego nie miało być, musiała zadowolić się omawianiem

zaległych spraw Komitetu.

— Czy narzeczona burmistrza już odmówiła? — zapytał Edmund, wycierając kąciki ust serwetką.

Mimi skrzywiła się.

— Nie pytałam jej. Nie mówisz poważnie. Wygląda jak koczokodan i nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana baletem.

Edmund Oelrich parsknął krótkim śmiechem i upił łyk wina, a potem nieoczekiwanie się

rozkasłał. Mimi pomyślała, że się zakrztusił, ale nagle dostrzegła strużkę krwi wypływającą z

jego ust. Krzyknęła. Dowódca Straży został pchnięty od tyłu. Po lewej stronie Sophia Dupont

upadła twarzą w talerz, a z jej pleców sterczał wbity po rękojęć srebrny sztylet.

Raptem zgasły światła i wszystko ogarnęła ciemność.

To pułapka, pomyślała Mimi, czując nieludzki spokój.

Zanurkowała pod stół, szybsza od

noża, który zamiast w jej serce, wbił się w oparcie krzesła.

Srebrnokrwieńci!

Oczywiście. Ale Almeidowie... pochodzili z linii królewskiej. Jak mogli zostać skażeni?

Walka była cicha i szybka. Rzadko rozlegał się krzyk lub jęk, słyszeć było tylko jeżące włos

na głowie gulgotanie krwi, wypijanej ze Strażników.

Trwała rzeź Rady.

Mimi spróbowała zebrać myśli, przywołać to, co wiedziała, przypomnieć sobie, jak z nimi

walczyć. Boże, minęły całe wieki od czasów, kiedy ostatni raz stawała naprzeciwko tych

bestii. Bliss mówiła, że w czasie ataku na Repozytorium widziała cienistą istotę o

szkarłatnych oczach ze srebrnymi źrenicami. Ale srebrnokrwieńci mogli przybrać dowolny

kształt, kryjąc swoją prawdziwą formę.

Mimi zmusiła się do myślenia, do pamiętania. W odpowiedzi wspomnienia zalały jej umysł

obrazami, przez które omal nie zaczęła krzyczeć. Bieg przez mroczny las, gałęzie drzew

drapiące jej skórę, dźwięk skórzanych sandałów uderzających o ziemię, gwałtowny przypływ

adrenaliny z powodu ucieczki, aby ratować życie... Ale zaraz, to ona prowadziła pościg.

Bestia uciekała przed nią. Widziała na jej skórze znak Lucyfera, lśniący w ciemności.

Powróciła do teraźniejszości. Choć w sali było kompletnie ciemno, dzięki wampirzemu

wzrokowi zobaczyła, że Dashiell Van Horn został dźgnięty w serce, a Cushing Carondolet

jest trzymany w żelaznym uścisku przez srebrnokrwistego, który wypił ze starszego Strażnika

całą krew. Od ścian odbijały się ohydne dźwięki, drapieżne wampiry wysysały lub zabijały

swoje ofiary. Kiedy kończyły posiłek, przyjmowały kształty ofiar. Nie było już wampirzycy

zwanej Dorothea Rockefeller. Zastąpił ją chodzący trup z pustymi oczami.

Zbyt wielu Starszych było powolnych i bez formy. Zaniedbali ćwiczeń. Zapomnieli, jak się walczy.

Mimi zadrżała, sięgając po miecz, mający w tym momencie rozmiar szpilki i schowany w wyszywanej cekinami torebeczce. To była jedyna szansa, by ujść stąd z życiem. Ale mieli nad nią przewagę liczebną, wiedziała, że nie zdoła wywalczyć drogi do wolności. Nie w tej chwili. Było ich zbyt wielu, żeby mogła sobie z nimi sama poradzić, Boże, jak wielu! Kto mógł się domyśleć? Skąd się wzięli? Musiała pozostać w ukryciu, tylko tak: mogła przeżyć.

Zaczęła ostrożnie przesuwać się przez jadalnię w stronę holu, kierując się do wyjścia. Na razie udawało jej się uniknąć! zwrócenia na siebie uwagi. Aż do tej chwili.

- Azrael - głos był zimny i złowrogi.

Mimi obróciła się i zobaczyła stojącą za nią Nan Cutler, trzymającą miecz przy jej szyi.

Strażniczka zrzuciła przebranie starszej damy -
wyglądała na równie młodą jak Mimi i
nieskończenie silną. Jej siwe włosy przybrały barwę
polerowanego złota, a pojedyncze krucze
pasma stało się lśniąca smugą czerni.

- Ty także! - zawołała oskarżycielsko Mimi. Przecież
Curie-rowie należeli do pierwszej

siódemki. Byli jednym z najstarszych i najbardziej
poważanych rodów. Prawdziwe imię Nan

Cutler brzmiało Harbona, Anioł Zagłady. Walczyły
ramię w ramię podczas wielkiej wojny,

kiedy Michał poprowadził niebieskie zastępy,
dziesiątkując wampirzych odszczepieńców. -

Ale dlaczego? - zapytała Mimi. Odwróciła się,
błyskawicznie dobywając miecza. Zdołała

odepchnąć ostrze Nan.

W odpowiedzi Nan cięła powietrze w miejscu, gdzie
przed momentem stała Mimi. Jej oczy
zaśniły.

- Nie musisz ginąć - powiedziała, rzucając się do
przodu. Mimi stęknęła, parując cios i
wyprowadzając zwinny kontratak.

- Możesz do nas dołączyć. Dołączyć do swoich braci i siostr, którzy wciąż prowadzą walkę.

Ta głupia wiedźma naprawdę przypuszcza, że przejdę na ich stronę? Po tym wszystkim, przez

co ja i Abbadon musieliśmy przejść, aby osiągnąć ten kruchy spokój na Ziemi? - pomyślała

Mimi.

- Jesteś jedną z nas. Nie należysz do Światła. To nie jest twoja prawdziwa natura, o

Śmiercionośna.

Mimi nie zaszczyciła jej odpowiedzią, koncentrując się na znalezieniu słabego punktu Nan.

Zwarte w walce przesuwały się po sali, którą zaczynał wypełniać czarny dym.

Zamierzają spalić dom, pomyślała z nagłą paniką Mimi. Spalić go czarnym ogniem, jedynym

ogniem zdolnym zniszczyć sangre azul... nieśmiertelną błękitną krew, płynącą w ich żyłach.

Niszcząc krew, niszczyło się wampira, jego wspomnienia przepadały bezpowrotnie. To była prawdziwa śmierć dla istot z jej rodzaju.

Ostrze Nan dosięgło ramienia Mimi, wytaczając nareszcie pierwszą krew. Suko. To bolało !

Mimi zapomniała o strachu i skoczyła naprzód, nie bacząc już na własne bezpieczeństwo.

Wzniosła bojowy okrzyk, który w tym momencie pojawił się w jej pamięci. Ten, którym sam

Michał zwoływał swoją armię podczas bitwy.

—NEXÍINF1DELIS'. — ryknęła. - Śmierć niewiernym!
Śmierć zdrajcom!

Była Azraelem, złocistym i przerażającym aniołem. Jej włosy, twarz i miecz zaśniły mocnym blaskiem jak rozzarzone.

Potężnym cięciem rozplatała fałszywą Strażniczkę na dwoje.

A potem zachwiała się i cofnęła. Czarny dym wypełniał jej płuca. Musiała się stąd wydostać.

Po omacku trafiła do drzwi frontowych i otworzyła je na oścież — natrafiając na wchodzącego

czarnowłosego mężczyznę. W ułamku sekundy przycisnął nóż do jej szyi.

Straciła całą nadzieję.

Mężczyznę, który ją zaatakował, był Kingsley Martin.
Srebrnokrwisty zdrajca. To był jej
koniec.

CZTERDZIEŚCI

Lawrence uparł się, że będzie prowadzić. Jechali teraz
mroczną i krętą autostradą. Schuyler
zauważyła

drobne, migoczące światełka na zboczach wzgórz i
mimowolnie zachwyciła się ich
widokiem.

- Tak, tyle że to są najpewniej slumsy, co znaczy, że
infrastruktura elektryczna jest położona

nielegalnie. I stanowi potencjalne zagrożenie pożarowe
- zauważył Oliver.

Schuyler westchnęła. To miasto było pełne skrajności:
nędza i bogactwo, przestępczość i

turystyka tworzyły ekscytujący, oszałamiający koktajl.
Nie dało się podziwiać jego piękna,

nie zauważając jednocześnie brzydoty.

Minęli wyjątkowo ostry zakręt, gdy Lawrence
nieoczekiwanie zjechał na pobocze i osunął się

na siedzeniu.

— Dziadku? - krzyknęła przestraszona Schuyler.

Zobaczyła, że jego źrenice poruszają się

gwałtownie, jakby przez sen, chociaż nie spał. Odbierał wiadomość.

Kiedy przekaz się skończył, twarz Lawrence'a była popielą-ta. Przez moment Schuyler

myślała, że zaraz zemdleje.

— Co się stało? Coś jest nie tak?

Jej dziadek wyciągnął chusteczkę i otarł nią czoło.

— To był Edmund Oelrich, na chwilę przed śmiercią.

Cała Rada została zmasakrowana. Ci,

którzy nie spłonęli, zostali pożarci.

— Wszyscy są martwi? — Schuyler gwałtownie zaczerpnęła powietrza. — Ale jak?

Dlaczego? — ścisnęła jego rękę. - Jak to martwi?

Odwróciła się do Olivera, szukając pomocy. Ale milczał, zaszokowany, a jego twarz wyrażała

bezzadne zaskoczenie.

— Almeidowie byli srebrnokrwistymi — Lawrence był tak zdenerwowany, że mówił z

trudem. - Dzisiaj zagrali w otwarte karty.
Podejrzewałem to, dlatego zostałem w Rio dłużej
niż zamierzałem, ale Alfonso pomyślnie przeszedł
próbę. Nie nosił znaku. Zostałem oszukany

- Lawrence zadrżał. - Ale nie byli sami. Edmund
powiedział, że Nan Cutler była jedną z nich.

Schuyler przygryzła wargi.

— Nan Cutler! — W głosie Lawrence'a brzmiała
rozpacz. — Podczas kryzysu w Rzymie
odegrała kluczową rolę w pokonaniu srebrnokrwistych.
Zmyliły mnie lata jej wierności
wobec Rady. To moja wina, byłem zbyt pewny siebie i
łatwowierny, zamiast cały czas mieć
się na baczności.

Lawrence gwałtownie zawrócił samochód, zmuszając
jadące z przeciwka auto do
gwałtownego skrętu w celu uniknięcia zderzenia.

- Kingsley miał rację - za bardzo wierzyłem w dawne
sojusze - powiedział, przyciskając pedał
gazu. Auto skoczyło do przodu.

- Dokąd jedziemy?

- Na Corcovado.

- Teraz? Czemu?

Lawrence mocniej ścisnął kierownicę.

- Atak na Radę może oznaczać tylko jedno:
srebrnokrwieści zamierzają uwolnić Lewiatana.

Zaparkowali przy wejściu na drogę prowadzącą do
posągu Zbawiciela i wysiedli z

samochołu. Parking był pusty i cichy, statua górowała
nad nimi, oświetlona od dołu przez

reflektory.

- Zmień postać - nakazał Lawrence Schuyler. - A ty
zostań tutaj - polecił Oliverowi.

Oliver zaczął protestować, ale jedno spojrzenie
Lawrence'a uciszyło go.

- Nie mogę - przyznała się Schuyler. - Nie potrafię
przeprowadzić mutatio.

Lawrence przybrał już postać młodego człowieka z
orlim nosem i władcą postawą, którego

widziała na Biennale w Wenecji.

- Oczywiście, że możesz - rzucił, przeskakując z
łatwością barierkę.

- Nie mogę, dziadku. Nie umiem się zamieniać w mgłę ani zwierzęta - powiedziała, idąc za jego przykładem. .

- A kto powiedział, że masz to umieć? - zapytał, kiedy biegli zakosami schodów

prowadzących do posągu. Ich kroki na betonie były niemal bezdźwięczne.

-Jak to?

— Najprawdopodobniej masz zdolności podobne do moich. Ja także nie potrafię zmienić się

w chmurę lub jakieś stworze-nie. Ale mogę zmieniać swoje rysy, przyjmując inną - chociaż

ludzką — postać. Spróbuj.

Schuyler spróbowała. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na zmianie rysów zamiast zmianie

całego kształtu. W kilka sekund stała się jedną z pulchnych, nadzianych, argentyńskich

patronas, spędzających wakacje w Brazylii.

Dotarli na szczyt góry i zatrzymali się u stóp posągu.

Nikogo tu nie było. Panowała cisza i

spokój.

Nie po raz pierwszy tego wieczoru Schuyler zastanowiła się, czy dziadek nie stracił trochę głowy. Byli chyba w złym miejscu? Po co ich tu sprowadził? Dlaczego?

— Może się spóźniliśmy. Albo wcale nie przyjdą. Powinniśmy naprawdę jechać do Almeidów i zobaczyć...

— MILCZ! — nakazał Lawrence. Schuyler zamilkła. Obeszli cokolwiek posągu. Nic. Byli sami. Schuyler poczuła przypływ paniki. Dlaczego są tutaj, kiedy gdzieś tam giną ludzie? Powinni wracać, to był okropny błąd.

Obeszła północnowschodni narożnik, przekonana, że domysły Lawrence'a były niesłuszne.

Nie było powodu, żeby...

— Schuyler! UWAŻAJ! — wrzasnął Oliver. Wspiął się za nimi na wzgórze, nie chcąc zostawać z tyłu.

Schuyler podniosła wzrok. Tuż przed nią stał mężczyzna w bieli, trzymając złoty miecz, skierowany prosto w jej pierś.

Zrobiła gwałtowny unik i upadła na ziemię. Lawrence wydobył własny miecz z ukrytej pod marynarką pochwy.

Dwa ostrza - jedno płomiennie złote, drugie lodowato srebrne - zderzyły się, a dźwięk uderzającego o siebie metalu odbił się echem od dna doliny.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Przeklęty zdrajca! — syknęła Mimi.

- Odlóż broń, Azrael - polecił spokojnie Kingsley, nie ruszając się z miejsca.

— Nie będę tak łatwą ofiarą jak inni! — warknęła.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się. - Zobaczyłem z ulicy czarny dym. Co tam się stało?

- To twoja pułapka, nie udawaj niewiniątka. Wszyscy wiemy, kim jesteś naprawdę, Croatanie.

— Mimi rzuciła mu spojrzenie pełne najgłębszego obrzydzenia.

— Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale sam właśnie uwolniłem się spod paskudnego

zaklęcia oszałamiającego - powiedział Kingsley stłumionym głosem. - Przyjechałem zabrać

Alfonsa na partię golfa i na prawdę nie wiem, jak to się stało, że znalazłem się w bagażniku własnego samochodu. Kiedy tylko zdołałem się uwolnić, przyjechałem tutaj, żeby ostrzec pozostałych.

Mimi prychnęła. Śliczną bajeczkę wciska! jej Kingsley. Znowu udawał ofiarę. Tak, jasne, został złapany. Mógł przecież bez trudu wyjść z rezydencji i wrócić przez frontowe drzwi.

Ale co mu dawało trzymanie jej przy życiu? Czemu jej po prostu nie wykończył?

Wystarczyło podciąć jej gardło i byłoby po wszystkim.

- Gdzie Lawrence? - Kingsley zakaszłał, a kolejne eksplozje wstrząsnęły posadzką, na której

stali. - Próbowałem przekazać mu wiadomość, ale nie byłem w stanie się z nim skontaktować.

- Nie ma go tutaj - odparła Mimi, zauważając, że Kingsley opuścił nóż. Mogła go zabić teraz,

kiedy się nie pilnował. Ale co, jeśli mówił prawdę? Czy może jego gra była kolejną częścią

pułapki?

Zanim zdołała podjąć decyzję, usłyszeli trzask i pojawił się Forsyth Llewellyn, niosąc

bezwładne ciało żony. Jego ubranie było osmalone, na czole widniało głębokie rozcięcie.

Więc także jemu udało się przeżyć. Mimi poczuła się trochę lepiej. Może ktoś jeszcze ocalał.

Ale gdzie się podzieli srebrnokrwieści? Kiedy powaliła Nan Cutler, pozostali rozplynie się w dymie..

- Wszyscy nie żyją - powiedziała do Forsytha. - Zostaliśmy tylko ty i ja. Widziałam, jak zginął Edmund, Dashiell, Cushing... wszyscy. I regentka.

- Nan nie żyje? — spytał z przerażeniem Forsyth Llewellyn.

- Była jedną z nich - powiedziała Mimi, której oczy zaczęły łzawić od dymu. - Sama ją zabiłam.

-Ty...

- Musimy się stąd wydostać. - Kingsley gwałtownie wypchnął ich na zewnątrz, a w

następnym momencie framuga drzwi runęła na ziemię w płomieniach.

Gdyby Kingsley chciał jej śmierci, raczej by się tak nie zachowywał.

- Dzięki - rzuciła, chowając miecz, mający znowu rozmiar igły, do torebki, której jakiś cudem przez cały ten czas nie zgubiła.

Kingsley nie odpowiedział. Ze stężałą twarzą patrzył jej przez ramię. Forsyth, sprawiający wrażenie kompletnie zagubionego, usiadł na środku ulicy, kryjąc twarz w dłoniach.

Mimi odwróciła się, żeby także spojrzeć. Majestatyczna, osiemnastowieczna willa zmieniła się w gigantyczną kulę czarnego ognia. To było krematorium. Srebrnokrwieści wrócili, zadając celny cios w samo serce Zgromadzenia.

Zaczęła się druga wielka wojna.

CZTERDZIEŚCI DWA

Z daleka Schuyler słyszała jęki i krzyki, odgłosy uderzenia metalem o metal.

Zbudź się. Zbudź się, dziecko.

W jej głowie pojawił się głos. Przekaz. Głos, który już wcześniej słyszała.

Otworzyła oczy. Stała przed nią jej matka, Allegra Van Alen, odziana w białe szaty i

trzymająca złocisty miecz. To dla mnie?

To, co należało niegdyś do mnie, jest teraz twoją własnością.

Oszołomiona Schuyler wzięła miecz i w tym momencie wizja jej matki zniknęła. Allegro...

Wracaj... - pomyślała Schuyler, nagle przestraszona.

Ale desperacki krzyk Olivera sprowadził

ją z powrotem do rzeczywistości.

Podniosła wzrok i zobaczyła Lawrence'a zwartego w zażartej walce z wrogiem. Jego miecz

upadł na ziemię. Wyżej wznosiła się biała, lśniąca istota. Bijąca od niej jasność oślepiła,

zupełnie jakby patrzyło się w słońce. To był Niosący Światło. Gwiazda Poranna.

Miała wrażenie, że krew zamarza w jej żyłach.

- Schuyler! - usłyszała schrypnięty głos Olivera. - Zabij to!

Schuyler ujęła miecz swojej matki. Długie, śmiertelnie niebezpieczne ostrze zaśniło blado w blasku księżyca. Uniosła je, odwracając się do wroga. Podbiegła i z całej siły wymierzyła cios w jego serce.

I chybiła.

Jednakże dała czas Lawrence'owi na podniesienie broni i jego ostrze trafiło, wbijając się w pierś nieprzyjaciela i rozlewając krew.

Wygrali.

Schuyler z ulgą osunęła się na ziemię.

Ale w tym momencie na niebie pojawiła się ogromna szczelina, rozległ się ogłuszający ryk

gromu, jakby rozstępowały się niebiosy. A potem posąg pękł na dwoje, jego cokół został

strzaskany. Z głuchym dudnieniem ziemia pod ich stopami zaczęła drzeć i pękać.

- Co się dzieje?! — krzyknęła Schuyler.

Z ziemi wystrzelił mroczny płomień. Potężny demon o szkarłatnych oczach ze srebrnymi

żrenicami skoczył ku niebu. Roześmiał się donośnym grzmiącym śmiechem i płomienistą włócznią przebił Lawrence'a, który runął na ziemię i znieruchomiał.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Demon zniknął. Mgła się podniosła, a Schuyler chwiejnym krokiem podeszła do dziadka.

Leżał bez ruchu z szeroko otwartymi oczyma.

- Dziadku...! - krzyknęła Schuyler głosem drżącym z przerażenia i rozpacz. - Oliver, zrób

coś — błagała, próbując bezskutecznie zatamować ciemnoszafirową krew wypływającą z

otwartej rany - poszarpanego otworu na środku klatki piersiowej Lawrence'a.

- Za późno - wyszeptał Oliver, przyklękając obok.

- Jak to? Nie... Znajdź jakieś naczynie... na następny cykl. Zabierz je do kliniki.

- Włócznia Lewiatana jest pokryta trucizną, która niszczy krew. Zawiera w sobie czarny

ogień. On nie żyje. - Przystojna twarz Olivera była ściągnięta smutkiem.

- Nie! - krzyknęła Schuyler. Łzy strumieniami płynęły jej po policzkach.

Odwróciła się, słysząc jęk z przeciwnej strony. Ciało mężczyzny w bieli zaczęło się zmieniać.

Jego rysy zbladły i rozpląnęły się, odsłaniając postać zwyczajnego chłopaka w skórzanej czarnej kurtce.

Czarnowłosego chłopaka.

- To nie był srebrnokrwisty - powiedział Oliver.

- Musiał zostać opętany - głos Schuyler załamał się, kiedy Oliver łagodnie zamknął oczy

Dylana. W oczach Olivera, podobnie jak w jej własnych, pojawiły się łzy.

- Tak - skinął głową.

- Amnezja... to było alienan - Schuyler uświadomiła sobie, jak bardzo zostali oszukani.

- Stara sztuczka srebrnokrwistych - przytaknął Oliver. - Przebrali go za Lucyfera, aby

Lawrence zabił kogoś ze swojego rodzaju. Niewinną ofiarę.

Schuyler skinęła głową.

- Wyczułam, że coś było nie tak i Lawrence też musiał coś zauważyć. Światło nas oślepiało.

Zrobili to specjalnie, żebyśmy nie zobaczyli, co jest przed nami. Widok Lucyfera za bardzo

nami wstrząsnął. Powinnam była użyć animadverto.

- Doskonale obmyślili swój plan, śmierć Dylana miała doprowadzić do uwolnienia Lewiatana.

Pieczenie więzienia mogą zostać złamane tylko wtedy, gdy błękitnokrwisty popełni najcięższą

zbrodnię ze wszystkich — przeleje krew kogoś ze swojego rodzaju. Tak zostało zapisane w

księgach - powiedział Oliver.

- Dziadku. — Schuyler ujęła dłoń Lawrence'a w swoje dłonie. Zbyt mało czasu spędzili

razem, tyle jeszcze musiała się nauczyć. Tyle jeszcze on powinien ją nauczyć.

I wtedy, po raz ostatni, usłyszała w głowie głos Lawrence'a. Posłuchaj.

Nie okazałem się godny powierzonej mi misji. Niczego się nie nauczyłem przez wieki. Nie

odnalazłem Księcia Ciemności. Nie jestem dobrym stróżem. Musisz zapytać Charlesa...

musisz go zapytać o Bramy... O dziedzictwo Van Menów i o Ścieżki Umarłych. Musi istnieć przyczyna, dla której srebrnokrwisci z taką łatwością przekraczają granicę światów.

- Jakie bramy? Jakie ścieżki?

Jesteś córką Allegry. Twoja siostra przyniesie nam śmierć, ale ty jesteś naszym ocaleniem.

Musisz wziąć miecz matki i pokonać wrogów. Wiem, że zwyciężysz-

Tak brzmiały ostatnie słowa Lawrence'a.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Ciemna krew. Wszędzie była krew. Na jej twarzy. W jej oczach. Na jej rękach. Na jej

ubraniu. A potem powoli zaczęła znikać, metaliczny odcień zjaśniał, stała się niewidzialna

pod wpływem chłodnego, nocnego powietrza.

Wampirza krew...

Bliss patrzyła na swoje ręce.

Co się stało?

Nie pamiętała. Była zamroczona. Czy na pewno?

Wspomnienia powróciły.

Zobaczyła, jak wsiada do samochodu, w którym czekają rodzice. Witają się. Wiedzieli, że będzie im towarzyszyć. Dziwne. Czuła się, jakby oglądała film. Patrzyła na świat swoimi oczami, ale nie była w stanie poruszać rękami ani nogami, nie mogła nawet mówić. Ktoś inny robił to za nią.

Coś tkwiącego w jej ciele.

Mężczyzna w bieli. Tak.

Jestem tobą, a ty jesteś mną. Jesteśmy jednością, moja córko.

Przybyli do rezydencji na wzgórzu, a Bliss przypomniała sobie, że kryła się w cieniu, aż nadszedł właściwy czas. Z uczuciem przytłaczającej grozy oglądała rzeź. Masakrę, za którą sama odpowiadała. Tkwiła uwięziona we własnym ciele, bezbronna, zamknięta w pułapce własnego umysłu, podczas gdy ktoś inny kontrolował jej czyny. Miotła się wewnątrz siebie, szlochała i krzyczała. Ale była bezsilna, nie znała żadnego sposobu, by powstrzymać swoje ciało.

Stopniowo zaczęła przypominać sobie, co działo się podczas zamroczeń. Pomału

uświadomiła sobie prawdę.

To ona zaatakowała Dylana podczas ich pierwszego spotkania w The Bank. Chciała go

osuszyć, ale coś - echo przywiązania do niego - powstrzymało ją, więc zamiast tego zabiła

Aggie. Dwa razy próbowała zaatakować Schuyler.

Dlatego Beauty na nią szczekała. Suka

rozpoznała jej prawdziwą naturę, nawet jeśli Bliss udało się ukryć swoje postęпки przed

Schuyler. Wreszcie zaatakowała Cordelię i zabiłaby ją, gdyby Dylan jej nie powstrzymał.

Dylan stanowił problem. Wiedział, a jednocześnie nie wiedział. Dlatego jego pamięć przez

cały czas była tak splątana. Znał prawdę, nawet jeśli próbowała wymazać przeszłe wydarzenia

z jego świadomości.

Kiedy powrócił pierwszy raz, aby ostrzec ją przed srebrno-krwistymi, skończyło się krwawą

walką w łazience. Pamiętała jego przesiąkniętą krwią kurtkę, zadrapania na swojej twarzy i

ślady na szyi. Zdołał uciec, więc wysłała innych, aby go dopadli. Ale venatorzy znaleźli go

jako pierwsi. Oliver się mylił. Nie byli srebrnokrwistymi. Wypuścili Dylana, kiedy przekonali się, że jest niewinny.

Był wolny i mógł do niej wrócić.

Głupi, głupi chłopak.

„Wiem, kim jest srebrnokrwisty - powiedział Dylan tej nocy, kiedy wpadł do niej przez okno.

- To ty”.

I właśnie wtedy zmieniła jego wspomnienia. Dlatego potem myślał, że chodzi o Schuyler.

Cichy, smutny głosik w jej głowie zaczął płakać.

Kochałam go. Kochałam Dylana.

My nie kochamy nikogo.

Nikogo oprócz siebie.

Forsyth wiedział przez cały czas. Dlatego nigdy nie mogła się zdobyć, by zapytać go o

Dylana. Coś w jej podświadomości znało powód, dla którego ojciec ukrywa przed nią różne

rzeczy. Ponieważ jakaś część Bliss nie mogła zaakceptować tego, kim naprawdę jest.

Widziała siebie, jak wychodzi z płonącej rezydencji i wsiada do samochodu, w którego

bagażniku znajdowało się ciało. Dylan. Zabrała go na szczyt góry, gdzie czekali Lawrence i

Schuyler. Zabrała go na Corcovado, gdzie miał zostać złożony w ofierze. A potem

ukszałtowała go na podobieństwo mężczyzny w bieli.

Sama zaprowadziła go na śmierć.

Zginął przeszyty ostrzem Lawrence'a, ale to ona go zabiła. I zabiła też wielu innych.

Słyszała głosy wszystkich tych, których pożarła. Wciąż tam byli, w głębi jej umysłu, krzycząc

i płacząc. MILCZEĆ!

Zrozumiała, że Nan Cutler musiała w tym uczestniczyć.

To właśnie Nan sprawdzała, czy na

szyi Bliss nie ma znaku Lucyfera. To ona podczas śledztwa oczyściła Bliss z zarzutów. Bliss

nagle przypomniała coś sobie, uniosła włosy i dotknęła palcami skóry. Natychmiast to

wyczuła, a spojrzenie w lusterko potwierdziło jej domysły. Mała blizna w kształcie gwiazdy, piętnująca ją jako diabelską własność.

Ale dlaczego? - zapytał smutny głosik.

Czy to ta, która nazywa się „Bliss”? Czy ona wciąż tu jest?

Tak - odparł głosik. To był głos Bliss Llewellyn. A wcześniej głos Maggie Stanford. Zawsze powtarzało się to samo. W każdym cyklu. Nigdy nie chciały zaakceptować prawdy o swoim dziedzictwie.

Nie wiedziałam.

Nie chciałam tego.

Twoje pragnienia są nieistotne. A teraz ogarnij się i idź do swoich przyjaciół. Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Część z nas zginęła. Musimy znów czekać na dogodny moment.

Teraz już wiem, kim jesteś - powiedziała „Bliss”.

Jesteś Lucyferem.

Niosącym Światło.

Gwiazdą Poranną.

Byłym Księciem Niebios.

Jej prawdziwym, nieśmiertelnym ojcem.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Lawrence nie żył. Schuyler miała wrażenie, że jej serce rozpęknie się na kawałeczki z bólu

po stracie ukochanego dziadka. Jak coś takiego mogło się zdarzyć? O czym on mówił? Jej

siostra? Kto? Jak?

Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły szczyt góry. Na schodach pojawiła się

sylwetka.

- Ktoś idzie - ostrzegł Oliver.

- To tylko Bliss - westchnęła Schuyler, gdy przyjaciółka podeszła bliżej. - Dzięki Bogu, nic ci nie jest.

— Moja siostra nie żyje. Macocha także. Nie wiem, gdzie jest mój ojciec - powiedziała Bliss

martwym, zduszonym głosem. -Pamiętam czarny dym.

Rada... zostali... Co tu się stało? - zapytała,

spozostzegając ciała Lawrence'a i Dylana.

— Czy to... O Boże!

Schuyler objęła Bliss w talii i pozwoliła jej płakać na swoim ramieniu.

- Tak okropnie mi przykro.

Bliss wysunęła się z objęć Schuyler i uklękła obok ciała chłopca, którego kochała. Przytuliła

go ostrożnie, łzy płynęły jej po policzkach.

- Dylan... nie — wyszeptała. — Nie.

- Nie mogliśmy nic zrobić... To była straszna pomyłka — starała się wyjaśnić Schuyler. —

Lawrence...

Ale Bliss nie słuchała jej. Wytarła łzy rękawem.

- Zabiorę go na dół — powiedziała, podnosząc ciało chłopaka. Był tak lekki, niemal nieważki.

Zupełnie jakby niosła powietrze. Nic z niego nie pozostało. Samotnie ruszyła w dół,

połykając łzy.

Schuyler patrzyła za nimi, z jej oczu także płynęły łzy.

Nie zdołała ocalić Dylana. Straciła

dzisiaj dwóch przyjaciół.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - Oliver przykląkł, opatrując ranę na jej ramieniu

oddartym pasem ze swojej koszuli.

Schuyler popatrzyła na niego. Zobaczyła smutek i żal ściągające jego regularne rysy,

ciemnokarmelowe włosy przyklejające się do skaleczenia na czole. Dobry, łagodny, cudowny

Oliver. Dotarł do niej ogrom jej nieuczciwości. Oszukiwała ich obu, słowami i czynami.

Ponieważ kochała go. Zawsze go kochała. Kochała zarówno Olivera, jak i Jacka. Obaj

stanowili część jej serca. Wypierała się miłości do Olivera, aby pozwolić sobie kochać Jacka.

Ale teraz wszystko stało się jasne.

- Kocham cię — powiedziała.

- Wiem - uśmiechnął się Oliver, nie przerywając bandażowania jej ramienia.

EPILOG

Dwa tygodnie później

Więc tak wyglądało ich nędzne miłosne gniazdko, Mimi weszła do ciemnego apartamentu.

Znalazła w pokoju Jacka klucz, którego nigdy wcześniej nie widziała. Podejrzewała, do

których drzwi pasuje i wiedziała, że nie będzie musiała długo czekać.

Klamka szczęknęła bezgłośnie i wszedł Jack. Jedno spojrzenie na twarz brata powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Mimi uśmiechnęła się do siebie. Więc mała półkrewka w końcu z nim zerwała.

- Wygrałaś - powiedział cicho Jack. Spojrzał na Mimi z taką nienawiścią w oczach, że niemal cofnęła się na te słowa. Ale nie była mięczakiem. Była Azraelem, a Azrael nie ugnie się nawet przed Abbadonem.

- Niczego nie wygrałam — odparła zimno. - Racz sobie przypomnieć, że niemal wszyscy Starsi nie żyją, Książę Ciemności chwilowo zwyciężył, a resztkom Rady przewodzi załamany mężczyzna, który niegdyś był najsilniejszy z nas wszystkich. A mimo to, mój drogi, ciebie najwyraźniej obchodzi tylko to, że straciłeś swoją miłosną zabaweczkę.

Zamiast odpowiedzi Jack skoczył przez pokój i spoliczkował ją tak mocno, aż upadła na

podłogę. Ale zanim zdążył zadać następny cios, Mimi zerwała się i cisnęła nim o okno; przez chwilę nie mógł złapać tchu.

— Tego właśnie chcesz? - syknęła, podnosząc Jacka za kołnierzyk koszuli, aż jego twarz zaczęła ohydnie czerwienieć.

— Nie zmuszaj mnie, żebym cię zniszczyła — warknęła.

— Tylko spróbuj, skarbie.

Jack wyrwał się z jej uścisku i odepchnął kopniakiem, posyłając pod przeciwległą ścianę.

Rzuciła się na niego z pazurami ostrymi jak szpony i obnażonymi kłami. Zderzyli się w

powietrzu, w pół drogi. Jack zacisnął palce na szczupłej szyi, ale Mimi drapnęła go w oczy,

wywinęła się tak zwinnie, że przeturlała się na wierzch i zdobyła przewagę, przykładając mu miecz do gardła.

PODDAJ SIĘ - przekazała Mimi.

NIGDY.

Jesteś mój.

Mylisz się.

Odepchnęła bliźniaka na przeciwległy kraniec pokoju. Oboje byli podrapani i pokrwawieni.

Bluzka Mimi zwisała, rozdarta na pół, koszula Jacka straciła kołnierzyk.

Jack znowu zaatakował, tym razem przyciskając Mimi do ziemi. Czuła jego gorący oddech

przy uchu, a na sobie ciężar jego ciała, spiętego, sztywnego, niemal pulsującego czerwoną

aurą wściekłości.

— Chcesz tego — szepnęła zalotnie. - Pragniesz mnie. - Nie.

-Tak.

Wykręcił jej ręce do tyłu, przygniatając kolanami biodra. Palce zaciśnięte na nadgarstkach

sprawiły, że wykwitły na nich fioletowe sińce. Jego ślady na jej ciele pozostaną przez kilka

tygodni.

Przez moment poczuła prawdziwe przerażenie. To był Okrutny Abbadon. Anioł Zniszczenia.

Mógł i był w stanie zniszczyć ją, gdyby tylko musiał. Gdyby tylko zechciał. Niszczył już całe

światy. Zdzięsiątkował zastępy niebieskie w imię
Niosącego Światło.

Zadrżała.

Cała jego delikatność, cała jego łagodność, cała
jaśniejąca wspaniałość jego miłości były
zawsze przeznaczone dla kogoś innego. Podziwiał i
wielbił Gabrielę, pisał dla niej wiersze i
śpiewał jej pieśni. Dla Schuyler były powieści i miłosne
liściki, słodkie pocałunki i
ukradkowe, czułe spotkania przy kominku.

Ale dla swojej bliźniaczki, Azrael, nie miał nic oprócz
złości i przemocy. Siły i zniszczenia.

Najlepszą część siebie zachowywał dla tych, które na to
nie zasługiwały. Tym przeklętym

Córkom Światła nigdy nie pokazywał prawdziwej
twarzy.

Dla Azrael zostawały ciemność i zagłada.

Gwałt i rzeź.

Wojna i plądrowanie.

Pojedyncza łza spłynęła z jej oka, lśniąc w blasku
księżyca.

Ale kiedy Mimi myślała już, że Jack zniszczy ją na zawsze, poczuła jego pocałunki, tak mocne, że jej wargi i szyja drętwiały pod jego ustami. W odpowiedzi przyciągnęła go z całej siły do siebie, trzymając za włosy.

Miłość. Jest tak bliska nienawiści, że niemal nie do odróżnienia.

Właśnie tak to wyglądało w ich przypadku. Miłość i nienawiść. Życie i śmierć. Radość i rozpacz.

Potem leżał koło niej nieruchomo, odpływając w pozbawiony marzeń sen. Odgarnęła mu włosy z czoła i wyszeptała jego imię. Zwany był Zmiennym Abbadonem, ponieważ jego melancholijna natura skrywała zimną, gwałtowną furję. Niszczyciel Światów i imperator jej serca.

Pewnego dnia podziękuje jej za ocalenie życia.

Podziękowania

Chciałam podziękować tym, którzy przyczynili się do powstania tej książki, przede

wszystkim mojemu wspaniałemu mężowi (i praktycznie redaktorowi/współtwórcy), Mike'owi

Johnstonowi, który wpadł na znakomite pomysły; mojej prześwietnej redaktorce, Jennifer

Besser i wszystkim pracownikom wydawnictwa Hyperion, którzy są wielkimi fanami cyklu

— szczególnie Jennifer Corcoran, Angusowi Killickowi, Nellie Kurtzman, Colin Hosten,

Dave'owi Epsteinowi i Elizabeth Clark (dziękuję za niesamowite okładki!).

Dziękuję Alicji Carmona za przygotowanie świetnych materiałów o Brazylii. Przekazuję też

wyraży miłości dla nieprawdopodobnie wspierających mnie rodzin de la Cruzów i

Johnstonów, szczególnie dla Christiny Green i Alberta de la Cruz, którzy nie tylko są ze mną

spokrewnieni, ale umożliwiają nieprzerwane funkcjonowanie „Biura Melissy de la Cruz”.

Dziękuję moim agentom, Richardowi Abate'owi, Richiemu Kernowi, Melissie Myers i

wszystkim pracownikom agencji Endeavor za ciężką pracę dla mnie. Dziękuję także Kate Lee

i Larissie Silva z ICM za wsparcie.

Jednak głównie chciałabym podziękować moim czytelnikom, którzy są dla mnie najważniejsi na świecie. Dziękuję za dzielenie się przemyśleniami, marzeniami i pytaniami w mailach i na stronie internetowej. Dziękuję niesamowitej Amandzie, która prowadzi świetne forum poświęcone Błękitnokrwistym i wszystkim autorom stron fanowskich oraz uczestnikom gier fabularnych i grup dyskusyjnych poświęconych temu cyklowi. Jesteście absolutnie niesamowici.